

ŁUCJA WILEWSKA

Ważki  
na kostce  
łodu



VIDEOGRAF

ŁUCJA WILEWSKA

*Ważki*  
*na kostce*  
*łodu*

VIDEOGRAF

Redakcja

*Anna Seweryn*

Projekt okładki

*Pracownia WV*

Ilustracja na okładce

@ *Ladanivskyy Oleksandr/shutterstock.com*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

*Damian Walasek*

Opracowanie wersji elektronicznej

*Grzegorz Bociek*

Korekta

*Urszula Bańcerk*

Wydanie I, Chorzów 2018

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 600 472 609

[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)

[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2018

Tekst © Łucja Wilewska

ISBN 978-83-7835-693-6

*Kiedy byłam mała, moja babcia opowiadała mi o tym, jak trafiła do szpitala, a jej życie było poważnie zagrożone. Doświadczyla śmierci klinicznej, powróciła jednak do świata żywych, a to za sprawą zakonnicy, która pracowała w tamtym szpitalu jako pielęgniarka i zaparła się, że nie pozwoli babci przejść na drugą stronę. To zainspirowało mnie do napisania części tej opowieści. Cała reszta jest zmyślona.*

---

*Rozplątujemy siebie nawzajem,*

*Ja ciebie, ty mnie.*

*Stajemy raz bliżej, raz dalej,*

*Czasem lepiej widać,*

*Gdy nie patrzysz,*

*Gdy oczy zamknięte,*

*Spod powiek nie wystają,*

*Nie podglądają.*

*Kocham Cię.*

# 1.

Łatwiej jest mi wstrzymać oddech, niż po prostu oddychać. Kiedy zatrzymuję go w sobie, czuję się spokojniejsza, pewniejsza; wewnętrzny lęk – ten podły szczur, który od dzieciństwa podgryza mi żołądek – nie lubi tego. Woli, kiedy oddycham. Cieszy się zwłaszcza podczas wydechu – wtedy kąsa mnie najboleśniej. Dlatego oddechowe ćwiczenia relaksacyjne, o których nieraz czytałam w Internecie czy w papierowych wydaniach poradników, nie sprawdziły się w moim przypadku. Nie lubię oddychać, męczy mnie to. Tak, wiem, że to słabe, że tak nie powinno być, że oddech jest celem i sensem życia – przynajmniej tak mówią jogini, ci „oświeceni”, którzy wiedzą więcej od nas, „zwykłych ludzi”, od pospólstwa. To oddech wszystko nakręca, wprawia w ruch, sprawia, że nasionka dmuchawców ulatują wysoko w niebo, po to, by potem opaść na ziemię i ponownie zakiełkować w żyznej glebie. Oddech tworzy życie. Oddech jest życiem. A mnie najlepiej smakuje wstrzymywanie oddechu.

Co zatem wynika z powyższego? Pytam, bo zwykle we wszystkim doszukuję się podtekstów i drugiego dna. Czy powstrzymuję energię życiową? Czy nie uwalniam jej, nie daję rozwinąć skrzydeł? Z pewnością nie, bo jest to za trudne, zbyt bolesne. Wolę wstrzymać oddech, jestem w tym coraz lepsza.

Naprawdę nie wiem, co przyjemnego widzą ludzie w oddychaniu. Dla mnie jest to po prostu męczący obowiązek, niepotrzebny trud. Wkurzam się, kiedy pomyślę, że będę musiała oddychać aż po grób. Rzadko też oddycham nieświadomie. Każdy wdech jest przeze mnie zauważany, nie przychodzi z łatwością i naturalnie, muszę włożyć dużo siły i samozaparcia w to, żeby zaciągnąć się płataniną dwóch atomów O.

Co zatem lubię? *Kuchenne rewolucje* Magdy Gessler i *Salon sukien ślubnych*, który wieczorami oglądam na TLC. Cenię sobie zwłaszcza tę edycję z Atlanty, z Monte'em. On jest po prostu genialny! To moje dwa najulubieńsze programy, mogłabym oglądać je bez końca. Lubię też *Medium* z *Long Island*. Ale spokojnie, nie oceniajcie mnie zbyt pochopnie już na samym wstępie – oglądam też *Sześć stóp pod ziemią*, *House of Cards* i *Grę o tron*. I jeszcze *True Blood*, ale to wyłącznie nocami, kiedy nikogo nie ma w domu.

W *Kuchennych rewolucjach* jest coś wyjątkowego: coś, co sprawia, że oglądanie ich bardzo mnie uspokaja. Na przykład zeszłego lata postanowiłam wymalować pokój dziewczynek i okropnie nie chciało mi się do tego zabierać. Wpadłam jednak na genialny pomysł: otwierałam laptop i włączyłam *Rewolucje*, nastawiając w Playerze na autoodtwarzanie. Sama nie wiem, kiedy zdołałam dojść do trzeciego sezonu – bowiem właśnie wtedy malowanie, łącznie z wcześniejszymi przygotowaniem i późniejszym sprzątnięciem, dobiegło końca. To był pierwszy raz, kiedy nie marudziłam przy pracach domowych.

Uwielbiam marudzić! I narzekać. Zwłaszcza w obecności dzieci, bo one wykazują w tym względzie ogromną dozę zrozumienia i cierpliwości. I empatii. W przeciwieństwie do męża, który beszta mnie (wiem, to głupie słowo, ale sami podajcie lepsze na podmiankę) za każdy, najdrobniejszy nawet przejaw niesubordynacji, braku uśmiechu czy nieposłuszeństwa. I oczywiście braku dobrego nastroju. Tak, za to też można być karanym. Żona ma być uśmiechnięta, bo jak nie jest, to znaczy, że coś jest nie tak. A przecież mam najlepszego męża pod słońcem, dwie kochające córki, nie mam więc najmniejszych powodów do tego, żeby narzekać czy wybrzydzać. Pół świata głoduje, drugie pół nie ma dachu nad głową. My mamy dwa piękne pokoje, całkiem niedawno wyflizowaną łazienkę i kuchnię z oknami od strony zachodniej. Jak sami widzicie – nie mam najmniejszego powodu, a co za tym idzie – również i prawa, do narzekania i wybrzydzenia. Dlatego też każdego ranka chodzę na paluszkach, modląc się, żeby mąż i dzieci obudzili się jak najpóźniej. Żebym mogła sama dla siebie popłakać i trochę pomarudzić, tak dla przyjemności i zachowania wprawy.

Nie lubię się uśmiechać, a mimo to uśmiecham się przez trzy czwarte dnia, czy to nie chore? Znajomi uważają mnie za jedną z najbardziej uśmiechniętych osób, a w moim sercu wciąż tylko piasek, żwir i słone łyzy. Dlaczego?

Wstaję zawsze jako pierwsza. Robiąc sobie kawę z mlekiem albo herbatę z cytryną, zastanawiam się i rozważam wewnętrznie, czy marudzenie i narzekanie jest objawem niedoceny życia, czy może słabego charakteru? Tak czy inaczej, czuję w środku siebie, że to mi szkodzi. Wiem, że nie powinno się narzekać, że to nie wypada, zwłaszcza gdy ma się tak wiele jak ja – w zasadzie wszystko.

Dopijam herbatę przy drewnianym kuchennym stole, pokrytym przezroczystą ceratą w fioletowe kwiaty. Mój mąż nienawidzi cerat, uważa je za wieśniackie, ale już mu wyjaśniałam nieraz, że przy małych dzieciach obrus zdecydowanie się nie sprawdzi. A przecież szkoda niszczyć stół – taki ładny kupiliśmy, na promocji w Ikei, nowy, z jasnego drewna, prostokątny, stojący na czterech grubych nogach.

Kiedy wstaje mąż lub któraś z córek, automatycznie wrzucam uśmiech numer pięć. Co z tego, że w sercu piekło, co z tego, że wichura w głowie i trzęsienie ziemi w brzuchu: na twarzy ma być uśmiech, bo to podstawa udanego związku i szczęścia w rodzinie. Tak mawiała moja babcia, tak mawiała moja mama, a teraz tak mawia mój mąż. Ja nie do końca się z tym zgadzam, no ale ja mam tylko maturę, teraz robię zaocznie licencjat z pedagogiki, a mąż jest prawnikiem po UJ-ocie. Przecież to oczywiste, że on ma zawsze rację. Że wie lepiej ode mnie. Zresztą, tak z ręką na sercu, ja sama również często przyznaję mu rację: jest ode mnie starszy i dużo rozsądniejszy. Zna się na ludziach, na świecie.

– Dzień dobry, kochanie – ćwierkam z rana, choć dobry nastrój związany z patrzeniem na męża dawno już minął. Jakies kilka lat temu.

Mimo to nie poddaję się i walczę dalej, bo czy jest coś lepszego dla dzieci, dla moich małych, kochanych córeczek, niż dwoje rodziców na co dzień? Pełna rodzina jest podstawą i gwarantem poczucia bezpieczeństwa oraz późniejszego szczęścia dzieci. Każdy to wie: i on, i moja mama, i ja.

– A ty coś taka uśmiechnięta z rana? – pyta w trakcie otwierania oczu. W jego głosie wyczuwam nutę ironii, ale pewnie, jak zawsze, niepotrzebnie doszukuję się pretekstu do sprzeczki. – Stało się coś?

– A co się miało stać? – odpowiadam automatycznie. – Cieszę się, że cię widzę. To się stało.

– Weź, nie gadaj – mówi i siada na łóżku.

Ręce wyciąga wysoko w górę i przeciąga się jak kot. Potem roztrzepuje kołdrę nogami, łapie mnie i przyciąga do siebie.

– Zostaw mnie, głupku, przecież widzisz, że jestem już umalowana – mówię z przekąsem i udawaną naganą w głosie.

Po wielu dyskusjach dotyczących jego oczekiwań oraz moich praw

i obowiązków, doszliśmy wspólnie do tego, że z rana kobieta powinna być wymalowana. On nie po to pracuje, żeby przed pójściem do pracy patrzeć na kogoś, kto ma nieestetyczne brązowe wory pod oczami, nieregularne brwi i rozczochraną fryzurę. On jest wyjątkowym estetą – wokół siebie musi widzieć piękno, piękno idealne. Powiem wam, że w pełni go rozumiem, bo też nie lubię widoku samej siebie z rana: kiedy patrzę w lustro zaraz po przebudzeniu, nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Z pewnością nie jest to widok godny czerwonego dywanu. A mój mąż zasługuje na wszystko, co najlepsze. W końcu to on zarabia i utrzymuje naszą rodzinę. Dlatego też już od ponad dwóch lat, zanim jeszcze obudzę go na śniadanie, biorę prysznic, ubieram się i wykonuję staranny makijaż.

Bardzo długo rozmawialiśmy o konturówce do ust: ja nie znałam czegoś takiego. U mnie, na wsi, usta malowało się szminką albo błyszczkiem. Po prostu. Na czerwono czy różowo, tak żeby ładnie było, dziewczęco i trochę kusząco. Z kolei mąż, wiecie, miastowy, na dodatek prawnik, oczekiwania ma wygórowane: powiedział mi, że w mieście to konturówka jest podstawą. Nie można malować ust bez uprzedniego zaznaczenia ich konturu. Dlatego też po wielu z nim rozmowach dałam się w końcu przekonać i w rosmannie kupiłam na promocji kredkę do ust, za osiem złotych, firmy Belle. Potem na YouTube obejrzałam parę filmików instruktażowych i teraz wiem już, że trzeba delikatnie zaznaczyć kontur, potem specjalną chusteczką odrobinę rozmazać go do środka i dopiero wtedy można zabrać się za wypełnianie środka szminką czy raczej pomadką, bo tak to się teraz mówi.

Szczerze? Ja osobiście nie widzę żadnej różnicy pomiędzy malowaniem z konturówką i bez. Ale że mąż obyty, światowy, to widzi dokładnie. Zawsze dostrzegął, kiedy nie użyłam konturówki, no i potem były dwie godziny gadania. A po co serwować sobie taki poranek na własne życzenie? Co to ja głupia jestem, żeby nie uczyć się na błędach?

Dziś mam na sobie czarną sukienkę z półokrągłym dekoltem (mąż nie lubi, kiedy chodzę w spodniach zbyt często. Pozwala mi na to w zimie, kiedy jest duży mróz, i czasem w lecie, kiedy zakładam szorty. Akceptuje obcisłe, najlepiej błyszczące lub lejące się sukienki i zwiewne spódnice), talie podkreśloną paskiem (oj, o to też toczyły się batalie pomiędzy nami), jasne rajtki w kolorze cielistym i szpilki. Zawsze budzę go ubrana w ten właśnie sposób. Żeby miło rozpoczął dzień, ale troszkę też po to, żeby uniknąć



dyskusji z rana. I niemiłych komentarzy. Naśmiewania się i wyszydzania mnie. Krytykowania. Żeby choć raz rano wyprawić go cicho i spokojnie do pracy.

– Podobno to dla mnie się malujesz. A skoro tak, to chyba mam prawo trochę tej szmineczki rozmazać? – pyta retorycznie, nadal mocno mnie trzymając. Jego adwokacka logika nie ma sobie równych.

Nic nie odpowiadam, uśmiecham się. Oczy milczą. Z opresji ratują mnie dzieci: dziewczynki zawsze wiedzą, kiedy przyjść z odsieczą. Nie wiem, może to jakaś intuicja, a może rodzaj telepatii? W duchu dziękuję Matce Boskiej: mąż puszcza mnie i otwiera szeroko ramiona dla Julci i Wikusi. Ogromnie lubię ten widok, kiedy rzucają się tacie na szyję i przytulają go obie naraz. Śmieją się głośno, chichrają, że tata znowu bez majtek. Patrzą na niego speszona: faktycznie jest cały goły. Tyle razy prosiłam go, żeby zakładał coś na noc, ale on tego nie trawi. Jakimś cudem udało mi się w końcu wymóc, żeby nie chodził nago po domu i osłaniał przyrodzenie przed córkami, choć wcale nie mógł zrozumieć czemu. Dla niego było to normalne, paradować po domu bez ubrania. Dla mnie – nie. Pochodzę z tradycyjnej, katolickiej rodziny i ani razu w życiu nie widziałam żadnego z rodziców bez ubrania. Ba, nawet w bieliźnie to się nie zdarzało! Po wielu rozmowach chyba wreszcie zrozumiał, że jest to dla mnie ważne i teraz, kiedy wychodzi spod prysznic, na biodra zakłada ręcznik (najbardziej lubi ten stary, granatowy, kupiony za czasów naszej pierwszej zagranicznej podróży do Szwecji).

– A kto mnie tak z rana tutaj napada, co? – pyta i gilgocze dziewczynki po brzuskach.

Obie chichrają się wniebogłosy, jeszcze mocniej łapiąc tatę za szyję.

– O wy, dwie, ja wam dam, ja wam zaraz pokażę! – grzmi z uśmiechem na twarzy.

Dziewczynki dobrze wiedzą, że to tylko żarty. Jedna szarpie go za ucho, druga wskakuje na kolana i skacze po nim bezlitośnie.

– No bez przesady, Julcia! – mówi, choć wcale nie zamierza jej przeganiać.

To uroczy widok i zawsze staram się jak najdłużej zachować go w pamięci. Zwłaszcza kiedy są gorsze dni, kiedy kłócimy się lub nie zgadzamy ze sobą. Zawsze wtedy, przypominając sobie dawne słowa mamy, biorę to wszystko

„na rozum” i żeby wyciszyć się i uspokoić, wyobrażam sobie ten właśnie poranny widok. Widok, który rekompensuje wszystko. Widok, który jest sensem życia. Widok, którego za nic w świecie nie chciałabym zburzyć.

Wikusia jest młodsza, ma cztery latka. Najbardziej lubi sypiać w dwuczęściowej, kremowej piżamie z *Frozen*. Na noc zawsze rozpuszczam jej ciemnobrązowe włoski, żeby gumki i spinki nie cisnęły jej w nocy. Śpi w skarpetkach, zawsze jest uśmiechnięta i umorusana na buzi. Uwielbia czekoladę, miękkie miąższ z chleba, banany i łaskotki.

Julcia jest inna. Starsza, poważniejsza, bardziej stonowana i mniej roześmiana od Wikusi. W jakiś dziwny sposób automatycznie wcieliła się w rolę starszej siostry. Zdarza się, że strofuje młodszą, że każe jej posprzątać zabawki albo siedzieć prosto przy stole. A ma dopiero niecałe siedem latek! Włoski ma jasnobrązowe, trochę jaśniejsze od Wikusi, końcówki się zakręcają, a włosy puszą się i falują, kiedy jest gorąco i wilgotno. Julcia bardzo tego nie lubi i zawsze każe zakładać sobie opaskę na włosy. Ma ich całą kolekcję: począwszy od zwykłej czarnej z plastiku, poprzez taką pokrytą granatowym materiałem w białe grochy, ma jeszcze jedną różową, drugą z błyskotkami i jeszcze taką na bal przebierańców, w formie korony. Choć ona lubi nosić ją po domu, nie tylko od święta. Julcia chodzi teraz do zerówki w przedszkolu, po wakacjach pójdzie do pierwszej klasy.

Teraz mam łatwiej, bo obie dziewczynki zaprowadzam do jednego przedszkola. Są tam do czternastej, odbieram je zaraz po podwieczorku. Wikusia miała spore problemy ze zdrowiem, dlatego do przedszkola posłałam ją dopiero od tego roku. Trafiła do grupy średniaków i znakomicie się tam odnalazła. Pierwsze miesiące były trudne, bo mała co rusz łapała jakąś infekcję, ale teraz, po kilku miesiącach, sytuacja w miarę się unormowała. Chodzą obie razem, uśmiechnięte, zadowolone, trzymając się za ręce. Aż serce rośnie od takiego widoku!

Odkąd wyszłam za męża, nie pracowałam i cały swój czas poświęcałam rodzinie i domowi. Teraz, kiedy dziewczynkami zajmują się „ciocie”, szybko ogarniam całe mieszkanie, podłogi, odkurzanie, wszystko musi być na błysk. Potem nastawiam obiad dla męża, choć córeczki też zwykle zjedzą coś jeszcze na ciepło po powrocie do domu. Wiecie, jakie jest to przedszkolne jedzenie: panie kucharki starają się jak mogą, ale wykarmić pięćdziesiątkę dzieci nie jest przecież łatwo. Zupy są liche, z drobną kaszą, a moje córy

przyzwyczajone do ziemniaków, makaronów, do schabowego.

Mariusz lubi dobrze zjeść. Jego mama znakomicie gotuje, przyszło mi zmierzyć się z prawdziwą mistrzynią kulinarną. Mąż, oczywiście, nieraz porównywał nasze dania i z początku rzadko kiedy udawało mi się wygrać. Osobiście lubię próbować nowości, raz zrobiłam danie meksykańskie, innym razem lasanię, chciałabym kiedyś spróbować coś hinduskiego, a może nawet tajskiego? Jednak Mariusz jest zdecydowanym zwolennikiem tradycyjnej kuchni polskiej, dlatego też właśnie taka króluje na naszym stole. Kiedyś zrobiłam dla siebie coś innego niż dla reszty rodziny, ale głupio to wyglądało, gdy siedzieliśmy razem przy posiłku i jedliśmy różne rzeczy. Mariusz potem czepiał się w obecności dziewczynek, że *mama dziwuje, że na siłę chce się od nas wyróżnić, że taka modna próbuje być, jak gwiazdy z telewizji.*

– Tylko przypadkiem nie próbuj zamawiać cateringu pudełkowego! – mówił, głośno się śmiejąc.

Dziewczynki dopytywały, co to jest.

– A, moje kochane, to jest ostateczny etap rozkładu kobiety – stwierdził z miną mędrca, a ja pod stołem zaciskałam z całej siły dłonie. Paznokcie wbijały się głęboko, ale nie do krwi. – Kiedy jakiejś mamusi nie chce się już gotować, ma w dupie swoje dzieci, wtedy bierze pieniądze tatusia i zamawia gotowe obiady ze sklepu. Panowie przywożą je do domu samochodem, a jedzenie zapakowane jest w pudełka, jak karma dla psów, dlatego też nazywa się to dietą pudełkową.

Dziewczynki aż otworzyły ze zdumienia oczy. Chłonęły każde jego słowo, jak świąteczne kazanie księdza proboszcza. Wiadomo, tata ma zawsze rację, wszystkie o tym doskonale wiemy.

Nie podoba mi się wiele rzeczy, które Mariusz mówi dziewczynkom. Uważam, że niektóre są niesprawiedliwe, krzywdzące, na inne kwestie dzieci wydają mi się niewystarczająco dojrzałe. Parę razy wspomniałam o tym mężowi, jednak potem szybko tego pożałowałam. Nie dość, że skrzyczał mnie, że jestem głupia i zaściankowa, że celowo zaniżam iloraz inteligencji jego pięknych córek, to na dodatek stwierdził jeszcze z okropnie podłą miną, że nie mam żadnego, najmniejszego prawa do wtrącania się i ingerowania w to, jak wychowuje nasze córki. On się na tym zna, on wie, co robi, on nauczy je życia teraz, żeby w dorosłości radziły sobie lepiej odemnie.

No i powiedzcie mi, co mam na takie coś odpowiedzieć? Próbowałam dyskusji, krzyku, płaczu. Nic nie podziałało. Jego słowa bardzo mnie ranią, ale zawsze tak wszystko poprzekręca, poubiera w ładne hasła, jak z reklamy, że po prostu nie można temu zaprzeczyć. No bo jak? Czy nie chcę, żeby radziły sobie w przyszłości? Oczywiście, że chcę. A kto lepiej daje radę w życiu: ja czy on? Wiadomo, że on. Skończył studia wyższe, nie byle jakie, bo prawo. Zaraz potem dostał się na aplikację. Zarabia duże pieniądze, a ja tylko siedzę w domu. To oczywiste, że on lepiej wyprowadzi dziewczynki „na ludzi”. Twierdzi, że jego wychowywano w ten sam sposób, od dzieciństwa traktując jak dorosłego. Tylko dzięki temu stał się tak zaradny i przebojowy. Inteligentny i ambitny. Szczodry, dobry, uśmiechnięty, serdeczny i wyrozumiały. Zazdroszczę mu tego, tej niekończącej się pewności siebie.

Jego córek, jego pięknych córek – zawsze używa tej formy w trakcie naszych rozmów. Bardzo tego nie lubię, z początku zwracałam mu uwagę, że to są nasze, a nie tylko jego dzieci. Raz nawet, kiedy się bardziej pokłóciliśmy, sama już nie pamiętam o co, wykrzyczałam mu wtedy, że to ja byłam w ciąży, że to ja nosiłam obie pod sercem, a potem to ja je urodziłam, nie on.

– No i co z tego? – odparł, zdziwiony.

Nie potrafiłam tego skomentować. Mariusz uśmiechnął się z cynizmem i dodał:

– No, widzisz, bidoto, taka z ciebie sirota, że nawet w rozmowie z mężem sobie nie radzisz. Ale może to i dobrze, bo dzięki temu lepiej gary zmywasz – stwierdził chłodno i wyszedł z pokoju. A potem z mieszkania. Wrócił dopiero nad ranem.

Ja zostałam sama, z wanną pełną łez. To tak bolało, tak drapało i paliło od wewnątrz. Nie wiedziałam, jak poradzić sobie z tak wielkim bólem. Co zrobić? I dlaczego on jest taki niedobry dla mnie? Jednak później, wieczorem, gdy dzieci już spały, a ja wgapiałam się w czarny, niewidoczny krajobraz za nocnym oknem, dochodziłam do wniosku, że przecież on i tak ma rację. Jestem niedojdą. Nie pracuję, nie zarabiam, nie radzę sobie w rozmowie. Ma najświętsze prawo do tego, by mi dogryzać, bo robi to szczerze i prosto z serca. Dla mojego własnego dobra. Żeby w końcu przejrzała na oczy i odmieniła się.

Postanowiłam faktycznie odmienić się i wziąć za siebie tak na poważnie, odkąd obie dziewczynki posłałam do przedszkola. Wymyśliłam, że jeśli będę zarabiać, to wtedy on spojrzy na mnie inaczej, bardziej przychylnie. Tak bardzo chciałabym, żeby był ze mnie dumny.

Wymyśliłam pedagogikę, bo wychowywanie dzieci to jest jedyne, co umiem robić, co dobrze mi w życiu wychodzi. Mariusz z początku był przeciwny, żebym w ogóle cokolwiek robiła, ale powoli, krok po kroku, przekonywałam go, że to zawsze dodatkowy zarobek, że nie będę pracować długo, że tylko na pół etatu i że to praca idealna dla kobiet... W końcu zgodził się, ale na studia musiałam pójść zaoczne i nie dał mi na nie ani grosza. Na szczęście pomogła mi mama. Nie wiem, skąd wzięła dwa i pół tysiąca, no ale pieniądze znalazły się i mogłam opłacić cały pierwszy rok z góry. Zajęcia odbywają się co drugi weekend. Na ten czas dziewczynki zawożę dzień wcześniej do mamy. I mama się cieszy, i dzieci, i Mariusz, i ja. Nauki jest sporo, ale podoba mi się to, o czym czytam. Studiuję na licencji z pedagogiki wczesnoszkolnej. Kurs jest dofinansowywany z Unii, dlatego pierwszy rok kosztował tylko dwa i pół tysiąca, a nie pięć, jak to zwykle bywa. Po trzech latach będę mogła pracować w szkole podstawowej albo w przedszkolu. Marzy mi się taka praca i uwierzyć nie mogę, że już niedługo będę panią nauczycielką! Mama chodzi dumna jak paw. Mariusz okropnie się ze mnie naśmiewa, ale ma do tego prawo. W końcu jest prawnikiem i nikt go nigdy nie prześcignie.

– Mamusiu, dlaczego się wczoraj kłóciliście z tatusiem? – pyta mnie Wika w trakcie zakładania jej przedszkolnych pantofli.

Julka poszła już do swojej grupy, Wiktorii trzeba jeszcze czasem pomóc przy przebieraniu się. Siedzi na drewnianej ławeczce, pomalowanej w czerwono-żółte kwiatki, a mnie serce łomocze jak oszalałe. „Boże, żeby tylko nikt tego nie usłyszał” – modlę się w duchu do Matki Bożej.

– Nie kłóciliśmy się, tylko głośno rozmawialiśmy. Ile razy mam ci to powtarzać? – odpowiadam i czuję, jak rodzi się we mnie gniew. Mam ochotę zamknąć tej małej buzię. Szkoda, że to niemożliwe.

– Ale, mamusiu, przecież dobrze słyszałam. Ty krzyczałaś, tatuś też coś wołał i mówił te słowa, których nam zabraniasz słuchać... Wiesz, te brzydkie – opowiada, ścisząc głos, jak rasowa aktorka. – A potem ty płakałaś. Mamusiu, dlaczego wczoraj w nocy płakałaś? – dopytuje, nie dając

za wygraną.

Moja złość jest coraz większa, miesza się ze smutkiem, który zaczyna przejmować ciało, zaczynając oczywiście od twarzy. Wykrzywione usta, łzawiące oczy – to ewidentny znak nadchodzącego płaczu, którego po prostu nienawidzę.

Chciałabym powiedzieć córce prawdę, ale nawet nie wiem, jaka by ona była. Płakałam, bo było mi smutno, choć sama nie wiem czemu? Bo za trudne to wszystko? Bo momentami mam dość wszystkiego? Bo nie radzę sobie? Bo nie mam siły wstawać z łóżka? Bo z tatą nie da się już normalnie porozmawiać? Tyle odpowiedzi cisnęło mi się na usta, ale nie użyłam ani jednej z nich. Zamiast tego, jak automat, wycedziłam z powstrzymywaną złością i bezsilnością:

– Już powiedziałam, że nie płakałam. Musiało ci się to przyśnić.

Widząc, że Wiktoria ma ochotę dalej drążyć temat, szybko odwieszam różową kurtkę zimową do szafeczki, na jej przedszkolnej półce układam zapasową bluzkę i cukierka, żeby mogła zjeść sobie w przerwie po spacerze. Zimowe kozaki, różowo-niebieskie, z nadrukiem bałwanka z *Frozen*, stawiam na szmacie ustawionej w korytarzu. Na koniec poprawiam jej bluzkę i wyganiem na salę do zabawy wraz z innymi dziećmi. Na odchodnym rzucam „ciociom”: *Do widzenia!* I w minutę jestem z powrotem na dworze, w drodze do domu.

Pogoda dziś mroźna, chmurna. Wiatr podwiewa mi płaszcz i głaszcze chłodem po nogach. Dopinam ostatni guzik, nie pozostawiając mu możliwości na kontynuowanie zabawy, która dla mnie wcale nie jest zabawna.

Ostatnimi czasy zdaje mi się, jakbym prowadziła podwójne życie, taką grę z samą sobą albo z tym kimś, kto patrzy i ocenia. Kto widzi wszystko, wie więcej ode mnie, ale nie pomaga, a przynajmniej nie tak, jak bym tego chciała.

Z jednej strony można powiedzieć, że wszystko dobrze się układa, idzie po właściwym torze: córki są zdrowe, rosną, chodzą do przedszkola. Mariusz ma dobrą pracę, stałe zarobki, naprawdę nie mogę na to narzekać. Zaczęłam też studia... Za jakiś czas będę panią nauczycielką... Tylko jest jeden problem. No, dobra, może jest ich kilka, ale ten jeden i zasadniczy jest taki, że wcale,

ale to wcale to wszystko mnie nie cieszy. Nie jestem ani trochę szczęśliwa, nie mówiąc już o wesołości. Już dawno zapomniałam, co to humor, żarty, luźna atmosfera... Nie znam tej pani.

Kim tak naprawdę jestem? Która z tych dwóch mnie jest tą właściwą, tą bardziej prawdziwą? Ta, którą wszyscy znają? Która idzie dzielnie do przodu i stale się uśmiecha? Czy ta druga, z rozdartym sercem, w potarganych pończochach, bojąca się każdej nadchodzącej nocy, rozdygotana i roztrzęsiona?

Bywało źle, to fakt, ale ostatnio jest coraz gorzej. Czasem wydaje mi się, że umieram. Czuję, jakby serce wariowało, wpadam w panikę, wyobrażając sobie, że rozpada się na kilka kawałków, niepasujących do siebie puzzli. Żołądek mam stale ściśnięty, zasupłany, rozglądam się nerwowo wokoło. Boję się, bardzo się boję, że czymś mu podpadnę. To jest straszne i najgorsze, co mogłoby się wydarzyć. Podpaść Mariuszowi z jakąś głupotą.

Wpadki, takie poważniejsze, zdarzają się, nie robię sobie z ich powodu wyrzutu. Ale kiedy obrywam za błahostki, to pojąć nie potrafię, jak mogłam tak głupio, tak debilnie się zachować! Dajmy na to: zostawiam buty w przedpokoju, zamiast zanieść je do łazienki! Już na samym początku trwania związku ustaliliśmy, że tak będziemy robić, bo tak robiło się w domu Mariusza i to jest jedyny sensowny i estetyczny sposób przechowywania obuwia. Mieszkamy ze sobą już tyle lat, a mnie nadal czasem zdarzy się zostawić buty w przedpokoju. Jeśli jest to obuwie dziewczynek – on się nie gniewa. Sam znosi je do łazienki, odpłacając mi za to obrażoną ciszą. Gorzej jeśli znajdzie tam moje buty. Wtedy, w zależności od pory dnia i jego aktualnego nastroju, może na mnie: nakrzyczeć, wyśmiać mnie lub też rozpocząć niekończącą się, wielogodzinną tyradę, dotyczącą mojej głupoty, mojego debilizmu, wieśniactwa i niewychowania. Im później w noc – tym gorzej. Raz zdarzyło się, że rzucił mi buty na stół, gotowałam akurat pomidorową z ryżem na jutro, dziewczynki mi pomagały. Bąknęły tylko:

– Sprzątaj po sobie, szmato.

Nic nie odpowiedziałam, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Żeby jakoś wyjaśnić to przed dziewczynkami, przymknęłam cichutko drzwi i wyszeptaliśmy im z uśmiechem:

– Ale ze mnie gapa! Tatuś prosił, żebym położyła buty na szmacie, bo były mokre z pola, a ja zapomniałam! Dobrze, że mi o tym przypomniał. –

Dziewczynki patrzyły i słuchały, choć nic nie powiedziały. – Dopilnujcie zupy, a ja tylko odniosę buty na miejsce.

Dwa czy trzy razy zdarzyło się, że rzucił nimi we mnie. Raz były to ubłocone kozaki, innym razem brązowe botki, skórzane, ze złotym zapięciem. I jeszcze jeden raz pamiętam, dostałam wtedy klapkiem w twarz – tak śmiesznie plasnęło, że aż się sama zaśmiałam.

– Jeszcze się śmieje, idiotka! – dodał na odchodnym, trzaskając za sobą drzwiami od sypialni. Na szczęście dziewczynki spały już u siebie.

Mariusz nie zawsze taki jest. Potrafi być miły, czuły, wyrozumiały. Zabiera nas czasem na lody do macdonalda, niedziele spędzamy u jego matki, na Zabłociu. Zdarza mu się spytać, jak minął mi dzień i co będzie dziś na kolację. Nie mogę narzekać, wiem, że nie mam na co. To oczywiste, że miewa humory, że jest zestresowany, ale jak można nie być zestresowanym, pracując w sądzie? No jak? Na dodatek chciałby się dostać do prokuratury, a do tego potrzeba naprawdę stalowych nerwów. Dlatego też musi potem odreagować w domu, co ja doskonale rozumiem. W końcu jestem jego żoną i powinnam dawać mu wsparcie, takie, jakiego on w danej chwili najbardziej potrzebuje. Choć momentami bywa nieznośny i niepotrzebnie głupio uparty, to kocham go nad życie i nie wyobrażam sobie ani jednego dnia bez niego.

Nie kłócę się więc, nie wybrzydzam, czasem, jak mnie już bardzo mocno wkurzy, to wejdę z nim w polemikę, ale w większości przypadków udaje mi się tego nie robić. Jestem wtedy zawsze taka dumna z siebie, uśmiecham się wewnątrz, gdy tylko zaciskam zęby i pięści. Tylko potem w nocy mam koszmary, budzę się z krzykiem, cała spocona, albo w ogóle nie mogę zasnąć.

I tak mam lepiej niż mama. Ona często chodziła poobijana na twarzy. Już jako dziecko przywykłam do widoku sinego lub fioletowego rumieńca na jej twarzy, w górnej części policzka czy wokoło oka. Pamiętam, że kiedy ojciec mieszkał jeszcze z nami, bardzo go nie lubiłam za to, że bił mamę. Złościłam się na niego i podobno raz rzuciłam się na niego z pięściami. Oddał mi, oczywiście po pijaku, ale mama mówiła, że byłam bardzo dzielna i nie uрониłam ani jednej łzy. Jej słowa bardzo mnie wtedy poruszyły. „Do dziś jestem taka dzielna, mam – chwalę samą siebie w duchu. – Możesz być o to spokojna”.

\*\*\*



Po drodze z przedszkola zahaczam o biedronkę. Sklepiarki mają problem z wypełnieniem pustych po świętach półek. Na walentynkowe serca jeszcze za wcześnie, na wielkanocne jaja tym bardziej. Przedzieram się przez rozgadany tłum moherowych beretów, zauważyłam, że często tu rano wpadają, chyba po kościele. Stają sobie, jak gdyby nigdy nic, w samym środku alejki, zupełnie tarasując przejście.

Do czerwonego koszyka na kółkach wrzucam podwójny filet z piersi kurczaka, brokuł do ugotowania na parze, półtora kilograma ziemniaków w żółtej, plecionej w oka siatce, żelki dla dziewczynek i dwa piwa dla Mariusza. Mamy taką niepisaną umowę, że on alkohol kupuje sobie sam, we własnym zakresie. Ja nie wnikam w ten temat. Wiem, że nie pije dużo i przede wszystkim nie wódkę, więc reszta mnie nie interesuje. Na szczęście choć tym jednym tematem nie muszę się w swoim dorosłym życiu zajmować. Tak czy inaczej, biorę te dwa piwa, niech ma zimne w lodówce, jak wróci. Niby nic, a humor będzie miał lepszy. Mama zawsze mówiła, że najważniejsze to dbać o męża, tak żeby nie miał się do czego przyczepić.

Wzięłam sobie tę radę do serca i robię co mogę, żeby go zadowolić. Jego szczęście jest moim szczęściem. I szczęściem dziewczynek. Spokojnych, bezpiecznych, najedzonych.

– Czterdzieści osiem dwadzieścia. – Słyszę zachrypnięty głos, dobiegający od strony kasy.

– Ile?! – pytam z niedowierzaniem. Moje zakupy na pewno tyle nie kosztowały. – Przepraszam, nie dosłyszałam – dodaję po chwili, speszona.

– Czterdzieści osiem dwadzieścia – odpowiada ze zblazowaną miną kasjer, niewiele młodszy ode mnie.

– Kartą będzie – odpowiadam.

Nie mam przy sobie aż tyle gotówki. Mariusz zostawił mi rano tylko trzydzieści pięć złotych na dzisiejsze zakupy. Postanawiam sprawdzić później rachunek, czy wszystko się zgadza. Może filety policzył mi dwarazy?

– Zbliżeniowo? – dopytuje pro forma, wyglądając za okno.

Na polu zrobiło się zupełnie ciemno, niebo zakryły granatowe, gęste warstwy chmur. Zaraz jak nic sypnie śniegiem.

– Tak – odpowiadam, również spoglądając przez okno.

Stoimy tak oboje przy kasie, ja z kartą w wyciągniętej dłoni, zbliżając ją w zwolnionym tempie coraz bliżej PIN pada, on również z ręką przy PIN padzie, czekający na rachunek i potwierdzenie, które zaraz wyłoni się w magiczny sposób z tego małego urządzonego. Nasze spojrzenia skierowane są w tę samą stronę. Śnieg jeszcze nie pada, ale w tej samej sekundzie jak na komendę odwracamy głowy i spoglądamy sobie prosto w oczy. I wtedy dzieje się coś dziwnego. Zauważamy się po raz pierwszy świadomie. Ja nie jestem matką, robiącą zakupy kobietą, jedną z tysiąca, które on dzisiaj obsługuje. On nie jest kasjerem, jednym z wielu bezimiennych, u których dokonuję opłat za nabyte towary. Nagle, w jednej chwili, spotykamy się w swoich spojrzeniach i widzimy się takimi, jakimi jesteśmy. Dostrzegamy swoją własną prawdę: on moją, ja jego. Pomimo tysiąca różnic, które nas dzielą (on ma okulary i jest kasjerem, ja jestem matką i sypiam z prawnikiem), okazuje się, że w jakiś dziwny, nagły, pokręcony i trudny do wyjaśnienia sposób staliśmy się sobie bliscy. Nasze dłonie spotykają się: nie odejmuję karty od czytnika, nie chowam jej do portfela. Czekam, aż pojawi się potwierdzenie z karty. On zauważa ten gest z mojej strony, to jakby puszczone oko. Z PIN padu wydobywa się dźwięk, nagły, elektroniczny bulgot i przez ułamek sekundy on gładzi mnie po dłoni, nie spuszczać ze mnie wzroku. Usta same mi się rozchylają, zaskoczona cofam dłoń, ale moje ciało, mój brzuch krzyczą: „Wróć tam! Zostaw rękę, oddaj mu ją z powrotem!”.

Okulary ma w czarnych oprawkach, raczej grubych, w uchu jeden kolczyk, mały tunel, pewnie ma dziury pod granatowym uniformem. Marcin L. – wyczytuję na plakietce, która jest przypięta do kieszeni firmowej, biedronkowej koszuli.

– Dziękuję – mówię, oszołomiona, i machinalnie pakując zakupy do beżowej torby z filcu, wybiegam ze sklepu.

Nie wiem, czy patrzy za mną. Chciałabym wiedzieć. Chciałabym, żeby patrzył...

Śnieg zaczyna prószyć, kiedy jestem w okolicach Białogradzkiej. Spoglądam w niebo: białe płatki doskonale wyróżniają się na tle szarego smogu, wymieszanego z cienkimi chmurami. Naciągam czapkę mocniej na czoło, robi się chłodno. Widget pogody w telefonie wskazuje na temperaturę minus pięciu stopni. Tylko czemu w środku jest mi tak gorąco? To bez sensu.

Wracam do domu szybkim krokiem. „Najpierw obrać ziemniaki, wrzucić do garnka z wodą, posolić, odstawić – notuję w głowie. – Pochować resztę zakupów do lodówki, kurczaka zamarynować w przyprawie z oliwą, odkurzyć, wymyć podłogi, posprzątać rzeczy dziewczynek, na pewno zostawiły okropny bałagan w swoim pokoju. Potem wezmę się za prasowanie koszul i jeśli teraz się pospieszę, to spokojnie wyrobię się ze wszystkim do 13:45. Właśnie wtedy muszę wyjść z domu, żeby odebrać dziewczynki z przedszkola zaraz po podwieczorku”.

Wchodząc do mieszkania, trzaskam drzwiami i zamykam je na oba zamki.

– Mariusz, jesteś? – pytam pro forma. Wiem, że go nie ma, ale „strzyżonego, pan Bóg strzyże” – jak sam zawsze powtarza.

Dla bezpieczeństwa przechodzę po pokojach, upewniając się, że nigdzie go nie ma. Na stół w kuchni rzucam byle jak zrobione przed momentem zakupy i wiem już, że dziś nie wykonam stworzonego tak misternie planu.

Staję przed lustrem w przedpokoju. Nie patrzę sobie w oczy, bo bardzo tego nie lubię. Zamiast tego przyglądam się sobie z przodu, z boku i nawet z tyłu.

– Mariusz? – wołam dla uspokojenia sumienia.

Nikt nie odpowiada. Żaden głos nie pojawia się w mojej głowie: ani ten prawdziwy, ani wymaginowany.

Powoli zdejmuję z siebie ubranie. Zaczynam od jasnych, wycieranych dżinsów, z dziurą nad lewym kolanem. Potem przechodzę do jasnoróżowego, puchatego swetra, ściągając go płynnym ruchem przez głowę i rzucając na ziemię. Po zdjęciu rajstop i bielizny staję przed lustrem całkiem naga. Długo przyglądam się odbiciu.

Jaka tak naprawdę jestem? Czemu tak trudno mi to ocenić? Z jednej strony nie jest aż tak źle, jakby być mogło. Z drugiej strony faktem jest to, co zarzuca mi Mariusz: że po ciążach spałam się jak świnia, roztyłam jak prosiak, że dupa mi urosła niemiłosiernie, że cycki obwisły od karmienia, że szpecących rozstępów mam kilka na biodrach i w ogóle, że jestem już nieapetyczna jak nadgryzione jabłko, które niedługo zupełnie spleśnieje i zbrązowieje.

Czy to była prawda? Po części na pewno tak. A nie po części? Nie ważę sześćdziesiąt dwa, jak przed pierwszą, ani sześćdziesiąt cztery, jak przed

drugą ciążą. Ważę sześćdziesiąt osiem, wiem to, choć nie ważyłam się ostatnio. Czy w jakikolwiek sposób mogę się komuś podobać, wydać się atrakcyjną? Jeśli tak, to chyba jakiemuś czterdziestolatkowi. Na pewno nie młodemu chłopakowi z tunelem w uchu. Choć może lubi starsze, gustuje w kobietach z kategorii *MILF* lub *oversize*? Może jest sado-maso? Kolczyk, okulary i prawdopodobnie tatuaże mogą to sugerować. Pewnie w gimnazjum słuchał rage'u, grangu i trip hopu.

„Po co ja to w ogóle sprawdzam?” – dopytuje się umysł, a moje policzki pokrywa czerwony rumieniec. Po raz trzeci rozglądam się wokoło, oceniając, czy na pewno nikt mnie nie podgląda, zza okna lub z wnętrza białej szafy. Wydaje się, że w domu jest pusto. Pewności nigdy mieć nie można.

Pomimo tego, co twierdzi Mariusz, to faktem jest, że lubi mnie dotykać i kochamy się dosyć często. Ja co prawda nie przepadam za seksem, ale co zrobić, taka już rola kobiety. Taki obowiązek. „Chciałaś być żoną, to teraz masz” – powiedziała mi kiedyś koleżanka.

Nie lubię seksu. Jest nudny, męczący i przewidywalny. Jednocześnie kocham Mariusza, choć od pewnego czasu coraz częściej nachodzą mnie myśli o innych facetach. Wiem, że to niemoralne i gdybym chodziła, jak dawniej, do kościoła, to musiałabym się teraz z tego spowiadać.

W mig ubieram się i biorę za przygotowywanie obiadu. Humor dopisuje mi i wszystko idzie szybciej i sprawniej niż zwykle. Nawet koszule odprasowałam i, nie uwierzycie, wszystko gotowe było przed trzynastą! To jest mój życiowy rekord. Mam teraz całą godzinę wyłącznie dla siebie. Postanawiam zaszaleć jak nigdy: robię sobie herbatę z miodem, cytryną i imbirem i wskakuję na łóżko, tym razem z pilotem w ręce. „TLC czy TVN Style?” – pytam sama siebie, uśmiechając się. Herbatę wypijam duszkiem, jeszcze gorącą, parującą.

## 2.

Dzień później pojawiaam się w tym samym sklepie, o tej samej porze. Liczę na to, że grafiki kasjerzy mają porozpisywane tak samo na cały tydzień. Intuicja mnie nie myli: widzę go, ale nie jest na kasie, wyjmuję owoce ze skrzynek i układa je na skośnych półkach. Boże, on tam jest, on tam naprawdę jest.

Ogromnie speszona i zestresowana planuję ucieczkę – za późno. Zauważa mnie i wgapia się we mnie, uśmiechając się. Nie rozumiem: naśmiewa się ze mnie czy co?

Nie mam wyjścia, podchodzę do niego.

– Może w czymś pomóc? – pyta.

Jego głos jest niski, melodyjny i aksamitny. Nadal trochę zachrypnięty. Jest przeziębiony czy pali papierosy? Nieważne. Mówi jak Marlon Brando i James Dean. Ciągłe się uśmiecha.

– Lubisz owoce? – pyta, zdając sobie chyba sprawę z tego, że nie wiem, co odpowiedzieć. Nie mówi „pani”, mówi „ty”.

Podchodzę trzy kroki naprzód (nie pytajcie, gdzie znalazłam tę odwagę w sobie) i staję tuż obok niego. Nasze oddechy spotykają się w połowie drogi. Marcin L. – napis na jego koszuli nie zmienił się, nadal nosi to samo co wczoraj imię. Jest wysoki: muszę patrzeć w górę, żeby spojrzeć mu w oczy. I nagle zdaję sobie sprawę z tego, że to jest to, czego zawsze brakowało mi w Mariuszu. Ten małeńki defekt, tajemniczy, zagubiony element, który sprawiał, że nigdy nie czułam się przy nim tak bardzo kobieca, jak czuję się teraz.

Mariusz ma metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, tak naprawdę jest mniej więcej tak wysoki, jak ja, bo mam metr siedemdziesiąt trzy. Jemu to nigdy nie przeszkadzało, że prawie dorównuję mu wzrostem, a mnie tak, choć nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę. Teraz już wiem o tym na pewno. Marcin musi mieć metr osiemdziesiąt z kawałkiem, a może nawet metr dziewięćdziesiąt, bo czubek mojej głowy sięga maksymalnie jego nosa. Nos ma prosty, oczy duże, ciemne, mroczno-czekoladowe, schowane płytko pod okularami. Uśmiech nosi męski, ciepły, przyjacielski. Na dłoniach faktycznie spostrzegam tatuaże. Ciekawe, czy ma ich więcej?

– Jadłaś kiedyś to? – pyta, pokazując na otwartej dłoni żółty egzotyczny owoc, którego skórka pokryta jest drobnymi, delikatnymi kolcami.

– Nie – odpowiadam, wielce inteligentnie.

To wszystko, na co stać mnie w tej chwili. Serce łomocze jak oszalałe, dłonie zrobiły się wilgotne. Z trudem łapię oddech, powietrze jest gorące, pali mi przetyk.

– Jak to się nazywa? – pytam, automatycznie karcąc się w środku. Ale idiotyczne pytanie! Przecież to wiocha, nie znać czegoś takiego! I ja niby mam męża prawnika?!

– Żółta pitahaya. Smoczy owoc. Zwykle mamy u nas różowe, ale w tym tygodniu sprowadzili z Brazylii nową odmianę. Powinnaś spróbować. Kto wie, może ci posmakuje? – mówi, wkładając owoc do mojego koszyka.

– Dziękuję, chętnie spróbuję – odpowiadam grzecznym tonem, tak jak mnie tego uczyła mama. Tyle tylko, że to było dawno temu. Teraz myśli mam dużo bardziej niegrzeczne niż wyuczony ton mojego głosu.

– Przyjdiesz jutro i powiesz mi, czy ci smakował – stwierdza, nie pyta.

– Dobrze. Kiedy pracujesz?

– Jutro akurat mam wolne – odpowiada.

Czy ja się nie przesłyszałam?! Jestem w szoku, w największym szoku mojego życia. Mój wczorajszy sen z jawy właśnie zaczyna się spełniać. Ale czy znajdę w sobie na tyle dużą dawkę odwagi i szaleństwa, żeby... żeby odpowiedzieć na przykład tak:

– To jak mam ci powiedzieć, czy owoc mi smakował? – podejmuję grę. Przecież on może tylko żartować. Jest młodszy ode mnie o kilka lat, to z pewnością będzie stanowiło dla niego barierę.

– Możesz przyjść do mnie. Mieszkam z kumplem, ale jego akurat nie ma. Wyjechał na cały tydzień do rodziców – informuje spokojnym, poważnym tonem, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Drżą mi palce, stopy zrobiły się bardzo chłodne, a potem zalała je nagła fala gorącego potoku. Między nogami czuję ciepło i wilgoć.

– A daleko mieszkasz?

– Niedaleko. Mogę dać ci adres. Przyjdiesz? – pyta zupełnie wprost.

– Zobaczę. Daj mi swój numer, to pošlę ci esemesa, jeśli się zdecyduję. Odpiszesz mi z adresem – mówię, szokując samą siebie zmyślnością mojej odpowiedzi.

Jakim cudem tak szybko udało mi się wymyślić takie rozwiązanie? A może znam je z jakiegoś serialu? „No, na pewno nie z *Gry o tron*” – śmieję się sama do siebie.

– OK, ale jak coś, to mieszkam przy Białogradzkiej dwa przez pięć. – Widząc moje zbulwersowane spojrzenie, dodaje naprędce: – No co, przecież i tak nie zapamiętasz? Dwa przez pięć. To na drugim piętrze. Okna wychodzą na ten plac zabaw z tyłu parku – odpowiada, a mnie nogi robią się miękkie jak z waty.

Prawie codziennie chodzimy z dziewczynkami po przedszkolu właśnie do tego parku. Może on już widział mnie wcześniej? Jeśli tak, to czy wie, że mam dzieci? I... męża?

On uśmiecha się i wtedy zaczyna do mnie dochodzić, że żartuje. On jest śmieszkiem, takim żartownisiem z poważną miną przyklejoną do twarzy.

– Jezu, aleś ty zasadnicza. Chyba nieciekawie masz w domu, co? – pyta ciepło, nie dotykając mnie.

Momentalnie staję się chłodna i oziębła, twarz mi zastyga, ale w środku mnie zostaje poruszona jakaś struna, taka, która dotychczas nie grała, milczała. Milczała cierpliwie, czekając na swoją kolej. Doczekała się w końcu, doczekała.

– To na razie – mówię mu i szybkim krokiem przemierzam całą alejkę.

Do czerwonego koszyka na kółkach pakuję żółty ser, jaja jedyne, schab krojony, salami i dwa piwa. Wczorajsze zniknęły, Mariusz musiał je wziąć do pracy, bo przecież nie pił ich wieczorem, a kładliśmy się do łóżka o tej samej porze.

Jest mi ciepło i równocześnie słabo, oddycham głęboko, mam ochotę wybiec ze sklepu i nigdy więcej tutaj nie wracać.

\*\*\*

W zasadzie decyzja jest już podjęta. Podjęłam ją jeszcze w sklepie, kiedy

staliśmy naprzeciwko siebie. Chęć spotkania się z nim, z nieznanym, który tak bardzo mi się spodobał, jest na tyle silna, że nie myślę o mężu ani o córkach. Odrzucam rodzinne tematy na bok, grubą kreską oddzielam je od moich prywatnych, osobistych spraw. W końcu mam do nich prawo, czyż nie? Mariusz nie opowiada mi wszystkiego, co dzieje się w sądzie. Wymiguje się tajemnicą służbową. Dzieci są małe, nie rozumieją zawłości dorosłego życia. A ja? Jestem matką, jestem żoną, ale przede wszystkim jestem kobietą. A jako kobieta mam swoje własne potrzeby. Takie, których nie zaspokajają ani mąż, ani dzieci.

Już od pewnego czasu, a w zasadzie to od trzech lat, odkąd Wikusia skończyła roczek, przestało nam się w małżeństwie układać. Coraz mniej mieliśmy ochoty na to, żeby spędzać ze sobą czas. Ja wolałam mieć posprzątane mieszkanie i najedzone, czyste dzieci, niż wysłuchiwać jego sądowych tyrad i niekończących się przemówień. Jak długo można słuchać wciąż o tym samym? Doszło do tego, że wieczorami, kiedy już położyłam dziewczynki spać, zasiadałam do laptopa i na słuchawkach (żeby niepotrzebnie nie podpadać Mariuszowi i nie prowokować go do kolejnej kłótni) oglądałam *Kuchenne rewolucje* albo *Grę o tron*. On wychodził wtedy z domu lub zamykał się w łazience. Co robił tam tak długo? Pojęcia nie mam, ale woda z prysznica lała się prawie przez cały czas. Przyszła nam potem ze spółdzielni spora dopłata za wodę, pamiętam dokładnie, prawie dwieście złotych.

Opracowałam trik, który polegał na tym, że zanim Mariusz wyszedł z łazienki, szybko zakładałam piżamę i wskakiwałam do łóżka. Kiedy wychodził, to udawałam, że śpię. Ta metoda sprawdzała się, ale tylko z początku: Mariusz początkowo budził mnie, tak cicho i delikatnie, a kiedy nie odpowiadałam, gadając sobie coś pod nosem, wychodził z pokoju. Kładł się z powrotem dużo później, po jednej czy dwóch godzinach. Śmierdział piwem i ogórkami kiszonymi. Zwykle budziłam się wtedy, ale nie dawałam tego po sobie poznać. Nienawidziłam tego, że śmierdział, tego, że potem chrapał, a mnie czekała kolejna zarwana noc.

Niestety, po jakimś czasie Mariusz wycwanił się. Nie pozwalał mi siadać wieczorami do laptopa. Nie dawał zasnąć bez „wieczornego buziaka”. Zbywałam go, jak tylko mogłam: raz bolała mnie głowa, innym razem byłam zmęczona, potem wkurzały mnie dziewczynki, na sam koniec zostawiałam sobie okres. To była jedyna sytuacja, w której z czystym sumieniem



potrafiłam odmówić mu seksu.

Mariusz oczywiście nalegał, on zawsze nalega, a ja nie zawsze potrafię mu odmówić. Odwołuje się do mojego poczucia obowiązku, odpowiedzialności, przypomina mi, że jest moim mężem, a moim obowiązkiem jest zaspokoić go, tak jak on zaspokaja mnie materialnie.

– Jeśli chcesz, mogę iść na dziwki, stukać się na prawo i lewo. Chcesz? Tego właśnie chcesz? – dopytuje, a we mnie krew się gotuje.

– Nie chcę – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Boję się kłaść do łóżka. Nie mam już argumentów, którymi mogłabym odbić jego codzienne, wieczorne żądania.

– To musisz mnie zaspokoić. Od tego w końcu jesteś – mówi i siada na łóżku.

Nie jest przesadnie napastliwy czy agresywny, no może poza słowami. Ale ma rację, czuję to w głębi serca. Facet przecież musi się zaspokoić, nie potrafi inaczej funkcjonować. Jeśli ja nie dam mu tego, co powinnam, to oczywiste jest, że pójdzie szukać gdzie indziej. „I co wtedy? Co ze mną, z dziewczynkami?” – pytam samą siebie w duchu i już wiem, że zaraz zacznę się łamać.

Siadam obok niego. Stykamy się kolanami. Wiem, że zaraz mnie dotknie. Moje ciało przebiega zimny, nieprzyjemny dreszcz. Coraz częściej robi mi się niedobrze, gdy myślę o nas dwojgu w łóżku.

Jak zawsze, po kolejnych dwudziestu minutach męczenia mnie i namawiania – mam dość. Łamię się, rzucam zdawkowe:

– OK.

I kochamy się. Najgorsze jest to, że on nie zmusza mnie tak wprost, nie jest ani trochę zboczony, figlarny, ani nic takiego. Jest nudny i przewidywalny. Zwykły. Próbuje całować mnie w usta, ale z obrzydzeniem uciekam głową w bok.

Leżę na plecach, on wchodzi we mnie i kochając się ze mną, powtarza mi do ucha, jak bardzo mnie kocha, jak dobra i cudowna jestem, jak ciepła i opiekuńcza potrafię być, gdy mam na to ochotę... Łzy lecą mi ciurkiem po twarzy, odwracam głowę jeszcze bardziej w bok, wycieram mokre policzki wierzchem dłoni. On nadal jest we mnie, chyba nie widzi, że płaczę. A może

widzi i myśli, że to z rozkoszy? Unieruchamiam się od pasa w dół, proszę głowę, żeby odłączyła świadomość od dolnej połowy ciała. Już nie jest moja, od teraz należy do mojego męża. Ja jestem sobą tylko w głowie, w twarzy, we włosach pachnących ciemnozielonym szamponem pokrzywowym.

Dochodzi szybko. Na koniec daje mi jeszcze buziaka i mówi, że bardzo mnie kocha i żebym zawsze była tak cudowna, jak teraz. Momentalnie odwraca się na bok i zasypia w ułamku sekundy. Zazdroszczę mu takiej umiejętności.

Przez chwilę jeszcze płaczę, patrząc się tępo w sufit. Czuję się jak sparaliżowana. Mam dość siebie i życia. Nienawidzę jego penisa i seksu. To najbardziej idiotyczny wymysł świata! Moja nienawiść do męża przenosi się na innych mężczyzn. Ich też nienawidzę. Zawsze mają w głowie tylko jedno.

Obiecuję sobie solennie nigdy więcej mu nie ulec. Nie dać się przekonać. Jest mi potem tak niedobrze, tak potwornie obleśnie i strasznie, że nie chcę więcej tego przeżyć. Tak naprawdę nienawidzę samej siebie. Przecież on mnie kocha. Prosi o to, co mu się należy. Nie robi nic złego. A ja? Nie dość, że migam się od obowiązku, narażam nasz związek na nieporozumienia, to kłamię, podle kłamię, mówiąc mu, zanim wstanę z łóżka:

– Mnie też się podobało. Miałeś rację, że po chwili też nabiorę ochoty.

Mówię to po to, żeby szybciej zasnął. Żeby nie chciał więcej dyskutować ze mną, roztrząsać szczegółowych kwestii.

Podnoszę się z łóżka. Patrzę na Mariusza z pogardą i nie mam złudzeń ani nadziei, że ta sytuacja kiedykolwiek się zmieni. Nie widzę dla siebie ratunku.

Siadam w kuchni, otulona w pasie białym ręcznikiem. Zapalam światło, nalewam szklanę zimnej wody. W notesie zapisuję:

*75 lat – średnia długość życia;*

*26 lat – mój obecny wiek;*

*49 lat – około tyle lat będę jeszcze żyła;*

*60 lat – w tym wieku już na pewno będę miała odwagę i konkretne powody, żeby mu odmawiać;*

*60–26 = 34 – tyle lat uprawiania seksu jeszcze przede mną;*

*34 × 365 = 12 410 – teoretycznie jeszcze tyle razy Mariusz ma prawo*

*poprosić mnie o zbliżenie (przy założeniu jednego stosunku dziennie);*

*4 razy w tygodniu – minimum tyle razy w ciągu tygodnia nie wypada mi odmówić; na pozostałe trzy dni znajdę jakieś wymówki;*

*$12\ 410 \times 4/7 = 7091$  – tyle razy będę musiała jeszcze uprawiać seks;*

*5 dni okresu  $\times 13 \times 34 = 2210$  dni menstruacyjnego wybawienia;*

*$7091 - 2210 = 4881$  – tyle stosunków jeszcze przede mną i to nie jest dobra wiadomość.*

Nie wiem, przyrzekam wam, że nie wiem, jak dam radę. Kocham go, ale nie mogę być z nim w łóżku. Nie pasujemy, nigdy do siebie nie pasowaliśmy pod tym kątem. Nienawidzę sek...

I właśnie wtedy mnie oświeciło. Dokładnie pamiętam tamtą noc, podczas której dokonałam tego historycznego rozliczenia „liczby stosunków, które zostały mi jeszcze do odbycia do końca życia”. Zaraz potem pojawiła się nagła, oczyszczająca refleksja: może nie cały seks jest taki beznadziejny? W końcu są ludzie, a w zasadzie większość, którzy się tym zachwycają. Może więc nie jestem jakaś dziwna i wybrakowana, tylko być może to chodzi wyłącznie o seks... z Mariuszem?

Zbieram się na odwagę, żeby zadać to pytanie. Wiem, że do uzyskania na nie odpowiedzi, wiedzie tylko jedna, prosta droga – poprzez praktykę. Autopsję. Poprzez sprawdzenie na własnej skórze, jaka jest moja prawda.

Wtedy jeszcze bardzo się boję i bezwzględnie odrzucam pomysł skoku w bok. Co będzie, gdy on się dowie? A jeśli moja rodzina się rozpadnie? Jeśli córki mi tego nie wybaczą? Jeśli pójdę do piekła albo do więzienia? Jeśli za karę Bóg ukarze mnie ślepotą czy inną formą inwalidztwa? To byłoby chyba najgorsze. Jednak podświadomie czuję, że jest to jedyna droga, aby przekonać się, co tak naprawdę jest moim problemem.

Powracam myślami do dziś. Przygotowuję sobie czekoladę na gorąco, doprawiam ją cukrem, cynamonem i mielonym imbirem. „Boże, co ja robię?” – zastanawiam się, chodząc gorączkowo po domu. Policzki mam czerwone, włosy pięknie się błyszczą, podobnie jak i oczy. Przekładam wazon ze stołu na kredens, wycieram kurz z telewizora, ściągam ubrania z suszarki i układam je na półkach. Robię wszystko, żeby odciągnąć w czasie moment podejmowania decyzji. Marcin powiedział, że poczeka na

wiadomość do wieczora. W sumie to bardzo korzystna i wygodna sytuacja. Mogę pójść raz, przekonać się, jak będzie, nic mnie to nie kosztuje. Przecież nie musimy od razu iść ze sobą do łóżka. Mariusz będzie w pracy, dziewczynki w przedszkolu, to bezpieczniejsze niż wychodzenie samej wieczorem. Poza tym Marcin nie wie, jak się nazywam, gdzie mieszkam, kim jestem. Jeśli zachowam dyskrecję, nigdy się o tym nie dowie. Nie zagrozi mi – no, chyba że by mnie śledził, ale liczę, że to się nie wydarzy. Minusem jest to, że pracuje w naszym lokalnym sklepie. Często tam chodzimy – i ja, i Mariusz.

„Jezu, a jeśli to jego znajomy? Jeśli nasłał go, żeby mnie przetestował? Sprawdził moją wierność?” – przychodzi mi na myśl i w sekundę ogarnia mnie paniczny lęk. Tak bardzo się boję, że od razu postanawiam nigdy nie pisać do niego.

Biorę telefon, chcąc od razu, dla bezpieczeństwa, wykasować jego numer. W ostatniej chwili przychodzi moment zawahania.

„Mariusz na pewno by tego nie wymyślił – dochodzę do wniosku. – A jeśli nawet, to zawsze mogę się wyprzeć”. Szkoda mi marnować tak perfekcyjną sytuację do przekonania się, jak smakuje inny mężczyzna. Dotąd byłam tylko z jednym w łóżku, z mężem, choć całowałam się z kilkoma. Jednak nigdy do niczego więcej nie doszło, a za Mariusza wyszłam za mąż dosyć młodo, miałam dwadzieścia lat. Wkrótce potem urodziły się dziewczynki, no i tak to jakoś zleciało aż do teraz.

„OK, nie jestem już taka młoda i ładna jak dawniej” – kontynuuję wewnętrzne rozważania. Jednak faktem jest, że nie wyobrażam sobie uprawiania seksu z Mariuszem do końca życia. Oczywiście, że chcę z nim być, że będę bronić naszego małżeństwa jak lwica i zrobię wszystko, żeby moje córki miały idealny dom i dzieciństwo pełne kolorowych wspomnień. Jednak jeśli mam się przekonać, czy to ze mną jest coś nie tak, czy może jednak z nami, lepiej zrobić to teraz, przed trzydziestką, niż czekać, aż stanę się jeszcze starsza, grubsza i bardziej pomarszczona. Poza tym Marcin naprawdę bardzo mi się podoba, to jest coś więcej niż tylko zauroczenie, on ma w sobie coś magicznego, przedwiecznego, coś takiego, co sprawia, że nie mogę przestać o nim myśleć. Jest stale obecny w mojej głowie. Myślę o nim, marzę i mam ochotę przekonać się, co moglibyśmy wspólnie zdołać.

Nadchodzi kolejna fala wstydu i lęku: a jak nie poradzę sobie? Znam tylko

jednego faceta, może jestem beznadziejna w łóżku? Może to moja wina? Za mało się staram, nie znam się na technikach, na pozycjach... Ja pierdołę, czemu to takie trudne?

\*\*\*

Wieczorem Mariusz nie wraca na kolację. Pojawia się dopiero około północy. Zdejmuje tylko buty w przedpokoju i w ubraniu, bez prysznic ani nawet mycia zębów, rzuca się na łóżko, na kołdrę. Oczywiście nie spałam. Oczywiście udaję, że śpię. Kiedy obraca się do mnie bokiem, przywiera do moich pleców, sponiewierany i śmierzący wódką, czara goryczy przelewa się. Dla bezpieczeństwa odczekuję około dziesięciu minut. Kiedy mam już pewność, że śpi mocno, co objawia się głośnym chrapaniem, wstaję z łóżka i idę do toalety. Przekręcam zamek i postanawiam od razu wysłać wiadomość, póki mam odwagę. Piszę: „Cześć. Wpadnę jutro koło dziewiątej trzydzieści. Daj znać, czy ci pasuje. Przynieść coś?”.

Odpowiedź przychodzi dopiero po kilku minutach: „Hej. Cieszę się, że się zdecydowałaś. Przynieś tylko siebie, nic więcej nie trzeba. Będę czekał. Pamiętaj: Białogradzka 2/5”. Uśmiecham się, bo zapisałam jego numer pod nazwą: „Anka Kowalska”. To miłe, otrzymywać tak dobre wiadomości od Anki. Uwielbiam Ankę.

Kasuję esemesa, zmieniam hasło odblokowania w telefonie i kładę się od razu do łóżka, choć nie wiem, czy z wrażenia w ogóle uda mi się zasnąć. Robię wszystko, żeby nie myśleć o jutrze.

Dzisiaj, po wyjściu ze sklepu, bardzo spokojnie i powoli przeszłam się ulicą Białogradzką, zastanawiając się, które okna są jego. Potem zaglądam jeszcze na plac zabaw, który choć znałam od podszewki, tym razem ukazał mi się w zupełnie nowej odsłonie. Nigdy nie patrzyłam w stronę okien jego bloku. Wtedy zobaczyłam je, były schowane nieco za drzewami. Jesienią i zimą widać z nich obie huśtawki, piaskownicę i zjeżdżalnię, ale na wiosnę i latem liście z pewnością przesłaniają większość widoku.

Układając się wygodnie na poduszce, liczę oddechy. Zasypiam przy dwudziestym. Rano wyprawiam Mariusza do pracy, odprowadzam dziewczynki do przedszkola i w drodze powrotnej z biedronki zahaczam jeszcze o jedno miejsce. O mieszkanie, w którym nigdy dotąd nie byłam. O miejsce, które od teraz będzie kojarzyło mi się już tylko z jednym. Z nim. Z Marcinem.

### 3.

– Wystaw język – szepcze, a ja, zaskoczona, robię to, o co poprosił.

Wyciągam język przed siebie i patrzę na niego z zaciekawieniem. Podchodzi do mnie bliżej. Ja siedzę na ciemnozielonym fotelu z Ikei. On usiadł tuż obok, na krześle, jest wyżej ode mnie, patrzę w górę na niego i śmieję się, wyciągając w jego stronę język.

Marcin przysuwa twarz bliżej mojej i na chwilę zastygamy w bezruchu. Powietrze wydaje się pulsować, jest naelektryzowane i namagnetyzowane. Patrząc raz na moje oczy, a raz niżej, przysuwa się jeszcze bliżej mnie: teraz nasze twarze prawie się ze sobą stykają.

– Zamknij oczy – mówi, a ja w ułamku sekundy wiem, że zrobię wszystko, ale to wszystko, o co tylko poprosi.

Nie prosi jednak o nic. Bierze czubek mojego języka w swoje usta i delikatnie zaczyna go wciągać. Zasysać. Trwa to przez dłuższą chwilę. Jestem już tak bardzo podniecona, że mam ochotę rzucić się na niego albo sama zacząć się pieścić.

Po minucie on wypuszcza język, już nie ciągnie go tak mocno. Całuje mnie teraz, całuje moje usta delikatnie, tak inaczej od tego, co znam od Mariusza. Jego język wchodzi we mnie głęboko, czuję go, jest długi i silny. Przejeżdża nim po moich zębach i gryząc mnie w dolną wargę, w tej samej sekundzie kładzie dłoń na moich majtkach.

Przysuwam się bliżej niego, staję się miękka i uległa, marzę, by we mnie wszedł, niezależnie od konsekwencji. W życiu nie czułam się lepiej, przyjemniej.

Całujemy się nadal: Marcin na parapecie zapalił świeczkę, mimo że jest przecież widno. Bardzo mi to zaimponowało. My wcale nie palimy świeczek w domu, Mariusz mówi, że dym jest niezdrowy.

W oknach nie wiszą firanki ani zasłony. Są całkiem nagie, choć nie do końca: kątem oka dostrzegam granatowe rolety zamontowane wysoko, zaraz pod sufitem. Pokój, w którym jesteśmy, jest duży, przestronny i kwadratowy. Niestety, nie dostrzegam w nim łóżka.

– Na razie wystarczy – stwierdza, odrywając się ode mnie.

Otwieram rozmarzone oczy.

– Chcę jeszcze.

– Wiem, kotku, ale nie spieszmy się, bo i po co? Nie lepiej się najpierw trochę poznać, zabawić?

Nie do końca wiem, co ma na myśli, nic więc nie odpowiadam. Łapię go za koszulę i przyciągam z powrotem do siebie. Też jest podniecony, wiem to, czuję jego twardey członek pod spodniami. Spogląda na mnie, jakby coś rozważając. Potem wstaje z krzesła i momentalnie jest już na mnie. Tak cudownie miło jest czuć jego ciężar na sobie.

Kolanem rozsuwa mi nogi. Ściąga mnie z fotela na podłogę i kładzie się na mnie. Atmosfera między nami jest bardzo dziwna, wręcz zaskakująca: z jednej strony ogromne, niesamowite podniecenie, z drugiej – luźny nastrój, ciepły i przyjacielski. Czy to możliwe? Tak abstrakcyjne połączenie? „Chyba tak” – odpowiadam sobie, jednocześnie zaprzestając wszelkich intelektualnych rozważań. Monolog wewnętrzny kończy się. Teraz liczy się tylko tu i teraz. Ja i on. Dziewczynki są bezpieczne w przedszkolu. Mariusz jest daleko w pracy. Mama na wsi, teściowa na Zabłociu, a ojciec w murowanej komórce grobu na parafialnym cmentarzu. „Nikt mnie tutaj nie znajdzie, nikt nie zobaczy” – uspokajam sama siebie.

Marcin, patrząc mi w oczy, ściąga ze mnie rajstopy i stringi. Delikatnie dotyka mnie, a potem wkłada jeden palec, a zaraz po nim drugi do środka. Porusza nimi wewnątrz, dopóki nie dochodzę.

– Podobało się? – pyta potem.

Kiwam głową, rozmarzona.

– Jutro niestety pracuję, ale możesz wpaść znowu pojutrze. Pójdziemy o krok dalej – zapowiada, a ja czuję, jak fala rozkoszy automatycznie do mnie powraca i zalewa mnie całą.

Ja po prostu chyba stąd nie wyjdę. Nie wyjdę, i już! Zadzwońię po teściową, żeby odebrała dziewczynki z przedszkola i niech się dzieje, co chce. Pierdoleć to wszystko. Chcę więcej.

– Nie dziś, złotko – stwierdza, całując mnie w usta na pożegnanie. – Masz, to na drogę. – Wkłada mi w dłoń różowy smoczy owoc. – Zjedz go sama, ustami, bez użycia rąk. Jak przyjdiesz do mnie w czwartek, to cię odpytam

z odrobionego zadania. Mam nadzieję, że zaliczysz na piątkę z plusem.

– Na szóstkę – odpowiadam, choć wcale nie jestem co do tego przekonana. Mam obawy, że nie sprostam jego seksualnym oczekiwaniom.

W zasadzie nie rozmawiamy więcej. Nie mówimy o sobie nic, nie zwieramy się. Wstaję i ubieram się, zbieram do wyjścia. Czuję się nadal oszołomiona, potrzebuję paru minut w samotności, na świeżym powietrzu, żeby dojść do siebie.

– Pa – mówi on, przygarniając mnie do siebie zaborczym ruchem ramion i całując w sam czubek głowy.

– Cześć – mówię ja, całując go po raz ostatni w usta i odwracając się w stronę schodów.

Na klatce na szczęście jest ciemno, nie widać twarzy napotykanych po drodze sąsiadów.

\*\*\*

Wieczór jest ciężki, bo długi. Nie mogę myśleć o niczym innym niż tylko o Marcinie. Wciąż mam go w myślach, w sercu, przed oczami. Puszczam dziewczynkom jedną bajkę za drugą: cieszą się, że w końcu mają spokojne chwile dla siebie. Dzięki Bogu, Mariusz pisze esemesa, że dziś znowu wróci później. Że jakieś spotkanie, że *business saper*, że będzie koło północy. Oddycham z ulgą i napuszczam wody do wanny. Dziewczynki są dopiero w połowie *Pocahontas*. Wskakuję pod pianę, biorę telefon.

*Co lubisz?* – prowokacyjnie pytam Marcina w esemesie. Wcześniej dwukrotnie upewniam się, czy to dobry numer. Mam nadzieję dowiedzieć się czegoś o jego preferencjach.

*Ciebie lubię* – odpowiada po niedługiej chwili. Uśmiecham się. Chciałabym, ale oczywiście nie napiszę: „Ja ciebie też”.

*Ile masz lat?*

*Dwadzieścia cztery.* – Uff, to nie tak źle. – *A ty?*

*Dwadzieścia sześć, ale w tym roku skończę dwadzieścia siedem* – odpisuję. Woda pachnie różami i rumiankiem. Biorę nieco piany na język. Smakuje solą.

*Będę cię zatem ostro pierdolił w te urodziny* – stwierdza, nie pyta.



*Mam taką nadzieję* – odpisuję i zanurzam się z głową pod parującą wodę.

\*\*\*

Jest już noc. Dziewczynki śpią, Mariusz wróci dopiero za dwie godziny. Przebrałam się już w piżamę i zamykając drzwi do kuchni, przystawiam je krzesłem, tak na wszelki wypadek. Staję nad stołem. Na grubą, przezroczystą ceratę w wielkie, wściekle różowe fuksje stawiam duży, płaski talerz bez żadnych zdobień, na nim kładę owoc. Jest różowy, o owalnym kształcie i zielonych zakończeniach roślinnych łusek. Rozkrawam go na pół, nóż wkładam do zmywarki.

Staję nad owocem i przyglądam się równym, krągłym połówkom. Moja pierwsza myśl, to wpisać w Google pytanie: *Jak się je smoczy owoc*. Po chwili namysłu rezygnuję z tego pomysłu i postanawiam dać się ponieść chwili.

Schylam się, przykładając nos do miąższu w odcieniu chłodnej bieli. Zaskakuję samą siebie: wyciągam język i powoli zaczynam lizać raz jedną, raz drugą połówkę. Na języku czuję słodki posmak. Schodzę jeszcze niżej i zanurzam w owocu zęby. Wyjadam pestkowany miąższ, powoli i z uwagą, tak jak prosił o to Marcin – bez użycia rąk. Na koniec wylizuję skórę i uśmiecham się na myśl o perfekcyjnie wykonanym zadaniu domowym. Trochę chce mi się śmiać z samej siebie, z całej sytuacji. Ale jest to miłe. Śmiać się z siebie po latach pełnych ciężkich kamieni w głowie i żołądku.

Skórki przed wyrzuceniem zawijam w papier śniadaniowy i trzy różnokolorowe siatki. Nie chcę niepotrzebnie stresować Mariusza tym, że wydaję za dużo pieniędzy na fanaberie.

Wieczorem znów udaję, że śpię, kiedy mąż kładzie się do łóżka. Próbuje dostawiać się do mnie, ale odpycham go „przez sen”. Najwyraźniej jest zmęczony, bo już po dwóch, trzech minutach mówi:

– A, spadaj. Znajdę se lepszą. – I odwraca się na bok. Zasypia momentalnie.

## 4.

Dwa dni później jestem u niego punkt dziewiąta. Otwiera mi drzwi i bez słowa wpuszcza do środka.

– Dzisiaj będzie trochę ostrzej, złotko – mówi szeptem tuż nad moim uchem, jednocześnie odwracając mnie tyłem do siebie, a przodem do ściany, do której dociska mnie swoim ciałem.

Napiera na mnie, a ja mam ochotę krzyczeć z rozkoszy. Mówię mu to. Marcin nie odpowiada, ale czuję, że uśmiecha się z satysfakcją. Zrzucam z siebie buty, a on pomaga mi ściągnąć rajstopy i stringi. Jestem jeszcze w kurtce, kiedy on rozsuwa mi nogi i delikatnie dotyka mnie pomiędzy nimi, przygotowując sobie miejsce dla siebie. Potem całuje mnie w szyję, a ja postanawiam jednak zdjąć z siebie granatową puchową kurtkę. Ma kaptur obity jasnym futerkiem, które łaskocze mnie w kolana, gdy ściągam ją i zsuwam w dół po gołych udach i łydkach.

Jestem w samej bluzce, kiedy przechodzimy do pokoju. Nagle uświadamiam sobie, że uwielbiam chodzić boso po podłodze. Drewniany parkiet jest ciepły, przyjemnie jest czuć go pod stopami i plecami – kładę się na podłodze, Marcin jest tuż nade mną. Kiedy wchodzi we mnie, patrzymy sobie w oczy, a nasze usta łączy słodki pocałunek, pachnący egzotyką.

Siadam na nim: pod sobą czuję ciepłą podłogę, obejmuję go kolanem, przyciągam do siebie mocniej. Marcin całuje mnie w usta, potem w szyję, zanurza się w moich rozpuszczonych włosach. Jest stale uważny i skupiony na mnie, na moich reakcjach. Dziwi mnie to i zaskakuje. Staram się odwdzińczyć mu tym samym.

\*\*\*

– Powiedz mi, bo, mówiąc szczerze, ogromnie mnie to ciekawi i fascynuje... – zagaduję, kiedy leżymy na łóżku, ja przykryta kołdrą, on z papierosem w ustach.

– Dajesz – odpowiada, wydychając głośno dym. W pokoju powoli robi się sino od tego dymu.

– Jak to jest możliwe, że jesteś tak dobry w łóżku? Skąd znasz te wszystkie sztuczki? Jak to możliwe, że twoje ruchy są płynne, naturalne, że nie

odtworzysz roli, tylko cały czas dajesz mi coś nowego? Dużo jeszcze masz w zanadrzu? – pytam zupełnie szczerze. Wiem, że pewnie każdy mężczyzna chciałby coś takiego o sobie usłyszeć, ale w przypadku Marcina to najszczęsza i najświętsza prawda. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę twój wiek i...

– I to, że pracuję na kasie w biedrze? – pyta ironicznie.

Oboje głośno się z tego śmiejemy, bo jest w tym stwierdzeniu coś śmiesznie prawdziwego. Jakieś zakorzenione głęboko przekonanie, mówiące, że dobrzy kochankowie pochodzą z wyższych sfer. A wyższe sfery pracują w bankach, sądach i szpitalach.

– Nie wiem, złotko, co mam ci odpowiedzieć – stwierdza, dogaszając papierosa w połowie.

Szklana popielniczka, wzięta żywcem z lat dziewięćdziesiątych, jest w połowie zapełniona petami. Marcin obraca się w moją stronę i bierze moją twarz w dłoń.

– Wydaje mi się, że kluczem do sukcesu jest przyjaźń, miłość. Odwaga. Otwartość. Chęć pójścia o krok dalej, o krok do przodu. Chęć zaspokojenia ciebie i dogodzenia ci za wszelką cenę. Bez oceniania, osądzania, krytykowania. Bycie sobą tu i teraz, zawsze i wszędzie... – Widząc moje wąpiące spojrzenie, dodaje: – No dobra, po prostu jestem w tym zajebisty. – Uśmiecha się uroczo.

Mam ochotę schrupać go na śniadanie.

– I pewnie masz spore doświadczenie? – pytam, jak nastolatka.

– No, coś tam się w życiu robiło – odpowiada zdawkowo.

– A czemu pracujesz w sklepie?

– Nie rozumiem.

– Czemu nie masz lepszej pracy?

– A czemu miałbym chcieć lepszą? I co to znaczy „lepsza”? Mówisz o pracy w korporacji czy w banku?

– Tak – stwierdzam i rumienię się.

Zaczyna do mnie docierać zenująca infantylność tego pytania

i wartościowanie przez mnie ludzi. Dzielenie ich na kategorie lepszych i gorszych.

– Robiłem w życiu różne rzeczy. Ta praca jest jedną z nich. Na razie nie narzekam na nią, zwłaszcza że dzięki niej poznałem ciebie...

– Romantyk.

– Ale z pewnością nie jest to praca na całe życie, to wiadomo. Ty za to, widzę, że pochodzisz chyba z arystokracji? – pyta prowokacyjnie.

– Wychowałam się na wsi. W mieście zamieszkałam dopiero po zdanej maturze. Obecnie nie pracuję, ale studiuję zaocznie – odpowiadam zgodnie z prawdą, nie wdając się w szczegóły.

Postanawiam nie wspominać o córkach i mężu, chyba że sam o to zapyta. Wtedy odpowiem wprost, bez wykręcania się.

– Mogłabyś zostać ze mną na dłużej? – pyta.

Wstrzymuję oddech i zaciskam pięści na kołdrze.

– Dziś?

– Może być dziś, może być jutro, kiedy chcesz.

– Przemyślę i dam znać. – Co oznacza: „wyślę rodzinę na wakacje i cała jestem twoja”.

– Byłoby fajnie móc spędzić z tobą nieco więcej czasu sam na sam. Tak żebyśmy nie musieli się nigdzie spieszyć... Podobasz mi się – mówi, patrząc mi raz w oczy, a raz na usta. Leży bokiem i prawą ręką podpira głowę, a lewą bawi się kosmykiem moich włosów. – Musisz wiedzieć, że nie zawsze jestem taki szybki w łóżku. Ale odkąd poznałem ciebie, w głowie mam tylko same zboczone pomysły. A jak ty to widzisz?

Nie mam odwagi odpowiedzieć słowami. Dokładnie czuję to samo, co on. Przysuwam się bliżej i zaczynam go całować. Odwzajemnia pocałunek. Nie przerywając całowania, mówi wprost w moje usta, czuję jego oddech w sobie:

– Wróć do mnie szybko. Jesteś moja, cała moja. Tylko moja.

\*\*\*

Po powrocie do domu długo nie mogę spojrzeć w lustro. Boję się, nie wiem, kogo tam zastanę. Wstydzę się sama siebie, swojego wzroku, który widział to,

co ja. Wstydę się również tego, co zaszło, a jeszcze bardziej tego, że to mi się bardzo podobało. Nie potrafię się do tego jasno ustosunkować. Z jednej strony pojawia się wstyd, poczucie winy, grzechu, zażenowania... z drugiej – silna, przemożna chęć pójścia dalej w nieznane. Potajemnie marzę o Marcinie i naszych zboczonych igraszkach, choć patrząc w lustro, nie umiem spojrzeć sobie w oczy. Głupio mi. Po prostu mi głupio. I wstyd.

Wieczór tego dnia zastaje mnie szybko, za szybko. Odbieram dziewczynki z przedszkola, jak automat, również na autopilocie wracamy do domu, gdzie włączam im bajkę i odgrzewam na szybko mrożone pierogi, posypując je solą i pieprzem w ramach przybrania i jednej z pięciu dziennych porcji warzyw. Potem kładę się na łóżku, zamykam oczy i w głowie odliczam minuty do naszego następnego spotkania... które niestety okazuje się odległe w czasie.

## 5.

Niestety, poranek przynosi dziwne zaskoczenie: Mariusz nie wstaje do pracy. Próbuję go budzić, jeden raz, potem drugi. Potrząsam go za rękaw i straszę spóźnieniem się do sądu.

– Zostaw mnie, nigdzie nie idę – wypowiada w stronę poduszki.

Czuć od niego nieprzetrawionym alkoholem. Jak to możliwe? Czyżby wstawał w nocy i wtedy pił?

– Ale jak to? Nie masz dziś żadnych rozpraw ani spotkań? – dopytuję.

To się nigdy wcześniej nie przytrafiło. Bywały dni, że Mariusz zarywał noce, ale zawsze wstawał następnego dnia do pracy. Nie zdarzyło mu się nie pójść do sądu czy do kancelarii.

– Nie mam. A teraz zostaw mnie i zajmij się dziećmi. Dziś nigdzie nie idę.

Przez moment przebiega mi przez głowę myśl, że może wszystkiego się domyślił, może jednak Marcin jest tajnym agentem, podstawionym przez mojego męża po to, by sprawdzić moją wierność?

– Zamknij za sobą drzwi. – Słyszę, wychodząc z pokoju.

Dziewczynki już wstały. W ich pokoju toczy się poranna bitwa na poduszki, kołdry, pluszowe misie i wszystko, co tylko wpada im w ręce. Starsza chyba wygrywa, leżąc na młodszej i nie pozwalając jej podnieść się z łóżka.

– Julcia, co ty robisz?! – pytam protekcyjnym tonem, z odrobiną złości w głosie. Jestem zestresowana dzisiejszą sytuacją i nie wiem, jak ją rozegrać.

– Słuchajcie, tatuś źle się czuje, chyba się przeziębził. Zostaje dziś w domu – stwierdzam, a one przerywają bitwę i zaczynają słuchać mnie z zainteresowaniem w szeroko otwartych oczach.

– A co się stało? Ma gorączkę? – pyta Wiki.

– Chyba tak, ale jeszcze nie mierzył, więc nie wiemy na pewno.

– A boli go gardło? Jeśli tak, to powinien zażyć syrop malinowy! – dodaje Julcia, również przejęta chorym tatusiem.

– Już zażył – odpowiadam na odczepnego; nie chce mi się z nimi roztrząsać tego tematu. – Tatuś musi teraz odpoczywać i najważniejsze jest, żebyście mu

nie przeszkadzały. A to oznacza ciche mówienie, niewchodzenie do naszego pokoju, niebieganie po domu. Rozumiemy się?

– Tak, mamusiu – odpowiadają zgodnie, a kiedy tylko odwracam się w stronę szafy, żeby przygotować im strój na dziś, znów zaczynają walczyć na poduszki.

– Dość tego! – krzyczę. Nerwy mi puszczają. – Mówiłam, że ma być cisza, a wy hałasujecie, jak głupie! Jak idiotki jakież! Jak się tatuś obudzi, to będzie bardzo zły, nie rozumiecie tego?! Same będziecie go wtedy przepraszać! To będzie wasza wina, jeśli tatuś będzie zły i smutny.

Po tych słowach dziewczynki natychmiast milkną. Czuję wyrzuty sumienia, że zareagowałam tak ostro. Głupio mi, ale jeśli obudziłyby Mariusza, to awantura, która by się wtedy rozpętała, przebiłaby głośność mojej reprimendy przynajmniej trzykrotnie.

W ciszy przechodzimy do kuchni, gdzie robię dziewczynkom śniadanie. Julcia życzy sobie parówki, a Wiki jajecznicę. „Dobrze, że nie naleśniki francuskie z marmoladą z mirabelek i pigwy” – dodaję w myślach. Rozśmiesza mnie ten żart i śmieję się po cichu, żeby uniknąć dopytywanie córek: „A z czego się tak śmiejesz, mamusiu, a z czego?”. „A, z gówna” – odpowiadam w myślach.

Nie wiem czemu, ale chodzę podenerwowana od samego rana. Czy to z powodu Marcina czy Mariusza? Mam w domu nie tego, którego bym chciała, wszystko jest na opak. Na szczęście dziewczynki szybko udaje się zaprowadzić do przedszkola, ciocie przejmują je z uśmiechem, a ja oddaję je z ulgą. Będę mieć kilka godzin na zastanowienie się, co dalej.

Po pierwsze: dla bezpieczeństwa raz jeszcze zmieniam hasło w telefonie. Po drugie: nie idę na zakupy, jak zwykle, do biedronki, tylko do lidla. Nadkładam kawałek drogi, ale zapewnia mi to trochę komfortu psychicznego. Na wypadek, gdyby Marcin był na kasie, a Mariusz w tym samym czasie pojawił się w sklepie. Wszystko jest możliwe i każdą opcję trzeba brać teraz pod uwagę.

Po powrocie do domu staram się zachowywać naturalnie, jak gdyby nic się nie stało. Oczywiście uważam też, żeby nie dać się niepotrzebnie sprowokować Mariuszowi, co nie będzie proste, zważając, że nie jest w najlepszym nastroju.

Wstał już. Kiedy przekręcam, jak zawsze ze ściśniętym gardłem, klucz w zamku, słyszę, że jest pod prysznicem. Oznacza to, że wstał i podnosi się do życia – staje na nogi. W kuchni rozpakowuję zakupy i nasłuchuję, cała w nerwach. Czy wie coś? Czy podejrzewa? Czy domyśla się?

– Cześć – mówi, wchodząc do kuchni.

Jest już ubrany i wymyty, mimo to ciągnie się za nim woń nieprzetrawionego alkoholu. Pewnie miał wczoraj ciężki dzień w pracy. Boję się pytać.

– Cześć – odpowiadam neutralnym tonem. – Zrobić ci kawę? – pytam, włączając od razu ekspres.

– Poproszę. – Siada przy stole, z miną zbitego psa. Zastanawiam się, czy dopytywać, o co chodzi, czy pozostawić mu wolną rękę w tej kwestii. – Póki co będę na urlopie – stwierdza, tym samym rozwiązując mój dylemat.

Jestem w szoku. Wszystko w środku mnie zamiera, słyszę, jak bije moje serce i jak szumi krew w tętnicach.

– OK. A będziemy gdzieś wyjeżdżać? Czy po prostu potrzebujesz czasu dla siebie? – Silę się na miły ton głosu.

– Po prostu mam dość tej idiotycznej roboty. Chyba poszukam sobie czegoś mniej stresującego – stwierdza, a mnie zaczynają ogarniać coraz większe obawy.

Przecież Mariusz zawsze uwielbiał ryzyko i adrenalinę. Kochał swoją pracę, zawsze głośno to podkreślał, że nie zamieniłby jej na żadną inną. Może coś się stało? Może ma problemy? Jest szantażowany? A może... sami go wyrzucili?

– Oczywiście, kochanie. Najważniejsze, żebyś był zadowolony – zapewniam, chcąc okazać mu wsparcie. Jednocześnie martwię się, co będzie z pieniędzmi. Czy ten urlop jest płatny?

– Jak długo planujesz być na urlopie? – pytam, patrząc na niego tylko ukradkiem.

Drapie paznokciem w ceratę, popijając kawę małymi łykami.

– Sam jeszcze nie wiem. Chyba dopóki nie znajdę czegoś nowego.

Za oknem cisza. Dawno już zapomniałam o Marcinie ze snu. Czy on



w ogóle kiedykolwiek istniał?

– Jeśli potrzebowałbyś pomocy, to wiesz, gdzie mnie znaleźć – dodaję, chcąc po raz kolejny okazać mu pełne wsparcie.

– A w czym ty, kurwa, mogłabyś mi pomóc, co? Robotę mi znajdziesz? Sama pójdziesz zarabiać? Tylko gdzie cię przyjmą? – dodaje ironicznie. – Chyba tylko na kasę do biedry! Tylko do tego się nadajesz!

Nie mogę oddychać. Zamykam oczy ze złości i z bólu. Ten głupi szczur znowu się obudził i wgryza się w mój żołądek. Odruchowo przykładam dłoń do splotu słonecznego, licząc, że może ten mały potwór wystawi głowę na zewnątrz – wtedy dorwę ją i ukreczę.

– Praca w sklepie nie jest dla mnie niczym gorszącym. Zresztą, jak wiesz, przed ślubem pracowałam jako sprzedawczyni, a potem kelnerka i całkiem nieźle zarabiałam – przypominam, nie mogąc pozwolić, by tak ostentacyjnie mi dogryzał.

– Ta, podając żarcie obcym ludziom. Zajebista praca. – Prycha ze złością, a we mnie zaczyna się wszystko gotować.

Odkładam na bok nóż i cebulę, odrzucam z hukiem garnek na blat.

– A co? Twoja niby lepsza? Bronienie przestępców w sądzie?! Głupie gadki po to, żeby bandyci uniknęli kary, tak? To nazywasz super pracą na poziomie?! – dopytuję, kładąc ręce na biodrach. Czuję, że w końcu mam moc i odwagę, żeby mu wszystko wygarnąć. – Głupi jesteś, i tyle! Pracę miałeś, to czemu w domu siedzisz? Pewnie cię nie chcieli, co? Zapiłeś może? Zapomniałeś o terminie? A może odpyskowałeś jakiemuś sędziemu i za to cię zawiesili? – pytam i momentalnie żałuję swoich słów.

Mariusz wstaje rozwścieczony, wygląda jak białe, rozpuszczone w żarze żelazo. Wstaje, patrzy mi prosto w oczy i uderza mnie w twarz z taką siłą, że aż mi się ciemno robi przed oczami. Upadam, czuję wzbierające we mnie mdłości, przed oczami ciemno, czarno i gwiazdy. Kopie mnie jeszcze w żołądek i wychodzi z kuchni. Skrzywienie jego skórzanych pantofli, kupionych w Zakopanem, staje się coraz słabsze, coraz bardziej odległe.

\*\*\*

Kiedy budzę się, wiem, że nie chcę jeszcze wstawać. Głowa boli mnie niemiłosiernie, mam wrażenie, że pękła i rozłamała się na pół. Obie części nie

chcą teraz ze sobą rozmawiać, ich współpraca się nie klei.

Kiedy budzę się, wiem, że leżę. Nie potrafię wykonać żadnego ruchu, ani ręką, ani nogą, nie mówiąc już o przewróceniu się na bok. Powieki podnoszę z niemałym wysiłkiem.

Oddech boli. Ale to już wiecie. Zaciskam zęby, przygryzam wargę. W ustach czuję dziwny, metaliczny posmak. Później się okaże, że tak właśnie smakuje krew. A kiedyś myślałam, że słono, jak sok pomidorowy.

Mariusz jest przy mnie. Chyba trochę mu głupio, bo nie odzywa się; głowę schował w ramionach, skulony siedzi na krześle obok mnie. Ja leżę; podnieść się nie mogę.

– Przepraszam – szepcze.

– Nic nie szkodzi – chcę odpowiedzieć, ale nie mogę. Nie potrafię. Za bardzo boli.

Coś dziwnego stało się ze mną, coś jakby rozlało się w środku, wewnątrz mnie. Nagle, w tej właśnie chwili, uświadamiam sobie, że to coś bezpowrotnie odeszło, minęło, że skończyła się jedna z epok mojego życia. Już nic nigdy nie będzie takie samo.

Mariusz podnosi głowę i smutnym wzrokiem, z miną zbolełego psa, który coś przeskrobał, spogląda na mnie, prosząc o litość. O znak życia. Błagając o cokolwiek.

– Spierdalaj – chcę powiedzieć, ale nie mogę.

Usta nie otwierają się ani na milimetr, choć bardzo je o to proszę. Pragnę w końcu wygarnąć mu wszystko, powiedzieć, co tak naprawdę o nim myślę, co tak naprawdę do niego czuję.

Mariusz wyciąga rękę w moją stronę, głaszcze mnie po twarzy i włosach. Odczuwam mdłości. Zaciskam się cała w środku, wyobrażając sobie, że moja wewnętrzna moc odrzuca go ode mnie i wali nim z całej siły w ścianę. Uderza się w głowę i pada raniony na ziemię. Wszystko pięknie, tyle tylko, że on jest ranny w moich myślach, a ja byłam nieprzytomna naprawdę.

Nie wiem, czy kiedykolwiek się podniosę, czy uda mi się jeszcze wstać. A jeśli umrę? A jeśli będę sparaliżowana? A co, jak on postanowi mnie... dobić? Straszne myśli przychodzą mi do głowy. Dzięki Bogu, Mariusz zachowuje zimną krew i mówi:

– Słuchaj, już pora odebrać dziewczynki z przedszkola. Pojadę po nie i zawiozę je prosto do mojej mamy. Powiem, że się rozchorowałaś i poproszę, żeby zajęła się nimi przez weekend. Co ty na to? – pyta, jak idiota.

Czy naprawdę sądzi, że jestem w stanie w jakikolwiek sposób mu odpowiedzieć?!

Jeszcze raz czuję, jak głaszczę mnie po włosach. Mam ochotę gryźć i krzyczeć. Najchętniej rzuciłabym w jego głowę ogromnym stalowym garnkiem. Albo szklanym wazonem, pełnym wody i róż z ostrymi jak brzytwa kolcami. Wyobrażam sobie, jak go boli, jak cierpi, jak upada na podłogę, z zakrwawioną głową, rozdartym brzuchem. Nienawidzę go, szczerze go nienawidzę i ogromnie cieszy mnie fakt, że w końcu to sobie uświadomiłam.

Słyszę stuknięcie drzwi, odgłos przekręcanego w zamku klucza. Stało się.

Z trudem otwieram oczy. Z jeszcze większym próbuję się podnieść. Okropnie boli mnie głowa, przy każdym, najmniejszym ruchu ogarnia ją tępy, pulsujący ból. Nie poddaję się mimo to. Powoli, powolutku podnoszę się i siadam na krześle. Poziom adrenaliny wzrasta we mnie z każdą chwilą, co sprawia, że nabieram mocy do działania. Ból staje się mniejszy, mniej dokuczliwy. Przekształcam się w robota bojowego, nastawionego na osiągnięcie konkretnego celu.

Czuję się, jakbym śniła: jest to piękny, choć brutalny sen. Powolnym krokiem podchodzę do szafy. Wyjmuję z niej dwie walizki. Jedną większą, różową – do niej zamierzam spakować rzeczy dziewczynek. Ta druga jest mniejsza, obita materiałem przypominającym granatową galaktykę usianą milionami małych, białych punkcików, wiecie, że niby to gwiazdy. Do tej walizki zamierzam spakować swoje własne rzeczy. Walizkę trzecią, zgniłozieloną, zostawiam w szafie. Niech Mariusz spakuje się do niej, jeśli się wyprowadzał lub zamierzał gdzieś wyjechać. Co mnie to.

Wpadam (oczywiście w miarę możliwości, ślaniając się na nogach) do pokoju dziewczynek. Po drodze zahaczam o łazienkę. Pakuję: po dwie bluzki krótkie i długie, po dwie piżamy, parę rajtek, skarpetek i majtek, trochę sweterków, szczoteczki i pastę do zębów, spinki, grzebień, misia Mruczka i pluszową kaczuszkę Plamkę, *Legendy o księżniczkach* w grubej oprawie, pantofle, dodatkowe cztery bluzki, żeby wypchać rogi walizki i już, wszystko gotowe. Na koniec dokładam jeszcze ich ulubione kubeczki plastikowe z serii

*Frozen* w błękitnym kolorze. Lubię błękit – dochodzę do tego przekonania, próbując upchnąć naczynia z Elsą i Olafem w różowej walizce Wiktorii i Julki.

Ze swoich rzeczy zabieram teczkę z najważniejszymi dokumentami, trochę przypadkowych ciuchów, szczoteczkę do zębów, czerwone drewniane korale, suszarkę Philipsa, zeszyt do zapisywania snów, długopisy, węgle i szkicownik, album o motylach, pióro, które dostałam od mamy na osiemnastkę, portfel, torebkę i zachomikowane pod wanną, schowane w cztery osobne foliowe woreczki pieniądze.

Nie mija godzina, a ja jestem w stanie znieść sama obie walizki na dół. Wcześniej zażywam jeden ketonal, których zapas mamy w domu po tym, gdy Mariusz usuwał chirurgicznie ósemkę. Zażywam też dwa gripeksy na wzmocnienie, znajduję je w szafce z lekarstwami. Co prawda są już przeterminowane, ale tylko o dwa miesiące. A co mi tam, biorę.

Zaczynam odczuwać napływającą do mojego ciała energię. To dziwne, budujące, a zarazem śmieszne uczucie. Prawie zbiegam po schodach, nie zapominając o zamknięciu drzwi na klucz i uprzednim sprawdzeniu, czy gdzieś nie pali się światło lub gaz na kuchence.

Wychodząc z bloku, zamykam za sobą drzwi i prawie przebiegam przez podwórko, starając się, aby (w miarę możliwości) nikt mnie nie zauważył. Nie jest to proste, bo ciągnę za sobą dwie rzucające się w oczy walizki, z czego jedna jest w kolorze odblaskowej fuksji. Stojąc już na rogu Białogradzkiej i Żytniej, poprawiam na nosie przeciwsłoneczne okulary i zaczesuję brązowe włosy do przodu. Żałuję, że nie założyłam bluzy z kapturem, teraz jednak jest już na to za późno.

Nie zauważam, jaka jest pogoda. Nie zastanawiam się, czy podjęłam właściwą decyzję. To nie pora na analizy. Podążam ślepo za głosem instynktu, za głosem serca, który prowadzi mnie w stronę Zabłocia.

Jak długo mogło zająć Mariuszowi odebranie dziewczynek i odwiezienie ich do swojej mamy? Jadąc pięćdziesiątką, wpadam na genialny pomysł – wysiadam przy Galerii Krakowskiej i zostawiam walizki w przechowalni bagażu. Od razu robi mi się lżej o cztery tony i z większą energią powracam na trasę mojego życiowego triatlonu, po drodze kupując niegazowaną nałęczowiankę i popijając nią jeszcze jeden ketonal.

– A ten bagaż to na jak długo życzy sobie pani przechować? – pyta brodaty człowiek za ladą, jednocześnie odbierając ode mnie walizki. Na ich uchwyty nakleja karteczki z kodem kreskowym.

Nie jestem pewna, co odpowiedzieć.

– Na kilka godzin – stwierdzam w końcu. – A jak długo przechowalnia jest czynna?

– Dzisiaj do dwudziestej drugiej. Zdaży pani – mówi pewnym głosem, jakby doskonale wiedział, gdzie jadę i jakie zadanie mam do wykonania.

Ręką przeciera siwą brodę, w którą zaplątały się krople zimnego potu. Z całych sił próbuję ucześcić się tej myśli: zdażę, na pewno uda mi się zdażyć. Jeśli tak – już wkrótce będzie po wszystkim. Jeszcze tylko parę godzin stresu i wysiłku, a potem w końcu sobie odpocznę.

– Do widzenia – rzucam na odchodnym.

Przepycham się w stronę przystanku tramwajowego w tunelu, Galeria jest przepelniona ludźmi. Czy to z powodu zbliżającego się weekendu, czy nieprzyjemnej, chłodnej pogody? Przecież do Wielkanocy jeszcze bardzo daleko.

Wysiadam na Klimeckiego. Idąc w stronę Mocaku, który zawsze chciałam zwiedzić, ale nigdy mi się to nie udało, czuję zachęcający i nietypowy zapach jedzenia. Spoglądam w lewo i okazuje się, że tak pachnie indyjskie jedzenie: na białym food trucku widnieje napis: „Hindus”. W przelocie zaglądam ludziom w talerze: biały ryż od kurczaka w sosie maślano-pomidorowym i sosu z soczewicy, doprawionego garam masalą, oddzielony jest wysokim murem ze świeżej, grubo ciętej kolendry. Klienci popijają posiłek mango lassi i sokiem z guavy – wyczytuję na wiszącym przy ciężarówce menu.

Skąd oni mają na to czas i pieniądze? Jak to możliwe, że mogą siedzieć sobie i delectować się hinduskim jedzeniem, podczas gdy ja odchodzę od zmysłów, jadąc na ratunek dzieciom, z poturbowaną twarzą i bolącym, palącym od wewnątrz brzuchem? Dlaczego nie mogę być jak oni, jak inni i siedzieć sobie teraz przy jednym z tych stolików?

Do oczu cisną się łzy złości i bezsilności. Przyśpieszam kroku i po paru minutach jestem już przed blokiem teściowej. Na szczęście momentalnie zauważam naszą hondę, zaparkowaną przy samym wejściu do klatki. Mariusz

musiał prowadzić, mimo że przed wyjściem z domu czuć było jeszcze od niego alkohol.

Jest. Wychodzi. Najwyraźniej, jakimś dziwnym trafem, dopisuje mi szczęście. Chowam się za rogiem i kiedy słyszę dźwięk odpalanego silnika, odczekuję minutę i wbiegam od razu na górę. Dzięki Bogu, mama Mariusza zostawiła nam do siebie klucze, a ja przezornie zabrałam je ze sobą. Nie muszę teraz zastanawiać się, czy otworzy mi drzwi, czy nie. Otwieram je sobie sama.

Po wejściu do przedpokoju słyszę jej perlisty, ugrzeczniony głos:

– Czego zapomniałeś, Mariuszu? – pyta zalotnie.

Zastanawiam się, czy ta kobieta jest zła, czy nienormalna? Wychowała potwora i mimo że jest on dorosły i agresywny, to zwraca się do niego tonem jak do niesfornego czterolatka.

– Dzieci – odpowiadam z kamienną twarzą, zimnym jak metal tonem głosu.

W tej chwili nienawidzę jej i nie chcę jej znać. Negatywne uczucia względem jej syna przerzucam na nią i nic nie mogę na to poradzić. Jest winna. Jest winna tego, którego stworzyła i wychowała.

– Ale Mariusz powiedział, że... – zaczyna się bronić.

Wiem, że mógł jej nagadać różne rzeczy, muszę się spieszyć. Ona może zadzwonić do niego i powiedzieć, żeby szybko wracał. A wtedy nie wiadomo, czy przeżyję dzisiejszy wieczór.

Zdejmuję przeciwsłoneczne okulary. Pokazuję jej zakrwawione białko oka i ogromnego, filetowego siniaka, otaczającego policzek, skroń, dochodzącego aż do spuchniętego nosa.

– Zabieram dzieci. Nie dzwoń do niego, jeśli nie chcesz, żebyśmy skończyła w szpitalu, a on w więzieniu.

Teściowa ma przerażoną minę, nic nie odpowiada. Ręką wskazuje na salon, w którym przebywają dziewczynki. Nie jest to jednak konieczne, bo one same zaraz do mnie przybiegają.

– Mamusiu, mamusiu! Tak cię cieszę, że jednak przyjechałaś! – woła Julka, biegnąc w moją stronę i rzucając mi się na szyję.

Zaciskam zęby, żeby nie pokazać, jak bardzo boli mnie jej uścisk.

Przygryzam też wargę, żeby nie zauważyła, z jak ogromnym trudem przychodzi mi schylić się i wyciągnąć w jej kierunku rękę.

– Mamusiu, mamusiu! – krzyczy uradowana moim widokiem Wikusia.

– Ja też się cieszę, że was widzę. Tatusz odebrał was z przedszkola, bo źle się poczułam, ale byłam u pani doktor, która powiedziała, że już wszystko w porządku. Mam zażywać witaminy i wszystko przejdzie do poniedziałku.

– A co ci było, mamusiu? Czy przeziębiałaś się, jak tatusz? – dopytuje Wiktoria.

Zastanawiam się, co powiem im, gdy zobaczą moje podbite oko. Na razie mam na sobie przeciwsłoneczne okulary i nie zamierzam ich zdejmować.

– Wszystko wam opowiem po drodze. Zbierajcie się, szybciotko. Wkładamy buty. – Wyjmuję z szafki różowe kozaki jednej i fioletowe drugiej. – Mama pomoże – mówię na pół proszącym, na pół rozkazującym tonem. Boję się, że może zadzwonić po Mariusza. Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy tej wariatce.

Z ociąganiem pomaga wystroić dziewczynki w zimowe płaszcze i kozaki. Dziwne, ale z niechęcią opuszczam jej mieszkanie, które po śmierci męża wyremontowała sama i od tego czasu panuje tu jasnokremowy, świeży nastrój i nowoczesne wykończenia. Na dębowych deskach, którymi wyłożona jest podłoga przedpokoju, słyszę tupot stóp moich córek. Jak to możliwe, zastanawiam się, że ta sprawiająca miłe pierwsze wrażenie kobieta wychowała bestialskiego, bezwzględnego potwora? Nie rozumiem tego, naprawdę nie pojmuję.

Chwilę później, kiedy we trójkę zbiegamy po schodach do taksówki, którą zamówiłam poprzez aplikację w telefonie, przychodzi mi na myśl smak snickersa i wiśniowej coli, cherry coke. Zastanawiam się, czy po prostu mam na nie ochotę, czy to skutek uderzenia się w głowę. W ciąży raczej, nie daj Boże, nie jestem, poza tym za wcześnie byłoby na odczuwanie zachcianek.

Odrzucam tę myśl i otwierając na oścież bramę wejściową, wpuszczam na klatkę ogromną chmurę lodowatego powietrza. Zmierzcha, mgła powoli ogarnia miasto, zaplątuje się w czubki ogołoconych z liści drzew. Wiktoria przeskakuje przez kałużę, kilka błotnistych kropel spada na jej ciemnozieloną dżinsową spódnicę. Julia idzie spokojnie obok mnie, jakby wyczuwała instynktownie, że coś jest nie tak, że potrzebuję jej wsparcia.

Samochód już czeka. Jest nieoznakowany z góry ani z przodu. Dopiero z boku auta dostrzegam na karoserii naklejkę z logo firmy przewozowej.

– Wsiadamy, dziewczynki. – Mój głos niknie wśród chłodu powietrza, które otula nas i zbliża ku sobie. W grupie raźniej, w grupie cieplej.

Mościmy się wszystkie trzy na tylnym siedzeniu, nie zapinamy pasów. Kierowca jest miły i raczej małomówny. Naciąga czarną bawełnianą czapkę na głowę i pyta:

– Dworzec Główny, tak?

– Tak – odpowiadam, z przejęciem i niepokojem w głosie.

Cały czas obsesyjnie myślę o Mariuszu. Czy zauważył już, że mnie nie ma? Czy dzwonił do mamy? Czy będzie mnie szukał, a jeśli tak, to czy zabije mnie, kiedy mnie znajdzie? Bardzo się boję, Bóg jeden wie, jak bardzo.

Mówi się, że dla matki najgorsza jest śmierć dziecka. Dla mnie jest coś jeszcze bardziej przerażającego: myśl o tym, że to ja mogę zginąć, a dzieci zostaną pod jego opieką.

Oddycham niespokojnie, oddech jest płytki, urywany. Na myśl przychodzą mi gwiazdy, widok rodzącej się galaktyki w kolorze różowo-pomarańczowym. Czuję zapach róż i lilii i zastanawiam się, czy to kolejny objaw urojonej ciąży, czy może tylko kierowca zawiesił pod lusterkiem pachnącą choineczkę?

Od momentu wejścia do samochodu dziewczynki uspokajają się. Wiktoria, siedząca pośrodku, przysypia. Ciężkie od dnia powieki opadają zwinnie i zgrabnie na śliczne, rumiane purpurą policzki. Julka wygląda przez okno, liczy przechodniów, wypatruje pomarańczowej parasolki, takiej, jaką ma jej przyjaciółka z przedszkola, Basia. Dobrze nam tak we trójkę, tak myślę.

Kierowca wysadza nas przed wejściem do Galerii. Płacę dwadzieścia pięć złotych i nie mówiąc „do widzenia”, a tylko „dziękuję”, wyskakujemy na gwarną ulicę, tuż obok oświetlonego na kolorowo hotelu Puro. Pachnie zimą, piernikami i pieczonymi piankami *marshmallows*. Niosę Wikę na rękach, Julka uczepliła się kieszeni mojego płaszcza.

– Już niedługo – szepczę; nie wiem, czy do niej, czy do siebie.

Zaraz po przekroczeniu progu Galerii jak za dotknięciem magicznej różdżki Wiki budzi się. Oczywiście musi na siku, na papu i koniecznie, żeby do



Smyka zajść, zobaczyć, co nowego w świecie księżniczek z Lego i Mattela. Denerwuję się, nie potrafię tego ukryć. Do pojawiającej się fali złości i irytacji dołącza również zniechęcenie. Nie lubię go. Nie lubię najbardziej na świecie. Od lat psuje mi plany, rujnuje szyki. Chowam je głęboko w kieszeń płaszcza i nie zamierzam więcej do niej zaglądać.

– Słuchajcie, dziewczynki... – zaczynam, kiedy zniechęcenie jest już głęboko schowane i na razie nie próbuje wydostać się na zewnątrz. – Postanowiliśmy razem z tatusiem, że zrobimy babci niespodziankę. Dzisiaj we trójkę pojedziemy na wieś, do babci Doroty, ona nic nie wie o naszym przyjeździe. Mam nadzieję, że ogromnie się ucieszy, jak nas zobaczy. Dobrze wiecie, że zawsze powtarza, żebyśmy przyjeżdżały do niej częściej.

– A gdzie tatuś? – pyta Wiktoria.

Odpowiadam bez zająknięcia, zaskakując samą siebie:

– Tatuś obmyślał ten plan razem ze mną, ale niestety nie mógł z nami pojechać. Zadzwonili do niego z sądu i kazali zaraz przyjechać. Tatuś ma ważną sprawę i zobaczymy się z nim dopiero po powrocie od babci – zapewniam, a obie córki wydają się przekonane moim uroczym wyjaśnieniem.

Nie zadają żadnych pytań. Trochę dziwi mnie, że nie pytają o okulary przeciwsłoneczne i o to, czemu ciągle mam je na nosie.

– Teraz pójdziemy odebrać walizki, które zostawiłam w przechowalni bagażu. To niedaleko, zaraz przy wejściu na peron – informuję, wskazując w lewą stronę, lekko uniesioną ręką. – Potem kupimy bilety do babci i jeśli zostanie nam trochę czasu, to pójdziemy na lody do macdonalda i pooglądać zabawki, OK? – pytam, a dziewczynki szaleją z radości.

– Ja wezmę malinowe! – krzyczy Wiktoria.

– Głupia jesteś! W macdonaldzie przecież nie ma malinowych! Są tylko śmietankowe z polewami – odpowiada Julia zgorszonym tonem.

– Eee, to ja wolę gdzie indziej, nie chcę śmietankowych.

– Możecie choć raz się nie kłócić? – pytam, czując jak ogarnia mnie fala tłumionej dotąd złości, potęgowana tym, że ludzie patrzą na mnie jak na idiotkę.

Nic dziwnego: chodzić w okularach po Galerii? To nie jest normalne.

Choć... Nagle doznaję oświecenia. Przecież mogłam złapać zapalenie spojówek! To jest znakomite usprawiedliwienie dla okularów przeciwsłonecznych... Od razu czuję się lepiej przed samą sobą, złość nieco ustępuje.

– Mówiłem, że pani zdąży – stwierdza brodacz, podając mi do ręki dwie ciężkie walizki.

Płacę gotówką i odchodzimy w stronę macdonalda na dolnym piętrze. Obie ręce mam zajęte bagażami, dziewczynki idą z przodu, wolę mieć je na oku. Posuwamy się bardzo powoli ze względu na ogromną liczbę osób robiących teraz zakupy lub zmierzających w stronę dworca PKP. Robię małe kroczki, w duchu dziękując sobie za włożenie kozaków na niskim obcasie.

Kiedy pół godziny później mijamy główne wejście na perony, przypomina mi się scena z dzieciństwa: ja z mamą biegniemy przez stację, chcemy zdążyć na ostatni odjeżdżający tego dnia pociąg. Nie mamy ze sobą bagażu, mama ma tylko torebkę, a ja swoją ukochaną lalkę Amelię pod pachą. Amelka ma żółte włosy, wiązane nisko w dwa kucyki, przewiązane różową wstążką z miękkiego materiału. Lalka uśmiecha się zawsze w ten sam sposób i właśnie to kocham w niej najbardziej. Tę stałość i niezmienność. Przewidywalność. To coś, czego nigdy nie dostałam od mamy ani od taty.

Każdego ranka, wstając, najpierw wciągałam głęboko powietrze, żeby wyczuć w nim smak zawieszonych w powietrzu, jak pył, emocji. Jeśli były gęste i ciemne, chowałam się z powrotem pod kołdrę i z całych sił próbowałam ponownie zasnąć. Wiedząc, że i tak za chwilę obudzą mnie krzyki. Czasem zdarzało się, że było cicho i spokojnie. Zwykle oznaczało to, że taty nie było w domu, że nie wrócił na noc albo spał jeszcze i mama nie mogła go dobudzić do pracy. Tak czy inaczej, bałam się zasypiać, bo nigdy nie wiedziałam, jaką sytuację zastanę następnego ranka.

Oczywiście obiecałam sobie solennie nigdy nie pójść w ślady mamy. Nie chciałam mieć takiego życia jak ona, choć sama wielokrotnie twierdziła, że jest szczęśliwa i że nigdy nie marzyła o niczym ponad to, co otrzymała od losu.

\*\*\*

Mariusza poznałam zaraz po maturze. Przyjechał do swojej rodziny na wakacje, do sąsiedniej wsi. Ja zdałam wszystkie egzaminy i choć marzyłam

po cichu o pójściu na studia, nie chciałam zostawiać mamy samej. Nie po tym, co przechodziła ostatnio z ojcem. Poza tym i tak miałam raczej marne szanse na to, żeby dostać się gdziekolwiek. Na studia szli ludzie z miasta, nowocześni, bogaci, a nie wiejskie dziewczyny z dwoma kucykami w kolorze słomy.

Jeszcze w lipcu zaczęłam pracę w sklepie naprzeciwno. To był jeden z dwóch wielobranżowych w naszej wsi. Kaśka, sprzedawczyni, miała akurat rodzić w sierpniu i zastąpiłam ją na jej stanowisku. Ona i jej mąż byli właścicielami sklepu i mieszkali nad nim, mogli więc mieć interes pod kontrolą.

Pamiętam ten dzień, jak dziś. Poranek wlekl się i ciągnął, pachniał niefajnie, ostatnimi czasy ojciec strasznie dawał w dupę. Awantury odbywały się codziennie, ale też inne, grubsze akcje. Obstawiałam, że nie zdam wcale matury, bo wśród krzyków i rozbijanych po ścianach butelek naprawdę nie dało się skupić na nauce. Ku zaskoczeniu mojemu i jeszcze większemu moich rodziców maturę zdałam i to na dwie czwórki i jedną piątkę. Miałabym teoretycznie szansę zdawać na studia, jak twierdziła moja wychowawczyni, pani Krasicka. Ale wiem, że po prostu chciała być dla mnie miła. Poza tym i tak nie mogłam zostawić matki samej. Wiedziałyśmy obie, że nie poradzi sobie beze mnie.

Pamiętam ten dzień, jak dziś. Stoję za ladą, mam na sobie żółtą spódniczkę mini, różowy top na ramiączkach, dzwoniące srebrno-złote bransoletki zawieszane wokół obu nadgarstków, żuję gumę i czekam na kolejnych klientów. Jest gorąco, upał, planuję otworzyć sobie zaraz zimną colę z lodówki. Marzę o czereśniach. Co prawda sezon na nie już się kończy, ale na targu w Racicach podobno można jeszcze dostać całkiem dorodne okazy, z ciemnopurpurową skórką, bez robaków.

I wtedy wchodzi on. Wysoki, przystojny, uśmiechnięty. Z przezroczystej, foliowej siatki, którą ma przewieszoną przez rękę, wypadają na podłogę twarde, grube, purpurowe czereśnie. On pochyla się, żeby podnieść je z ziemi: spogląda na nie, chucha, dmucha, pociera o spodnie i zjada razem z pestką. Imponuje mi to, że nie rzuca pestek na ziemię, jak większość chłopaków stąd.

On nie jest stąd. Widać to po nim od razu. Ma na sobie jasne, wycierane džinsy do kolan. U nas się takich nie nosi, zaraz by się ubrudziły przy pracy.

– Dwie kole proszę – mówi, a mnie serce staje na widok jego twarzy tuż naprzeciw mojej.

Oznacza to, że jednak nie jest tak wysoki, jak mi się z początku wydawało. Nie zmienia to faktu, że jest ogromnie przystojnym miastowym o ciepłym, melodyjnym głosie. I ta kultura! Jest dobrze wychowany, mało którego z lokalnych pijaczków czy rozkrzyczanych wiejskich matek Polek stać było na powiedzenie zwykłej dziewczynie zza lady „proszę”.

Wykładam zimne szklane butelki na ladę, on pociera je palcem – zrobiły się wilgotne. W sklepie panuje wysoka temperatura, a za oknem potworny upał.

– Czy coś jeszcze życzy pan sobie kupić? – pytam, celowo stosując formę „pan”. Wiem, że tak wypada, że to kulturalnie, choć on może być niewiele starszy ode mnie. Może być nawet w moim wieku.

– Nie, dziękuję – odpowiada i płaci. – Chyba że dałabyś mi swój numer telefonu? – pyta, a nogi uginają się pode mną.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Czy to wypada? I po co będzie dzwonił? Czy myśli, że jestem łatwą dziewczyną ze wsi? Czy chce mnie poderwać, a potem zaciągnąć do łóżka? Boję się tego, jestem przecież dziewicą i nie zamierzam uprawiać seksu, przynajmniej dopóki się nie zaręczę.

– Raczej nie, dziękuję. To nie bardzo wypada – stwierdzam i z nieco zbyt głośnym hukiem zamykam kasę.

Robi mi się głupio, chyba się czerwienię, bo on się uśmiecha.

– OK – odpowiada i wychodzi ze sklepu.

Nie odwracając się ani razu, nie walcząc o mnie, nie mówiąc nawet „do widzenia”! Towary poukładane na metalowych półkach, zdają się trząść i podskakiwać. Chcę, żeby on wrócił, żeby zapytał jeszcze raz o numer mojego telefonu i wtedy odpowiem mu co innego. Dam mu ten numer. Przecież od początku chciałam mu dać. Tylko zabrakło mi odwagi...

Nawet nie wiem, jak ma na imię.

\*\*\*

„Mariusz” – myślę sobie teraz, jadąc pociągiem do mamy. Podłoga jest śliska i brudna, szarobłękitna. Coś musiało się tu dzisiaj rozlać, bo podeszwy butów kleją się i ślizgają. Dziewczynki śpią już od dobrej godziny. To był

dobry pomysł, żeby zabrać je na lody. Wiadomo, że cukier usypia, uspokaja. Zakleja te małe, piekące rany w sercu. Dla siebie na drogę kupiłam dwie duże czekolady: jedną milkę łaciatą, a drugą Wedla, z nadzieniem śmietankowo-malinowym. Uwielbiam ją, to jedna z moich najulubieńszych.

Ostatnio jem dużo słodyczy, to jedyne, co mnie uspokaja po trudnych dniach i jeszcze trudniejszych nocach. Dlatego też jest trochę racji w tym, że przytyłam. Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, nie zamierzam się tym przejmować. Chcę zjeść obie te czekolady, bez żadnych wyrzutów sumienia. Choć raz w życiu pozwolić sobie na to.

Pierwsze dwa paski gryzę szybko i zaraz połykam. Dopiero następne udaje mi się chwilę possać. Na myśl przychodzi mi teraz Marcin. „Na Boga – myślę sobie – że też zdobyłam się na odwagę, żeby zrobić skok w bok!”. Jestem dumna z samej siebie. Robiłam najbardziej zboczone rzeczy w życiu i dobrze mi z tym. Nie mam prawie wcale wyrzutów sumienia. Tyle tylko, że... tęsknię za nim. Chciałabym znowu móc spotkać go, porozmawiać, poprzytulać się...

Czy spotkamy się jeszcze? Teraz o tym nie myślę, nie mam do tego głowy. Kieruje mną stres i adrenalina, potrzeba ucieczki. Odejść jak najdalej od niego, odseparować się, odłączyć. Nigdy więcej nie oglądać go na oczy, mówię tu oczywiście o Mariuszu.

Dziewczynki nadal śpią. Za oknem jest już zupełnie ciemno. W ciszy równych oddechów i monotonnego stukania pociągu o tory mijamy kolejne stacje: Gałkowo, Krośnieńsko, Stara Beskidzka, Sucha Nodolipka, Nadolska, Podolska, Starejmaća.

Już niedługo, już niedaleko. Nie chcąc niepotrzebnie stresować mamy, napisałam do niej esemesa z informacją, że przyjeżdżam z dziewczynkami na weekend. Odpisała, że cieszy się i czeka.

Nie wiem, co zrobię z tym podbitym okiem, nie wygląda najlepiej. Ale może uda się to jakoś przypudrować. Po chwili doznaję olśnienia. W przedziale jesteśmy same, Wika śpi obok mnie, a Julka rozłożyła się na siedzeniach naprzeciwko. Przykryłam obie kurtkami i swoim płaszczem. Wstaję gwałtownie i jedną ręką zasłaniam zasłony w przedziale. Na wszelki wypadek zastawiam jeszcze wejście walizką. „Bilety już sprawdzali – rozważam w sobie – przez jakiś czas nikt nie powinien mnie niepokoić”. Zdejmuję okulary. Oko nie wygląda już tak źle, może dlatego, że

przyzwyczaiłam się do jego widoku. Na szczęście siniak i opuchlizna są nieco z boku – na policzku i skroni, delikatnie tylko nachodząc na górną powiekę. W tym upatruję swojej szansy. Z przedszkolnego plecaka Julki wydaję nożyczki do papieru. Mają ręczki w intensywnym wściekle różowym kolorze. Rozpuszczam włosy i zaczesuję je do przodu. Łapię większy kosmyk i ucinam tuż poniżej linii oka. To samo, dla symetrii, wykonuję z drugiej strony twarzy. Roztrzepuję włosy i spoglądam w lustro: widok zapiera dech w piersiach. Wyglądam olśniewająco! Gęsta grzywka, ścięta po skosie z obu stron twarzy, okazuje się idealnie do mnie pasować. Na dodatek zasłania praktycznie cały siniak. Uradowana, podskakuję i klaszczę w dłonie – pierwszy problem znajduje swoje rozwiązanie. Wystarczy zadbać o kryjący podkład i odpowiednie ułożenie włosów i nikt się niczego nie dowie, nie domyśli.

Nieco gorzej jest z brzuchem, pobolewa mnie prawie przez cały czas. Przed wejściem do pociągu zażyłam kolejną tabletkę, teraz ból jest stępiony, lekko tłący się wewnątrz mnie. Przypomina mi się mama, którą tak często widziałam chwytającą się za brzuch, podczas kiedy wstawała z łóżka czy od stołu. Mimo wszystko nie zamieniłabym się z nią na życia.

\*\*\*

Doskonale pamiętam dzień, w którym zaginął ojciec. To było niedługo przed moim wyjazdem do Krakowa. Zima była mroźna, a styczeń najzimniejszy od wielu, wielu lat. Ojciec ostatnimi miesiącami pił na umór. W zasadzie nie przestawał pić, w tamtym okresie już nie widywało się go trzeźwego. Nieraz z mamą znajdowałyśmy go nieprzytomnego w stodole na sianie, w komórce z narzędziami czy na podwórku, pół siedzącego, pół leżącego na ławce pod jabłonką.

Aż w końcu przyszedł taki dzień, że ojciec nie wrócił do domu na noc. Jak zawsze w takich momentach, włożyłyśmy z mamą grube kożuchy, jeszcze po babci, czapki na głowy i skórzane rękawiczki, i z latarkami w rękach wyruszyłyśmy na poszukiwania. Zaczęłyśmy oczywiście od strychu i piwnicy. Tam taty nie było, ale nie zdziwiło nas to ani trochę. Obie w kościach czułyśmy, że coś jest nie tak, że dzisiejszy wieczór będzie inny niż dotychczas. Mama przeszukiwała stodołę, ja wszystkie komórki i składziki. Ojca nigdzie nie było. Zaginął, jak kamień w wodę.

Mama podzwoniła po sąsiadkach – mogło się zdarzyć, że zapił z którymś

z innych chłopów i teraz razem spali sobie w najlepsze, a my dwie, jak głupie, paradowaliśmy po polu przy czternastostopniowym mrozie.

– Córuś, tak trzeba – mówiła mama. – To nie chodzi tylko o to, że to mąż, a twój ojciec, ale przede wszystkim to człowiek. Trzeba mu pomóc, choćby nie wiem co. Przecież wiesz, że mróz jest niemiłosierny. Jeśli ojciec zapił gdzieś i zasnął na dworzu, to zamarznie i nie będzie już dla niego ratunku. – Gorzkie łzy spływały po jej policzku.

Zebrałam je wierzchem dłoni i ukradkiem zlizalam. Smakowały siarką i słoną wodą z Wisły.

Nie było go w domu, nie było na podwórzu. Nie znalazłyśmy go pod sklepem ani u żadnej z sąsiadek. Mama wpadła w panikę, bo choć ojciec nie był dla niej dobry, to nadal pozostawał jej mężem – człowiekiem, którego kiedyś przecież musiała kochać. Niechętnie, ale poszłam razem z nią do lasu i nad jezioro. Czasem się zdarzało, że ojciec zawędrował aż tam, żeby mieć od nas święty spokój. Światła latarek odbijały się od świeżego, błyszczącego diamencikami śniegu, który zaczął padać niedawno, chcąc chyba umilić nam czas poszukiwań. Czasem w gęstwinie zaświeciło się oko jakiegoś leśnego stwora.

Byłam zła. Okropnie zła na matkę. Ile to już razy we dwie szukałyśmy ojca po nocach? Do niego nie miałam pretensji, bo i po co? Wiadomo było, że pije i że to się nigdy nie zmieni. Jeśli chciał zamarznąć gdzieś pod lasem – jego wybór. Moim zdaniem trzeba mu było na to pozwolić. Niestety, matka nadal nie dawała za wygraną. Choć bił ją tyle razy, tłukł z całej siły, gdzie popadło, to gdy nie wracał na noc, ona wpadała w panikę, w paranoję. Potrafiła postawić całą wieś na nogi, byle tylko jej Wiesiek się znalazł. Mimo wszystko nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Nie mogłam tego pojąć, zrozumieć. Już dawno odcięłam się od tego emocjonalnie. W głowie miałam już tylko mojego Mariusza – przystojnego, zdolnego, zaradnego. Kulturalnego, no i przede wszystkim z miasta. Miasto dawało mi niepisaną gwarancję, że czeka mnie odmienny od mojej mamy los. Nie chciałam takiego życia jak ona i robiłam, co tylko mogłam, aby tak właśnie było. Wszystko wskazywało na to, że mi się to uda. Za miesiąc miałam wyjechać do Krakowa. Mama zgodziła się, żebym zamieszkała z Mariuszem jeszcze przed ślubem, który planowaliśmy na jesień tego roku. Początkowo miał to być czerwiec, ale ceny za salę były tak horrendalne, że

postanowiliśmy przełożyć termin na październik. W Krakowie chciałam urządzić się po swojemu i zacząć jakąś fajną pracę. Może w centrum handlowym albo w firmie turystycznej? Jeździłabym na wycieczki i oprowadzała klientów po najpiękniejszych zakątkach Europy. Miasto dawało mi tak wiele możliwości, których nie miałam u siebie, na wsi. Dlatego też nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego moja mama mieszka tutaj, czemu nigdy nie wyprowadziłyśmy się do miejsca, które mogło zapewnić nam szczęście i zdecydowanie lepszy byt.

Nie znalazłyśmy ojca tamtej nocy. Ja poszłam spać koło trzeciej, mama nie zmrużyła oka aż do rana. Kolejne trzy dni zeszły nam całe na poszukiwaniach. Ponieważ wyjeżdżałam na zawsze za niecały miesiąc, postanowiłam raz jeszcze, ostatni, pomóc jej. Niestety moja pomoc na nic się zdała, bo ojca nigdzie nie było. Zaginął. Zniknął na dobre, na amen. Objeździłyśmy wszystkich znajomych, wszystkie okoliczne sklepy i meliny. Obdzwoniłyśmy całą rodzinę, łącznie z wujkiem Staszkiem, który od lat osiemdziesiątych mieszkał w Stanach. Nie spotkał kuzyna Wieśka *na ulicach Nju Jorku*, nie widziano go też w *Czikago*.

Mama nie poddawała się, chodziła po lasach, po okolicznych wsiach, wywiesiła nawet ogłoszenie na tablicy parafialnej pod naszym kościołem. Trzeba było mieć nie lada odwagę (albo być w desperacji), żeby ogłaszać wszem i wobec, że mąż alkoholik zapił i zagubił się. Gdzie jesteś, o tatusiu?

Odcinałam się, miałam szczerze dość ojca i tego, jaki los zgotował mnie i mojej matce. Cieszyłam się na myśl o wyjeździe do Krakowa, do Mariusza, tyle tylko, że w obecnej sytuacji nie wypadało mi się cieszyć głośno i jawnie. W domu zapanowała wstępna żałoba. Mama płakała, ja pakowałam walizki, ojca nadal nie było. W końcu mama zebrała się na odwagę i pojechała do miasteczka, na komisariat policji. Byłam tam razem z nią.

– Nazwisko.

– Jasińska. – Mama odpowiadała cichym głosem, próbując schować za chusteczką higieniczną wypływające z oczu łzy.

– Imię. – Głos policjanta był oschły i urzędowy.

Nie patrzył na nas, nos miał wsadzony w komputer i starego Worda. Chyba nie bardzo umiał go obsługiwać. Nie podobał mi się i sama też odwróciłam wzrok. Nie chciałam tam być. Po chwili dołączył do nas drugi policjant,



młodszy. Ten już radził sobie z Wordem, ale ja nadal nie miałam najmniejszej ochoty, żeby uczestniczyć w tym wszystkim. Byłam tam tylko dla matki.

– Dorota.

– Imię męża.

– Wiesław – odpowiedziała i zalała się łzami. – To już tak długo, proszę pana, tak długo go nie ma, gdzie on może być? – wtrąciła, niepytana. Nie potrafiła już chować emocji, wyjęła je całe na wierzch, czego ja osobiście nienawidzę – przez duże N.

– Pani nie płacze, pani się uspokoi – odpowiedział sucho, po raz pierwszy podnosząc głowę zza komputera.

Monitor był stary i skwierczał, jakby w środku ktoś smażył jajka na bekonie.

– Ale jak ja się mam uspokoić, skoro męża już tak długo nie ma?! – zapytała retorycznie.

– To dlaczego pani od razu nie zgłosiła zaginięcia? Przecież po dwudziestu czterech godzinach ma pani do tego prawo – poinformował z pretensją w głosie.

W sumie miał trochę racji. Może policjanci pomogliby w poszukiwaniach ojca pijaka, tak jak to się zwykle działo na filmach?

– A bo to mało razy on zaginął? Proszę pana, ostatnio co rusz go nie ma, ileśmy to razy z córką szukały go po nocach, Bóg jeden wie. Ale zawsze, prędzej czy później, się znajdował. Nigdy nie było tak, że nie wrócił przez kilka dni.

– A może się państwo pokłócili, co? Może on celowo ukrywa się gdzieś u znajomych i nie chce dawać znaku życia, żeby się pani zaczęła o niego martwić? Możliwe to? – zapytał niemłody już funkcjonariusz, przyodziały w policyjny mundur w starym stylu. Muszę przyznać, że z psychologii był nieco lepszy niż z informatyki.

– Proszę pana, zdarzało się już, że nie wracał na noc, że zapił gdzieś. Ale nigdy nie trwało to tak długo, jak teraz. To jest pierwszy raz i dlatego tak się martwię, bo wie pan, jakie mrozy były ostatnio.

Kolejne minuty siedzieliśmy we czwórce w milczeniu. Ten młody nie

odzywał się wcale. Pokój, w którym się znajdowaliśmy, był niewielkich rozmiarów. Pomalowane na żółto ściany, zdobione kalendarzem z blond dziewczyną w czerwonym bikini i zdjęciami terenówek w błocie, wylakierowanych kolorami moro. Na stolikach piętrzyły się stosy papierów i dokumentów, poupychane kolanem w przymałe, poźółkłe teczki.

Funkcjonariusz z komendy miejskiej policji w miasteczku przyjął od nas zgłoszenie o zaginięciu ojca.

– Proszę pojeździć po okolicznych szpitalach i noclegowniach. Zadzwonimy, jak tylko się czegoś dowiemy – stwierdził, wstając.

To chyba miało być nasze pożegnanie. Podziękowałyśmy w ukłonach panom policjantom i wyszłyśmy z pokoju. Wtedy zaczęło dochodzić do mnie, że zawsze gdzieś z którejś strony goni mnie śmierć. Pytanie tylko, jak długo i skutecznie uda mi się przed nią ukrywać.

## 6.

Z mamą witam się krótko i w przelocie. Chyba widzi, że coś jest nie tak. Z chęcią bierze wnuczki pod swoją opiekę, ja udaję się na górę, do mojego dawnego pokoju, który pozostał taki sam jakim był kiedyś. Nic się w nim nie zmieniło. Rozkładany tapczan w jasnobrązowym kolorze przypomina mi pierwsze przytulanki z Mariuszem. Wtedy jeszcze mi się podobały, miło było tak się poprzytulać, całować, wspólnie odkrywać nowe miejsca naciele.

Przez parę pierwszych miesięcy seks, który stanowił dla mnie nowość, podobał mi się jako tako. Niestety, kiedy urok świeżości i nowości minął, okazało się, że mój przystojny i wygadany student prawa w łóżku był nudny i przewidywalny. Ja miałam wielką fantazję, całymi nocami potrafiłam marzyć o facetach i seksie, podczas gdy mój mężczyzna okazywał się zaspokojony dosyć szybko i to samym tylko poruszaniem się we mnie. Dla mnie było to zdecydowanie za mało. Nie robiliśmy żadnych fantazyjnych ani pikantnych rzeczy. Nie grzeszyliśmy, ja nie krzyczałam podczas orgazmu, nie było żadnych sztuczek, gierek ani igraszek. Powoli zaczynałam rozumieć, że tak już teraz będzie, że to nie zmieni się, nie przyjdzie anioł z nieba i nie powie: „OK, to teraz zmiana”.

Nie czułam się zaspokojona, seks coraz mniej mi się podobał, aż w końcu zaczęłam dyskretnie go unikać. To było po paru miesiącach od zamieszkania razem. Pamiętam, kończył się sierpień i po jednym takim łóżkowym razie, do którego trochę już musiałam się przymuszać, wpadłam na genialny pomysł zajścia w ciążę. Zbliżał się termin ślubu, pora więc była na to dostatecznie dobra. Co więcej życie miało mi do zaoferowania?

Moja miłość do Mariusza trwała krótko, ale dłużej niż namiętność, która gasła z każdym kolejnym dniem. Uczepiłam się maniakalnie myśli o dziecku, upatrując dla siebie tutaj możliwości pójścia dalej, do przodu.

– Mariusz, chciałbyś mieć dziecko? – spytałam go kiedyś wieczorem.

Leżeliśmy wtedy w łóżku, po seksie. Pamiętam, że okno było otwarte, wpuszczało do środka mnóstwo ciepłego letniego powietrza, pachnącego stokrotkami, pączkami z czekoladą i rozmarynem.

– Pewnie. A co, w ciąży jesteś? – spytał, jak gdyby nigdy nic.

Z jednej strony ucieszyło mnie jego luźne podejście do tematu, z drugiej

oczekiwałamby nieco więcej przejęcia i emocji. Wpatrywał się w sufit i powoli zasypiał, ja z kolei byłam pobudzona i miałam ochotę na więcej: na pójście w świat, na przygodę. On zasypiał, a tam ciepły, aromatyczny sierpień dobijał się do okien.

– Nie, nie jestem. Ale chciałamby – odparłam.

„Bo chyba to teraz powinnam zrobić?” – dodałam w myślach.

– Chciałamby być – powtórzył po mnie.

– No, przecież mówię.

– Powiedziałaś: „chciałamby”, a powinnaś powiedzieć: „chciałamby być”. – Po tych słowach odwrócił się na bok. Po chwili jego plecy powiedziały sennym głosem: – Niedługo będziesz żoną przyszłego prawnika. Pana, kurwa, mecenasa. Szanuj mnie i wyrażaj się gramatycznie, jak na kobietę z miasta przystało – zakończył i w momencie zasnął.

Ja nie wiem, w jaki sposób faceci potrafią zasnąć ot tak, na zawołanie. W sekundę.

Leżałam jeszcze przez chwilę bez ruchu i wdychałam ciepłe, piękne powietrze, nęcące sierpniowym orientem, kuszące późnoletnią melodią bzu i paproci. Zastanawiałam się, co teraz robili inni. Czy jeździli za granicę? Czy chodzili po górach? Czy uczyli się, studiowali?

Ja byłam w łóżku, z moim przyszłym mężem. On spał, ja się nudziłam. Trochę też mi było przykro, ale co zrobić. Ślub już zaplanowany, przecież nie dało się tego odwołać. Nie wypadało. Poza tym – nie oszukujmy się – drugiej takiej partii jak Mariusz mogłam już nie załapać. Grzechem byłoby przepuszczenie takiej okazji. Sama w mieście się nie utrzymam.

Niech więc będzie dziecko.

O dziwo, w ciążę udało mi się zajść bardzo szybko. W zasadzie już w pierwszym cyklu, w którym rozpoczęliśmy starania. Ja – świadome, Mariusz – nieco mniej. Na szczęście na ślubie nie było jeszcze widać brzuszka, choć mama od razu wszystkiego się domyśliła. Mówiła, że mi się tak oczy świecą i włosy błyszczą, że to na pewno ciąża. Jedna ciotka też gadała, że wcale alkoholu nie piję, że to na pewno przez to. Cóż, miała rację. Nie potwierdzałam, nie zaprzeczałam też. Było jeszcze za wcześnie – drugi miesiąc, szkoda byłoby zapeszyć.

Po weselu przeliczyliśmy pieniądze i poszliśmy spać. Mariusz oczywiście chciał uprawiać seks, ale na szczęście był na tyle mocno wstawiony, że szybko zasnął tuż nad ranem. Ja udawałam, że muszę się jeszcze wymyć przed pójściem spać. Po cichu w łazience liczyłam sekundy, odliczałam minuty. Usiadłam na brzegu wanny, nie chciało mi się już rozbierać. Włączyłam wodę, żeby lała się z prysznicą, co jakiś czas włożyłam rękę pod strumień, żeby dźwięk mycia nie wydawał się zbyt jednostajny. Potem odczekiwałam, nasłuchując. Kiedy chrapanie trwało już od dobrych pięciu minut, cichutko wyszłam z łazienki, kładąc się na sofie i biorąc do rąk moją ukochaną Jane Austen. Może nie miałam aż tak burzliwego życia uczuciowego, jak jej bohaterki, ale przynajmniej zawsze mogłam sobie o takim poczytać. Pomarzyć. Przykryłam nogi ciepłym, kremowym kocem, na stole postawiłam kubek z parującym kakao z cynamonem i miskę z ciastkami. Dzięki Bogu mdłości mnie nie nachodziły.

\*\*\*

Powracam myślami do obecnych wydarzeń. Jest druga połowa zimy, mam dwie wyrosnięte już córki, rozpoczęłam studia licencjackie i właśnie wyprowadziłam się od męża. Co prawda on jeszcze o tym nie wie i myśl o tym, jak zareaguje, gdy się w końcu dowie, zaprzęta mi całą przestrzeń w głowie. Tak bardzo się boję, że aż mi niedobrze. Nie mogę sobie miejsca znaleźć, zupełnie nie wiem, co robić.

Uchylam drzwi od swojego pokoju.

– Mamo, położysz dziewczynki spać w pokoju na dole? Jestem bardzo zmęczona! – krzyczę.

Po chwili z dołu dobiega mnie głos matki:

– Położę. Pieczemy teraz ciasto na niedzielę, będzie piernik. Zrobić ci herbaty?

– Nie, dziękuję! – odkrzykuję. – Dobranoc. Do jutra.

– Do jutra, pa! – woła mama.

Dziewczynek nie słychać, pewnie są zaabsorbowane pieczeniem.

Zamykam drzwi i kładę się do łóżka w ubraniu. Kołdrą przykrywam się cała, razem z głową. Bardzo szybko zasypiam.

\*\*\*

Rano budzą mnie krzyki i hałasy. Ktoś ogromnie kłóci się na dole. Słyszę przekleństwa, stuk upadającego krzesła, trzaśnięcie drzwiami... To mnie w pełni rozbudza. Ja nie śnię.

Zanikający płacz jednej z dziewczynek elektryzuje mnie i mrozi mi krew w żyłach. Na złamanie karku zrywam się z łóżka i zbiegam po schodach. W dwie sekundy jestem już na dole. Zastaje mnie widok siedzącej w kucki i płaczącej mamy. Wokoło rozrzucone krzesła, przewrócony na bok stół. Nie mam odwagi spytać, co się stało. Jestem na granicy zemdlenia, kiedy pytam przerażonym głosem:

– Gdzie dzieci?

Matka płacze, nie odpowiada. Nie podnosi nawet głowy.

– Gdzie są, kurwa, dzieci?!

Dopiero mój krzyk działa na nią motywująco. Uchyła rąbek czoła, rękawem ściera z twarzy łzy i smarki.

– Zabrał je. On je zabrał – szepcze, łkając.

Nie wierzę w to, co słyszę. Po prostu nie wierzę.

– Kto? Gdzie? – pytam. Ona znowu w ryk. – Odpowiedz!!!

– Mariusz – mówi przerywanym głosem. – Przyjechał z samego rana, przed chwilą. Miałam cię od razu budzić, ale on się nawet nie rozbierał. Bałam się zostawić z nim dziewczynki same.

– Gdzie są teraz dzieci... – mówię. Nie mam siły nawet na zaintonowanie pytania. Pytam w formie twierdzącej.

– Nie wiem. Zabrał je. Pewnie do domu.

– Jak to zabrał?!

– Powiedział im, że bierze je teraz na basen i na hamburgery. Że po drodze kupi każdej po nowej lalce Barbie. A potem zaraz wróca, przyjadą do babci i do mamy na obiad. Tak im mówił, ale one bystre są, wyczuły pismo nosem, nie chciały pójść. Prosił raz, drugi, nie poskutkowało. W końcu wziął je siłą, zabrał jedną pod pachę, a drugą za rękę ciągnął. Julkę. Nie chciała mu na to pozwolić, wyrywała się i krzyczała. Krzesło nogą straciła, zaparła się i powiedziała, że nigdzie nie pójdzie.

– I co się stało?

– Wziął ją na ręce i wyszli z domu. Julka w płacz...

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?! – dopytuję, zszokowana.

– Nie było kiedy, to się działo tak szybko... – mama tłumaczy się, ale nie słucham jej. Wybiegam przed dom, szukając śladu Mariusza czy dziewczynki.

Nie wiem, co mam robić, czuję się kompletnie zdezorientowana, wybita z rytmu, nieswoja. Chce mi się płakać i krzyczeć, zamiast tego biegiem pędzę na górę, zabieram torebkę, myję w przelocie zęby i biegnę na najbliższy bus do miasta. A stamtąd na pociąg do Krakowa. Mariusz na pewno chciał mnie ukarać, dać mi nauczkę i zabrał dzieci z powrotem do domu. Chce, żebym wróciła do nich – tłumaczę sobie, racjonalizuję. Na pewno tego chce. Wiedział, że mnie nie przekona, dlatego zabrał dzieci, żebym i ja do niego wróciła.

Cóż, muszę przyznać, że zaimponował mi. Zadziałał skutecznie. Niecałe pół godziny później robię sobie makijaż w toalecie dworcowej PKP. Lustró jest okropnie obdrapane, wygląda jak z lat siedemdziesiątych. Mimo to udaje mi się całkiem sprawnie wymalować. Nową grzywką zakrywam siniaka, który dziś wygląda okropnie krwście. Nie zaczął jeszcze zielenieć ani fioletowić.

– Studencki do Krakowa proszę.

– Dwadzieścia pięć złotych. – Słyszę głos w okienku.

– Ojej, a czemu tak drogo? – dopytuję, robiąc wszystko, aby się uspokoić. Drobną pogawędką z kasjerką na dworcu zdaje się całkiem niezłym rozwiązaniem.

– A skąd ja to mam wiedzieć? Ja tu tylko sprzedaję – odpowiada, rozeźlona.

No nic. Płaczę, wychodzę na niezadaszony peron. W nocy złapał silny mróz, ślizgam się po torach. Słońce próbuje przedostać się przez stalowoszare chmury, ale idzie mu to opornie. Patrząc w lewo, czy nie nadjeżdża pociąg i wtedy, ku mojemu zdziwieniu, pojawia się przede mną znajoma postać, twarz ma... identyczną jak mój ojciec! Zaskoczona, zszokowana, niesiona skrywanymi tak długo emocjami, rzucam mu się na szyję!

– Tato, tak się cieszę, tak ogromnie się cieszę! – prawie krzyczę, płacząc i tuląc się do niego.

Nie interesuje mnie to, jak się kiedyś zachowywał. Czy bił mamę, czy był pijakiem i czy moje dzieciństwo było smaczne i ciepłe. Jest moim ojcem, moim ukochanym, zaginionym przed laty tatkiem i ogromnie się cieszę, że go widzę.

– Tato, gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata? Wszędzie cię szukaliśmy! – mówię do niego, przez chwilę patrząc mu w oczy. – Prawie nic się nie zmieniłeś! Wyjechałeś za granicę, co? Ja tak obstawiałam. Wiesz, że mama nie zgodziła się uznać cię za zmarłego? Jako jedyna w rodzinie wierzyła w to, że się kiedyś odnajdziesz. I odnalazłeś się! Tato, tak się cieszę! – łkam.

Tata nadal milczy i odsuwa się ode mnie. Co prawda delikatnie, ale jednak. Spogląda na mnie, uśmiecha się, podnosząc tylko jeden kącik ust do góry i zaczyna iść w stronę, z której przyszedł.

– Tato, zaczekaj! Gdzie ty idziesz? Ja mam zaraz pociąg do Krakowa! Muszę jechać, Mariusz zabrał mi dziewczynki... Zaraz, przecież ty nawet nie wiesz, że wyszłam za męża, że mam dzieci! – wołam, ale jego sylwetka staje się coraz mniejsza, przechodzi przez tory i zmierza w kierunku miasta. – Tato!

„Co robić?” – zastanawiam się gorączkowo. Ojciec nie odwraca się, nie patrzy w moją stronę. Może chciał mnie tylko zobaczyć? Akurat był tutaj, w tym samym miejscu, wysiadał z pociągu chwilę wcześniej? A może miał wylew i teraz nie może mówić? Czemu nie odezwał się ani słowem? Czy ma żal o to, że pochowaliśmy go za życia? Przecież nie mogliśmy wiedzieć ani też czekać w nieskończoność...

Patrzę na zegarek. Pociąg odjeżdża za nieco ponad dziesięć minut. Nie mogę na niego nie zdążyć, następny jest dopiero za dwie i pół godziny. Muszę jak najszybciej być w domu, ratować dziewczynki...

Chociaż Mariusz mógł wcale nie zabrać ich do Krakowa. Może pojechali do domu, do jego mamy, a może... wcale nie? Może jadą sobie teraz do kina albo na basen, tak jak powiedział? Może nawet wrócą na obiad? Ale w takim razie skąd ta szarpanina i poprzewracane krzesła? Nie, to się kupy nie trzyma.

Coś jednak mówi mi, żeby mimo wszystko nie panikować. Żeby uspokoić się, wziąć parę głębokich oddechów i odczekać. Że pośpiech nie jest tu wskazany. Boję się o dziewczynki, ogromnie się o nie boję, ale coś w środku mówi mi, żeby wbrew logice i zastraszającemu mnie na każdym kroku



rozumowi dać temu czas.

W ułamku sekundy podejmuję szaloną decyzję. Zrywam się z peronu i rzucam się biegiem za ojcem. Nie wołam go, nie chcę marnować energii. Wolę przeznaczyć ją na przyśpieszenie kroku.

Udaje mi się dogonić tatę na zakręcie drogi prowadzącej z dworca PKP do centrum miasta. Podbiegam do niego i kładę mu rękę na ramieniu. Zatrzymuje się i powoli odwraca w moim kierunku. Widzę uśmiech na jego twarzy, który sprawia, że wszystkie moje żale i pretensje, skrywane dotąd głęboko, rozpuszczają się i roztopiają, jak sople lodu wystawione na działanie ciepłego wczesnowiosennego słońca. Czuję chłodne krople, pełne promieni słońca, na twarzy, na oczach, na języku.

– Tatku, pójdę teraz z tobą – mówię mu, biorąc go pod rękę.

Wspólnie zmierzamy tam, skąd przybyliśmy.

## 7.

W tym roku zimowe obrusy w barze mlecznym U Angeliki i Andrzeja są złote: jedne gładkie, inne w czarną kratę. Słońce przebija się przez nieumyte, zaparowane okna, rzuca kwiatowe cienie z za wysłużonych koronkowych firanek. Pomimo wiekowości tego baru oraz pewnych niedociągnięć (takich, które w nowoczesnych miejskich lokalach nie miałyby racji bytu) jest tu czysto i schludnie. Ma się tu ochotę przebywać.

Siedzimy z tatą przy stole pod oknem, zaraz niedaleko kominka. Ogień trzeszczy radośnie, iskierki co rusz wyskakują z pieca, w duchu dziękuję za brak ogrzewania z MPEC-u. Przychodzi mi na myśl, że zbyt duże wygody sprawiają, że jesteśmy mniej szczęśliwi – odbierają nam coś, jakąś część nas samych, zamiast nas wzbogacać.

Jemy śniadanie, pierwsze wspólne od lat. Ja zamówiłam jajecznicę na cebuli, tata parówki i twarożek ze szczypiorkiem. Pani Agata, która podaje tutaj od zawsze, przyniosła nam jeszcze świeże, chrupiące bułki i mały, maleńki talerzyk z granatowym prążkiem wokół, na którym położyła dwie mikroskopijnych rozmiarów kosteczki masła, dwa plasterki szynki i również dwa żółtego sera. Mimo wszystko – i tak warto tu przychodzić.

– Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata? – pytam po długiej chwili ciszy.

Łyżeczka dzwoni dźwięcznie o brzegi szklanki, kiedy mieszam nią cukier w herbacie. Dodałam dwa plasterki cytryny i teraz musiałam dosłodzić sobie jeszcze jedną łyżeczkę.

– Tu i tam. – Wyczytuję, jednak bardziej z miny ojca, niż z tego, co próbuje mi powiedzieć słowami.

Powoli zaczyna już mówić, ale jego zdania są ciche, niepełne i urywane. Wyszarpywane. Może faktycznie miał wylew? Boję się pytać. Chciałabym też wiedzieć, czy nadal pije, ale na zadanie tego pytania również brakuje mi odwagi. Zamiast tego wyciągam portfel, a z niego dwa śliczne zdjęcia uśmiechniętych, anielskich łobuziaków.

– To jest Julia, moja starsza córka – mówię, podając tacie małą fotografię. Odbiera ją ode mnie z pewnym trudem, jednak jego ruchy są płynne,

a dłonie nie drżą. To dobry objaw.

– Julia chodzi teraz do zerówki w przedszkolu. Jest śliczną i mądrą dziewczynką. Chętnie pomaga mi w pracach domowych, bardzo lubi się uczyć. Lubi porządek i zawsze gani swoją młodszą siostrę za nieposprzątane misie i lalki – trajkotam, podając drugą z kolei fotografię. – A to właśnie jest Wiktoria. Żywe sreberko, diabeł wcielony. Wszędzie jej pełno. Lubi się śmiać, psocić, ma żywą i energiczną osobowość. W zasadzie to trochę tak, jakby była przeciwieństwem Julki. Choć są też zabawy, które lubią wspólnie, na przykład w dom czy w sklep spożywczy.

Tata ręką wskazuje na mój portfel i uśmiecha się zachęcająco, jakby mówił: „Pokaż, kogo tam jeszcze masz”. Wzdycham głośno i wyjmuję trzecie, ostatnie zdjęcie.

– A to jest Mariusz. Mój mąż – stwierdzam z kamienną twarzą, głosem męczennicy narodów. Tata spogląda pytająco. – Nie układa nam się najlepiej, zwłaszcza ostatnio. Widzisz? – pytam, zdejmując czapkę i odsłaniając grzywkę na bok. – To on mi to zrobił. Wczoraj. Dlatego odeszłam. Wczoraj wieczorem przyjechałam z dziewczynkami do mamy, ale on dzisiaj rano zebrał je. Pojechali gdzieś, nie wiem dokąd, i bardzo się o nie martwię.

Tata wpatruje się raz w zdjęcie Mariusza, raz w zdjęcia dziewczynek. Wzdycha smutno, a jego oczy napęcznieją się łzami. Trudno jest mi patrzeć na to, jak mój własny ojciec płacze, to niecodzienny widok, jakże odmienny do tego, do którego przywykłam jako dziecko i nastolatka.

– Tato, dlaczego odszedłeś? Dlaczego przez tyle lat nie dałeś znaku życia? Chorowałeś? Wyjechałeś za granicę? Co się stało? – pytam, ale on nie odpowiada. Spogląda na stół, upija kolejne łyki kawy fusiary, którą przed chwilą przyniosła nam pani Agata. – Rozumiem, że jest to dla ciebie trudne, ale dla mnie nie jest ani trochę łatwiejsze – wyznaję i postanawiam zabrać go w jedno miejsce, które, mam nadzieję, otworzy jego serce i moje oczy.

– Chodźmy – mówię.

Płacę za całe śniadanie dla dwóch osób piętnaście złotych i zastanawiam się, dlaczego w Krakowie za tyle samo kupuję tylko jedną kawę na mieście. Czym różni się miasteczko od miasta, oprócz wielkości? Czy za wielkość trzeba płacić podwójnie, a nawet potrójnie? Na myśl przychodzi mi jeszcze jedno pytanie, którego nigdy dotąd nie miałam odwagi sobie zadać: czy

wyjazd do miasta faktycznie aż tak mi się opłacił?

Tata wkłada zimowy płaszcz w kolorze zimnej, szarej stali, której kołnierz obszyty jest futrem z lisa. Na głowę zakłada kaszkiet, a na dłonie czarne skórzane rękawice z dziurkowanymi zdobieniami. Kaptur mojej zgniłozielonej kurtki puchowej również jest przyozdobiony futrem, tyle tylko, że sztucznym. Jednym szybkim ruchem zapinam zamek pod samą szyję, czerwone skórkowe rękawiczki zakładam jeszcze przed wyjściem na mróz.

– Do widzenia! – wołam do pani Agaty, wychodząc z lokalu.

W duchu obiecuję sobie solennie, że wkrótce tu wrócę.

\*\*\*

Cmentarz parafialny w Suchedniówku, choć mały, zaskakuje urokiem i historią. Najstarsze, zabytkowe groby mają nawet po sto, sto pięćdziesiąt lat. Niektóre sypią się, pozostawiając wokoło siebie pokruszone kamienie, które w jedną czy dwie wiosny w całości porośnie mech. Wiele liter zatarło się, już nie wiadomo, czyje szczątki leżą w środku, gdzieś tam, pod ziemią.

Biorę tatę pod rękę. Idziemy spokojnym, powolnym krokiem. Stałym, nie chybotliwym. Dajemy sobie czas, nie poganiamy się nawzajem, ani w kwestii mówienia, ani w kwestii chodzenia.

Przypominają mi się moje córki i to, że wszystkie pierwsze miesiące skupione były tak naprawdę na tym, żeby w końcu zaczęły same siedzieć, same chodzić, same mówić. Im szybciej któreś dziecko chodziło czy mówiło, stanowiło to niezaprzeczalny powód do dumy dla ich rodziców. Pamiętam jak dziś te godziny spędzone na oczekiwaniu, te emocje, przelewane na nieświadome niczego dzieci. Kobiące magazyny tylko to podchwytywały, przechwalając się nagłówkami jedne przed drugimi: *Pięć nieznanym dotąd sposobów na to, jak przyspieszyć umiejętność chodzenia u twojego dziecka! Dowiedz się, co możesz zrobić, aby twoja pociecha siedziała przed innymi dziećmi! Inne dzieci chodzą, a twoje jeszcze nie? Dowiedz się, gdzie popełniłaś błąd!*

Cóż, patrząc z perspektywy czasu, moje dzieci zaczęły chodzić i mówić wtedy, kiedy same miały na to ochotę, kiedy nabyły do tego wewnętrznej gotowości i odwagi. I na co zdał się stres i porównywanie się z innymi? Wysłuchiwanie godzinnych tyrad mojej mamy i teściowej na temat tego, że źle je wychowuję? Że za mało chodzą, za mało są ćwiczone? Tyle

niepotrzebnego stresu i na co to wszystko, pytam? Zastanawiam się, jaki to wszystko ma sens. Te usilne starania o to, żeby być lepszym, szybszym i hop do przodu. Po co to wszystko? Czy nie lepiej, nie bardziej wartościowo jest spędzić ten czas na spokojnym spacerze? Czy musimy tworzyć sobie poprzeczki, cele? Nie łatwiej, nie lepiej, nie przyjemniej po prostu iść do przodu spacerowym krokiem, mając czas i siłę na to, by porozglądać się wokoło? *Slow life* – przychodzi mi do głowy takie sformułowanie. *Slow food* już powstało, więc może powolne życie będzie jego następstwem.

Dochodzimy do małej, odrapanej ławeczki, tuż przed grobem z marmuru. Na płycie stoją dwa wypalone dawno znicze i jedna wiązanka ze sztucznych fioletowych i pomarańczowych chryzantem. Siadamy z tatą na ławeczce. Nadal trzymając go pod ramię, lewą ręką wskazuję na napis, który jest najniżej na tablicy. Napis głosi: *Wiesław Jasiński, ur. 1949, zm. tragicznie 2006.*

– Chcieliśmy napisać: „zaginął”, ale władze cmentarza się na to nie zgodziły. Stwierdzili, że jeśli ktoś zaginął, a ciała nie odnaleziono, to pogrzeb pro forma urządzić można, ale na tablicy ma być jasno napisane, że ta osoba już nie żyje – mówię mu, ściskając mocniej jego ramię.

Czuję się idiotycznie. Siedzę ramię w ramię z ojcem nad jego własnym grobem.

– Tato, mam nadzieję, że nie masz do nas pretensji, że uznaliśmy cię za zmarłego? Ja wiem, że to musi być dla ciebie straszne i szokujące, widzieć swój własny grób, ale musisz nas zrozumieć: poszukiwaliśmy cię przez wiele długich miesięcy. My, rodzina, znajomi, policja. Objeździliśmy wszystkie okoliczne szpitale, noclegownie, MOPS-y, domy pomocy społecznej, tymczasowe areszty i komisariaty. Nigdzie cię nie było. Przepadłeś jak kamień w wodę.

Ojciec milczy. Co jakiś czas wzdycha smutno i powolnie, żołądek mi się wtedy ściska i czuję się potwornie tam w środku. Rozglądam się wokoło: na cmentarzu panuje zima, większość grobów przyprószona jest zmarzniętym śniegiem. Ogołoczone z liści drzewa tworzą smutny i melancholijny nastrój, dokładnie taki, jakiego oczekiwaliśmy od małego parafialnego cmentarza. Zbieram się w sobie i postanawiam kontynuować:

– Mama najdłużej wzbraniała się przed tym, żeby uznać cię za zmarłego. Powiedziała, że nie podda się i znajdzie cię, choćby na końcu świata. Chyba

naprawdę w to wierzyła i ta nadzieja dawała jej siłę. Pozostali, włącznie ze mną, nie mieli jej tak wiele. Po dwóch latach, kiedy dalsze poszukiwania straciły już jakikolwiek sens, zrozumieliśmy, że albo faktycznie nie żyjesz, albo wyjechałeś i nie zamierzasz już nigdy powrócić. Ostatecznie namówiliśmy mamę na to, by zdecydowała się uznać cię za zmarłego. Odprawiliśmy pogrzeb, zapraszając na niego najbliższą rodzinę oraz okolicznych sąsiadów. Chcieliśmy dobrze dla mamy, pragnęliśmy, aby przestała wciąż o tobie mówić i myśleć, a zajęła się w końcu sobą i swoim własnym życiem. Zgodziła się w końcu. Na grobie wypisaliśmy datę twojego zaginięcia. Od tego czasu minęło już prawie siedem lat... Co działo się z tobą przez te wszystkie lata? Dlaczego nie dawałeś znaku życia? – pytam, nie licząc jednak, że ojciec udzieli mi jakiegokolwiek odpowiedzi.

Trudno oczekiwać, żeby w paru zdaniach streścił mi przebieg kilku ostatnich lat życia. Choć może raczej powinnam powiedzieć: „śmierci” – konstatuję cynicznie.

Daję tacie czas. Widzę kątem oka, że z kieszeni szarego płaszcza wyjmuje materiałową chusteczkę, dokładnie taką, jaką nosił przy sobie przed laty. Czy nadal miał jedną z nich? Czy zostawił ją na pamiątkę i nosił przy sobie przez te wszystkie lata?

Tata ociera z oczu łzy, które spływają mu po policzkach. Musi robić to szybko, żeby nie zdążyły zamarznąć. Robi się coraz zimniej, a tata chce mnie jeszcze za dnia zabrać w jedno miejsce.

– O co chodzi, tato? – pytam. – Gdzie chcesz mnie zabrać i po co? Wiesz, już niedługo zrobi się ciemno.

Postanowiłam jednak nie jechać dziś do Krakowa, dam Mariuszowi czas. Ale wolę być wcześniej w domu, na wypadek gdyby wrócili. Teraz mnie chce się płakać. „Boże, na co mi przyszło? Jak mogłam dopuścić do tak okropnej sytuacji? – dopytuję sama siebie, nie winiąc już za nic Mariusza. On jest przecież nieobliczalny, nie można mu ufać. – Dlaczego nie posłuchałam siebie?”.

Robienie sobie kolejnych wewnętrznych wyrzutów przerywa mi ojciec, który podnosi się z ławki, tym samym ciągnąc mnie za zaplątaną w niego rękę. Na odchodnym spoglądamy raz jeszcze na tablicę nagrobka i odchodzimy, nie żegnając się nawet. Już dawno przestałam chodzić do kościoła, tata nigdy nie brał udziału we mszach, mimo że też, tak jak mama,

wychował się na wsi. Słyszałam, jak mama wielokrotnie mówiła, że to przez to ojciec pije, że do kościoła nie chodzi. Że diabeł mu się załęgł za kołnierzem i odczepić się od niego nie może.

Idziemy ramię w ramię, krok w krok. Ja i tata. Muszę przyznać, że choć poznałam go bez większego trudu, to jednak zmienił się nieco: postarzał, schudł i zmałał. Stał się bardziej przygarbiony, spokojniejszy, już nie jest tak szybki i gwałtowny, jak niegdyś.

Spacerujemy wzdłuż alejek, potem opuszczamy cmentarz i pieszo udajemy się w stronę lasu za wsią. Chcę spytać tatę, skąd się tutaj dziś wziął. Czy mieszka gdzieś niedaleko? Czy przyjechał tylko po to, żeby się z nami zobaczyć? Czy zostanie na dłużej? Czy będzie chciał spotkać się z mamą? Jestem pewna, że by się ucieszyła, widząc go. Stwierdzam, że na pewno wybaczyła mu już wszystkie, dawne winy. Jednocześnie czuję, że wcale nie musi być to prawda. Czy ja przyjąłabym Mariusza z otwartymi ramionami po latach od dzisiejszego incydentu? Czy nie miałabym żalu, pretensji o to, jak mnie kiedyś traktował?

Kolejne myśli do rozważenia nachodzą mnie, jak rwący potok, który spada z gór, nie pytając nikogo o zgodę. Patrzę uważnie pod nogi, trzeba iść ostrożnie, bo śnieg przykrył połamane gałęzie i stosy kamieni, których tutaj sporo – spacerujemy po terenach dawnych neolitycznych kamieniołomów.

Tata zatrzymuje się na granicy lasu i jeziora Czarne. Patrzy w stronę linii horyzontu. Ja również podnoszę głowę: wspólnie obserwujemy zachodzące za wodą słońce. Tata podnosi rękę i wskazuje na wodę.

– O co chodzi, tato? Nie rozumiem...

Nie odpowiada, zamiast tego potrząsa dłonią, raz jeszcze wskazując na wodę, jakby gestem ręki chciał wyrazić emfazę. Dalej nie rozumiem.

Nagle, ku mojemu zdziwieniu, tata wchodzi do wody.

– Co ty robisz?! Przecież jest zima, zaziębisz się! – stwierdzam podniesionym głosem. – Wyjdź, proszę cię – mówię, ciągnąc go za rękaw. Muszę wygiąć się do przodu, żebym nie zamoczyła swoich butów z jasnobrązowej skóry.

Stojąc po kolana w lodowatej wodzie, tata odwraca się w moim kierunku i patrzy na mnie przenikliwie. Jego oczy są mroźne i pełne grozy. Boję się

ich. Nie spuszczać ze mnie przeszywającego wzroku, schyla się, kucając, i zanurza rękę w wodzie. Z dna wyjmuję wielki, płaski, ciężki kamień, oblepiony przemarzniętym błotem. Podnosi kamień do góry, a potem wyciąga go w moją stronę. Spoglądam na niego: od spodu na wodę spadają gęste, czerwone krople...

Na Boga, czy to krew?! Serce zaczyna mi łomotać z taką siłą, że boję się, że zaraz dostanę zawału czy jakiejś zapaści. Podnoszę wzrok z kamienia na ojca: jego oczy nabiegły krwią, minę ma przerażająco poważną. Podchodzi bliżej, nadal trzymając przed sobą ogromny kamień w wyciągniętej w moją stronę dłoni.

– Po co to robisz, tato? O co ci chodzi?! – Nie mogę zrozumieć i zaczynam wycofywać się, krok po kroku.

W ostatniej chwili, tuż przed atakiem paniki i zemdleniem, znajduję w sobie odwagę, żeby raz jeszcze spojrzeć na ojca: z jego oka spływa jedna, jedyna czerwona łza. Strużka krwi przecina jego policzek na pół. Następna scena toczy się w ciągu dwóch czy trzech sekund: praktycznie jednocześnie, wiedziona intuicją, dotykam kamienia, czuję, że tego właśnie chce ode mnie ojciec. W momencie, w którym łapię go dłonią i przejmuję, tata puszcza go i zaczyna iść tyłem w stronę wody, kieruje się ku środkowi Czarnego. Zaczynam krzyczeć: kamień jest ciężki, mokry i przeraźliwie zimny. Nie tyle kapie z niego, co leje się strumieniem ciepła jeszcze krew. Podnoszę wzrok na ojca, który jest już około pięćdziesięciu metrów od linii brzegu. Chciałabym pomóc mu, skoczyć za nim, ale boję się, jestem sparaliżowana potwornym strachem.

W momencie, w którym przychodzi mi na myśl pytanie: „Czemu ojciec nie tonie?“, on zapada się pod wodę, z głośnym pluskiem i chluśnięciem. Delikatna fala unosi się po jeziorze. Patrząc na horyzont: słońca już nie ma, schowało się, choć nie jest jeszcze zupełnie ciemno.

– Tato! Tato!!! – krzyczę tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu.

Niestety, nikt nie odpowiada.

\*\*\*

Budzi mnie jakiś hałas, szturchanie, potrącanie i taka potworna suchość w gardle... Jezu, jak sucho, dajcie mi jakiejś wody... oddychać się nie da, mówić nie można, nawet śliny nie mogę połknąć... Uchylam jedno oko, ale



nie jest to najlepszy pomysł. Oko boli, światła jest za dużo, zamykam je od razu, wracając w ciepłą, bezpieczną ciemność. Ale wtedy znowu jakieś cholerne poszturchiwania. Czy oni się na mnie uwzięli, czy co?! O co chodzi? Co ja komu zrobiłam?! Nie otrzymuję odpowiedzi, chyba moje pytania zostały uznane za retoryczne. Zamiast tego ktoś zupełnie bezczelnie otwiera mi sam drugie oko.

– Jak śmiesz podnosić mi powiekę! – chcę krzyknąć, ale nie mam siły, no i gardło nadal takie suche, jak wióry na pustyni.

– Proszę pani, czy pani mnie słyszy? – Do moich uszu dobiega dziwny, metaliczny głos. Jego brzmienie przeplata się z ogłuszającymi mnie, piszczącymi dźwiękami. – Halo, proszę pani! Proszę dać jakiś znak, może być mrugnięcie okiem.

No, w końcu ten koleś mówi coś sensownego. Mrugnąć to ja mogę, to nie problem, ale więcej ode mnie teraz niech nie oczekuje.

Mrugam raz i drugi. Facet uspokaja się, już nie jest tak napastliwy i zaborczy. Spuszcza nieco z tonu.

Chciałabym odwrócić się na drugi bok, ręka mi ścierpła, ale nie potrafię, nie mogę za bardzo się ruszyć, nie wiem czemu.

– Proszę pani, proszę się nie ruszać, to może być niebezpieczne. Karetka już jedzie – mówi znowu on. Już mnie nie maca, ale głos ma nadal lekko rozchwierutany.

– Jaka znowu karetka? – pytam, ale swój głos słyszę tylko we własnej głowie.

Nie przychodzi mi długo czekać na odpowiedź. Nie mija nawet minuta, a słyszę wycie syreny ambulansu. Auto podjeżdża bardzo blisko mnie. Ten hałas jest nie do wytrzymania, na szczęście gaśnie razem z silnikiem auta. Po chwili robi się jeszcze większe poruszenie, słyszę rozmawiające nade mną głosy, czuję na sobie cienie kilkorga ludzi.

– Jak to się stało? – jeden głos pyta inne głosy.

– Ja widziałem dokładnie, szedłem tuż za nią. Przechodziła przez tory, trochę się spieszyła, a że tory są bardzo śliskie, oblodzone po nocnych przymrozkach, potknęła się czy poślizgnęła i bardzo niefortunnie upadła na ziemię, uderzając tyłem głowy o tory. Straciła przytomność na kilka chwil,

ale ten pan tutaj zaraz do niej podbiegł i próbował ocucić i trochę mu się udało, bo pani przed chwilą mrugnęła okiem, sam widziałem! – Głos mówiącego jest ogromnie przejęty. Dźwięki są szybkie, jak samoloty wyrzucane z procy przez małego chłopca w za dużych szortach, podtrzymywanych szelkami dziadka.

– Proszę pani, czy pani mnie słyszy? – słyszę nad głową.

Czy oni jeszcze długo zamierzają mnie pytać o to samo? Już przecież mówiłam, że nie mogę mówić, a jedynie mrugnąć okiem, bo mi w gardle sucho i trudno się tak na bok przekręcić. Mrugam raz jeszcze, niech i ci wiedzą, że wszystko ze mną w porządku.

Ale zaraz... Czy to oznacza, że oni mówią o mnie? Że potknęłam się o tory i straciłam przytomność? Przecież to niemożliwe! Przeszłam przez tory bez najmniejszego uszczerbku, potem spotkałam tatę, z którym...

Jezus Maria, a jeśli to wszystko tylko mi się wydawało? Jeśli to był tylko sen, wizja ze skraju życia i śmierci?

Niemożliwe. To było zbyt realistyczne, to działo się naprawdę. Prędeż teraz śpię. Tak, to musi być sen, muszę się tylko obudzić...

## 8.

Jeśli nadal jest to sen, to muszę przyznać, że bardzo realistyczny i wręcz misternie stworzony. Zadbano tutaj o każdy detal: karetka, którą mnie wieziono, jechała na sygnale, jak na filmie sensacyjnym. Ratownicy medyczni byli małomówni i skupieni na swojej pracy – znowu punkcik za dokładność. Niestety, nie dostałam kroplówki ani nie podłączono mnie do respiratora – tutaj reżyser snu mógł się nieco bardziej postarać. Przez całą drogę jechałam na leżąco, przykryta kocem i przypięta pasami, nic ciekawego się nie działo, poza tym, że za szybą samochodu przez chwilę znowu ujrzałam twarz mojego ojca.

Boję się, bardzo się boję. Nie wiem, co z dziećmi, co z Mariuszem, co ze mną... Czy żyję, czy jednak umarłam? Co było snem, a co przywidzeniem? Jeśli faktycznie poślizgnęłam się, przechodząc przez tory, i wtedy straciłam przytomność, to cała wędrówka z tatą, pyszne śniadanie, gorąca herbata z cytryną, spacer na cmentarz i późniejszy nad jezioro... Oznaczałoby, że to wszystko tylko mi się zdawało.

Owszem, czytałam kiedyś o doświadczeniach z pogranicza. Wysłuchałam nawet jednego wykładu profesora Vetulaniego na YouTube. Profesor twierdził, że w trakcie śmierci gruczoł szyszynki powiększa się znacząco i zaczyna produkować ogromne ilości hormonów halucynogennych... To stąd biorą się te wizje o aniołach i Jezusie, przeprowadzających nas na drugą stronę mostu, do miejsca, z którego dobiega światło.

Podobno, będąc na skraju życia i śmierci, możliwe jest wyjście z ciała świadomości: wtedy ona, nieblokowana więcej przez ciało, może podróżować sobie w dowolne miejsca świata, spotykać się z kim chce, nawet z tymi, którzy już odeszli z planu materialnego.

OK, ale w takim razie jakim cudem jadłam śniadanie? Czemu ono nie przelatywało przeze mnie jak przez ducha, tylko gdzieś tam się jednak zatrzymywało po drodze? W momencie otrzymuję odpowiedź, nie wiem skąd, ale chyba ze środka głowy. Rozum podpowiada mi, że przecież we śnie też często jem i jedzenie przeze mnie nie przelatuje, chociaż moje ciało smacznie śpi sobie w łóżku.

– Proszę pani, czy pani mnie słyszy?

Głos dobiega mnie z lewej strony głowy. Nie jestem w stanie obrócić jej w tamtym kierunku, gardło jest już mniej wyschnięte, ale nadal na tyle chropowate, że nie zaryzykuję wydawania z siebie głosu. Mrugam jednak porozumiewawczo: tak, jestem przytomna, wszystko jest ze mną w porządku.

– Czy coś panią boli? – pyta znowu głos.

Mrugam raz na znak, że tak. Dwa mrugnięcia to będzie „nie”. Mam nadzieję, że ten doktor zna ten sposób szyfrowania z *Na dobre i na złe*.

– Czy pani rozumie, co do pani mówię?

Wywracam oczami, słysząc to pytanie. A jak miałabym nie rozumieć, skoro odpowiadam?! Mimo wszystko mrugam raz, na tak.

– Czy pani wie, co się stało?

Mrugam dwa razy. Mógłby opowiedzieć, jak on to widzi.

– OK. Teraz zawieziemy panią na badania. Zrobimy prześwietlenie mózgu, rentgen klatki piersiowej, pobierzemy krew do badań i zbadamy jeszcze kilka innych parametrów...

Wiem, wiem, przecież chyba pan domyślił się już, że oglądam serial o szpitalu w Leśnej Górze? To co mnie pan traktuje jak laika, co? Przecież wiem, jak to się wszystko odbywa.

„Mama. Dzieci” – przychodzi mi na myśl. Tylko jak tu lekarzowi zakomunikować, żeby się z nimi skontaktował? Mrugam kilka razy, ale nic z tego nie wynika. Może jakaś sposobność nadarzy się po drodze na badania? Martwię się o nich, jednocześnie starając się nie popadać w przesadną panikę.

Badania trwają dosyć krótko, w niecałe dwie godziny jest już po wszystkim. Mam już zupełnie otwarte oczy, mogę się delikatnie poruszać, choć głowa dosyć mocno mnie boli. Nie mogę tylko mówić – zupełnie nie wiem czemu. Mam nadzieję, że nie jest to nieodwracalny uraz mózgu.

Do wieczora nic się nie zmienia. Trochę śpię, trochę czuвам, nabieram sił. Wpadam na genialny pomysł napisania wiadomości na kartce. Niestety wieczorem dostaję silne leki, po których momentalnie zasypiam. Budzę się dopiero następnego ranka.

\*\*\*

Rano jest cicho i jasno. Mam chwilę, żeby rozejrzeć się po pokoju.

Pomalowane na jasny seledyn ściany wyglądają dosyć schludnie. W moim pokoju stoją jeszcze dwa dodatkowe łóżka, ale nie są zajęte, co cieszy mnie, bo cenię sobie prywatność. Choć zawsze byłoby z kim porozmawiać... Z prawej strony mojego posłania znajduje się okno. W oknie wisi firanka, jak w szpitalu z dawnych czasów. W Leśnej Górze mają przecież ciemnozielone rolety. Po lewej stronie dostrzegam drzwi, pewnie do łazienki. Oj, przyjemnie byłoby móc wziąć teraz prysznic.

Po chwili słyszę pukanie do drzwi, które zaraz potem uchylają się i staje w nich młoda, jasnowłosa siostra zakonna. Najwyraźniej zakonnice są tutaj pielęgniarkami. Mam nadzieję, że nie będzie pytać, czy chodzę do kościoła na msze, bo jak się wyda, że nie chodzę, to mogą na przykład nie chcieć zrobić mi operacji bez uprzedniej spowiedzi. A odkąd poznałam Marcina, mam się z czego spowiadać.

– Siostra Stella, do usług – stwierdza z zalotnym uśmiechem, wchodząc do mojej sali. – Jak się dzisiaj czujemy?.

– Jakbym mogła, tobym odpowiedziała – mówię w myślach; nie wiem, czy bardziej do niej, czy do siebie.

– Widzę, że humor dopisuje – stwierdza, dokładnie tak, jakby słyszała moje myśli!

To niesamowite. Robię wielkie oczy, to wszystko, na co mnie stać w tym momencie.

– Proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób, przecież to nic wielkiego, to, co ja robię – odpowiada, a ja nie wiem, czy mam się bać, czy śmiać, czy może płakać.

Czuję ogromne przejęcie, żołądek mi się ściska, ale tak pozytywnie, mam ochotę otworzyć usta ze zdziwienia, choć wiem, że to niemożliwe.

– Nie pani pierwsza – mówi, jednocześnie mierząc mi temperaturę.

Postanawiam pójść na całość.

– Czy ja śnię? – pytam Stellę w mojej głowie. Nie wydobywa się ze mnie żaden dźwięk.

Siostra uśmiecha się ciepło, jakby faktycznie słyszała moje słowa – moje myśli. Poprawia pościel na wysokim łóżku, sprawdza puls i tętno. Mówi:

– Kochanie, przecież dobrze wiesz, że wszystko wokół jest snem. To jeden wielki, piękny sen. Natomiast jeśli pytasz mnie o tę obecną, o to, czy teraz śnisz we śnie, to odpowiedź brzmi: „nie”. To nie jest sen we śnie. To jest prawda, realność, rzeczywistość. Tyle tylko, że tak jak zdążyłaś już zauważyć, posiadam umiejętność czytania w myślach. Odpowiadając na twoje następne pytanie: taka już się urodziłam. Przyszłam na świat z tym darem. Choć z początku wcale nie uznawałam mojego talentu za dar, raczej za coś dziwnego, niechcianego, nietypowego... Momentami nawet za przekleństwo – kontynuuję spokojnym, ale żywym i radosnym tonem siostra.

Siada na skraju mojego łóżka, przejeżdża dłonią po moim czole, zdejmując z niego niesforny kosmyk włosów, lepki od potu.

– Moja mama była taka sama i babcia też. Obie potrafiły zaglądać ludziom do głowy. Rodzina i znajomi przychodzili do nich po porady... Dorabiały sobie, jako wróżki, szeptunki i alchemiczki ludzkich serc... Kiedy przyszłam na świat, w oknie drewnianego domu, w którym się urodziłam, pojawiła się wrona. Przysiadła na parapecie i zakrakała trzy razy. Moja mama miała głowę odwróconą w prawą stronę, w stronę okna i kiedy patrzyła na tę krakającą wronę, urodziłam się ja. Dano mi na imię Karolina – niejako od krakania tej wrony. Jako mała dziewczynka wielokrotnie rozmawiałam na głos z koleżankami, choć one nie otwierały nawet ust. Nie musiały – wszystko znałam, wszystko wiedziałam, zarówno to, co miały w głowie, jak i to, co miały w sercu. Co ciekawe, one same nie zawsze potrafiły odróżnić jednego od drugiego. A ja tak. Dlatego zaczęły się mnie radzić w swoich osobistych sprawach. Pytały mnie, który chłopak byłby dla nich dobry na męża, czy warto pójść na studia, czy inwestować w zakup ziemi... Mówiłam im, co widziałam, co słyszałam od ich głów i serc. Dla mnie to było jasne, proste i oczywiste. A dla nich – z jakiegoś dziwnego powodu – nie. Ta wiedza, klarowna dla mnie, dla innych stanowiła źródło problemu, niepokoju, mętliku i zapomnienia. Rozgoryczenia. Wiele nieporozumień rodziło się tylko z tego, że ludzie sami nie wiedzieli, co w sobie noszą: jakie dary i przekleństwa. Moja prawda, która stanowiła sedno ich samych, przemawiała do nich prostym językiem – językiem serca, który nie sili się na wulgarność, pedantyzm, perfekcjonizm, wyniosłość czy pstrokatość. Oj nie. Prawda kole w oczy, boli, bo jest naga, goła, nie ukrywa zmarszczek, krzywych kolan i wystających z kręgosłupa kręgow. Bywa niemiła, niechciana i nieproszona. Żeby dostrzec piękno prawdy, trzeba nauczyć się patrzeć sercem, a nie głową.

Mówiąc to, robi chwilę pauzy, podchodzi do okna sprężystym krokiem i energicznie rozsuwa na bok zasłony i firanki. Uchyła okno i wpuszcza do pokoju podmuch świeżego i mroźnego powietrza.

– Zarówno dzieciństwo, jak i młodość... – kontynuuje siostra Stella swoją opowieść, siadając na krześle tuż obok mnie, z mojej prawej strony – ... minęły mi szybko i przyjemnie, przynosząc wiele przyjemnych zaskoczeń i miłych niespodzianek. Nigdy nie marzyłam o posiadaniu dzieci czy zamążpójściu. Od zawsze interesowała mnie tylko prawda i dążenie do jej odkrywania. Decyzję o wstąpieniu do zakonu florentynek podjęłam jeszcze w szkole podstawowej, tuż przed jej zakończeniem. Miałam wtedy piętnaście lat i długi, gruby warkocz, zakończony bufiastą czerwoną kokardą. Warkocz zwijałam na czubku głowy w kok i biorąc skórzany tornister pod pachę, wędrowałam do pobliskiej wiejskiej szkoły, stworzonej w dawnym dworku pańskim. W trakcie lekcji wcale nie uważałam ani nie słuchałam, o czym uczy nas pani od biologii czy profesorka od rachunków. Zamiast tego na końcu zeszytu zapisywałam wymyślane przez siebie wiersze-modlitwy, rysowałam portrety Matki Bożej w kolorowych sukniach i aniołów z lśnącymi, ogromnymi skrzydłami, planowałam też, jak będzie wyglądał mój habit i gdzie pojedę na misje. Pewnie zastanawiasz się teraz, czy udało mi się zdać z klasy do klasy, co? A jak myślisz? Po co się miałam uczyć i zaprzętać sobie pamięć niepotrzebnymi faktami, skoro w trakcie odpytywania mnie przez nauczyciela od razu wyczytywałam odpowiedź z jego głowy? Oczywiście dzieciaki z klasy wiedziały o moich umiejętnościach. Nauczyciele niby też, ale powątpiewali w nie. Tak czy inaczej, miałam ze wszystkich przedmiotów same piątki i dyrektorka widziała we mnie konkretny materiał na studentkę, która mogłaby załapać się na stypendium naukowe i wyjechać pobierać nauki na Uniwersytet Jagielloński, do Krakowa.

Mówiąc to, Stella zachichotała jak mała dziewczynka, która zrobiła komuś psikusa. Miałam ochotę uszczypnąć się w rękę i sprawdzić, czy na pewno nie śnię. Jej opowieść stawała się coraz bardziej niesamowita.

– I jak postąpiłaś? – spytałam, przyglądając się jej badawczo.

– Popsułam szyki mojej dyrektorce. Tak jak to sobie zaplanowałam pod koniec ósmej klasy, tak też uczyniłam pod koniec klasy czwartej liceum. Zaraz po maturze wyjechałam do zakonu, prosząc o możliwość przyjęcia

mnie w ich skromne progi. Rodzina nie była zachwycona moją decyzją, ale też nie wzbraniała mnie przed nią. Przez te paręnaście lat zdążyli mnie dobrze poznać i wiedzieli, że nie uda im się odwieść mnie od raz podjętej decyzji. Wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Florentynek zaraz po maturze. Moja przełożona uznała, że jestem na tyle zdolna, że szkoda marnować moje zdolności na zwykłą pracę w domu zakonnym i kazała mi uczyć się dalej. Wspólnie wybrałyśmy szkołę pielęgniarską. Nasze siostry od początku założenia tutaj domu zakonnego pomagały w pobliskim szpitalu. Muszę przyznać, że od razu spodobał mi się ten pomysł. Chciałam być blisko Boga, a zarazem mieć kontakt z ludźmi i móc im pomagać. Czułam, że dzięki tej pracy moje talenty będą wykorzystane i ogromnie mnie to cieszyło. Wiesz... – mówi po chwili pauzy – to bardzo wygodne móc rozmawiać z pacjentami w myślach, zwłaszcza jeśli są ciężko chorzy czy nieprzytomni. Dzięki temu bliscy mogą usłyszeć ich ostatnie słowa, słowa pożegnania, dowiedzieć się, czy chcą, żeby odłączyć ich od aparatury czy nie... Popatrz na przykład na siebie: od kilku godzin jesteś w śpiączce, a siedzimy tu sobie i gadamy, jak przy kawce – odparła, a ja czuję, jak ziemia osuwa mi się pod nogami.

– Czyli ty mnie słyszysz, tak?

– Tak. Tak jak słyszałam cię wcześniej, tak słyszę cię i teraz. Różnica jest taka, że wcześniej ciebie tutaj nie było myślami, podróżowałaś gdzie indziej.

– Widziałam się z ojcem! – wtrącam. – Byliśmy w mieście, na śniadaniu, potem na cmentarzu i jeszcze nad jeziorem...

– No widzisz. Dlatego ja mogłam cię słyszeć i mówiłam do ciebie, ale nie zauważałaś mnie i nie wchodziłaś w rozmowę, bo tutaj było tylko twoje ciało, bez ducha. Duch podróżował sobie, gdzie tam chciał.

– To co zmieniło się teraz? Czemu teraz możemy rozmawiać?

– Bo wróciłaś. Wróciłaś do ciała i twoja świadomość jest tutaj, a nie gdzie indziej.

– Ale przecież rozmawiałam z lekarzem! Widziałam go!

– Tak? Jesteś tego pewna? A może tylko odpowiadałaś na jego pytania w swojej własnej głowie? Ja byłam przy tobie od początku i nie zauważyłam, żebyś choć raz otworzyła oczy czy usta.



– To jakim cudem mogłam go widzieć? Przecież wiem, jak wygląda!

– Umysł jest genialnym wynalazkiem, potrafi sam dołożyć brakujące elementy w oparciu o to, co sam już kiedyś widział. Powiedz mi, bo nie zaprzeczam, że mogłaś słyszeć głos lekarza, ale powiedz mi: jak on wygląda? Jaki ma kolor włosów? Czy był w kitlu, czy ubrany po robocjemu? I nie przypomina ci czasem któregoś z lekarzy z Leśnej Góry? – pyta, a mnie wszystko mrozi się w środku.

To niesamowite, ale czuję, czuję pod skórą, że to, co mówi ta kobieta, jest prawdą.

– No, fakt, podobny jest do jednego z lekarzy z *Na dobre i na złe*, nawet mnie to rozbawiło, że aż tak bardzo... – przyznaję szczerze. – A co z tobą? Czy ja cię widzę? Czy mam teraz otwarte oczy? – pytam, a siostra milczy przez moment.

– Na to już sama musisz sobie odpowiedzieć. Dałam ci kilka podpowiedzi i parę nowych zagadek. Teraz zostawiam cię z nimi samą.

– Nie! Nie odchodź jeszcze, proszę, zostań ze mną.

– Nie mogę, skarbie – mówi ciepło, głaszcząc mnie po dłoni. – Mam wielu innych pacjentów. Niektórzy z nich dużo bardziej potrzebują mojej pomocy niż ty. – Spogląda na mnie pod innym kątem, odwracając głowę raz na jeden, raz na drugi bok. – Ty sobie poradzisz, widzę to jasno. Tylko podejmij mądre, przemyślane decyzje i podejmij je szybko. Jak już mówiłam, poradzisz sobie, ale... nie masz już dużo czasu.

Cofa się, opuszczając moją salę. Widzę, jak spuszcza wzrok i uśmiecha się ciepło, przechodząc tyłem przez zamknięte drzwi.

W gardle znowu robi mi się sucho, gorąco, piekielny ogień trawi mnie od wewnątrz. Płomień rozpoczął się w brzuchu, a teraz podnosi się wyżej, do żołądka, do serca, do płuc, do przełyku. Boże, jak to kurewsko piecze!

Chyba mdleję, bo w pokoju robi się tłoczno, ale nie jestem w stanie powiedzieć, ile przyszło osób i jak są ubrane. Przez moment jestem zawieszona tuż pod sufitem, oglądam ich wszystkich z góry i śmieję się wniebogłosy. Jest mi tak dobrze i lekko, po co oni się tak przejmują tym ciałem? Przecież ono nawet nie jest moje!

Kieruję uwagę za okno: widzę tam przepiękny, ogromny świat, pełen

słońca, tropikalnej roślinności, wiatru i błękitnego oceanu... A wszystko to skąpane w ciepłym świetle... Och, jak tam pięknie, idę tam.

Raz jeszcze spoglądam w dół, na ciało, które kiedyś znałam, i na lekarzy, i pielęgniarki w białych i niebieskich kitlach, latających wokół mnie jak oparzeni. Nie rozumiem, nie mogę pojąć, czemu tak się spieszą i stresują, kiedy za oknem tak cudowny, przepełniający radością widok?

Robię ruch w kierunku okna, jednak wtedy znowu pojawia się ta głupia siostra, stara zakonnica od siedmiu boleści. Staje przede mną, zasłania mi okno i nie pozwala odejść.

– Wróć – mówi stanowczo.

Nie zamierzam jej słuchać. Wszystko, czego teraz pragnę, to uwolnić się, wydostać na zewnątrz.

– Wróć natychmiast, zanim będzie za późno – mówi jeszcze bardziej stanowczo.

Wkurza mnie jej głos, ale spoglądam w dół, na to swoje marne ludzkie ciało.

– Zrób to. Nie dla siebie, ale dla dzieci. Dla swojego taty. Dla Marcina. Dla tego chłopaka, który odkąd cię zobaczył, nie opuszcza poczekalni w szpitalu, tylko lekarze nie pozwalają wejść mu do środka. Dla nich to zrób, nie dla siebie.

Głos florentynki wwierca mi się w głowę, w trzewia, nienawidzę tego głosu, wcale nie chcę wracać, nie mam na to najmniejszej ochoty. A jednak... wiem, że ten głos ma rację, czuję, że powinnam wrócić, nie dla siebie, ale dla córek. Co one poczną beze mnie? Kto się nimi zaopiekuje, kto wyjaśni, że mama umarła i nie chciała się nimi zająć?

Zapieram się w sobie, biorę ogromnie głęboki oddech i uciszając w sobie błagalny krzyk rozpacz, z całej siły rzucam się w kierunku leżącego na łóżku ciała. Zderzenie z nim jest ogromnie bolesne.

– Mamy to. – Słyszę uspokojony głos lekarza. – Jest puls, chociaż bardzo słaby – mówi, a ja oddycham z ulgą, ale też z ogromnym smutkiem.

Postanawiam podjąć walkę raz jeszcze. Rękawica została rzucona. Podnoszę ją z ziemi, z miną wojowniczką Xeny i różowej Power Ranger. To ja, ostatnia Jedi. Zgłaszam się i potwierdzam gotowość do odbycia służby na

Ziemi. To ja, to zawsze byłam ja.

\*\*\*

Otwieram oko. Nie piecze, ale trochę swędzi. Zastanawiam się czy tym razem to prawda, czy nadal tylko przywidzenie, wyobrażenie. Ułuda.

– Zawołam lekarza. – Zza pleców dobiega mnie kobiecy głos.

Po chwili ten kobiecy głos wraca w obecności głosu drugiego, męskiego. Do tego czasu jestem w stanie otworzyć dwoje oczu. Czuję, jak wali mi serce. Zaciskam lewą dłoń na kołdrze. Jest szorstka i ciepła w dotyku. Próbuję wziąć większy haust powietrza: czuję, jak gąbkowate płuca napęniają się życiodajną energią, która później transportowana jest do wszystkich komórek mojego ciała.

Ruszam palcami prawej ręki, potem próbuję poruszyć stopami. Początkowo z oporem, ale udaje się.

– No, witamy panią z powrotem! – Głos lekarza wydaje się wyjątkowo zadowolony. – Było z panią krucho, nie ukrywam, ale najwyraźniej coś skłoniło panią do powrotu do nas. Co, oczywiście, bardzo mnie cieszy. – Mówiąc, spogląda w kierunku drzwi. – Ale nie tylko mnie – dodaje, uśmiechając się tajemniczo.

Wyciąga mi z gardła rurkę. Krztuszę się śliną, pielęgniarka wyciera mi usta miękką, pachnącą świeżością chustką. Podnoszę rękę, coś swędzi mnie w nosie.

– Ma pani rurki w nosie, proszę ich nie dotykać. Jeszcze zostawimy je przez jakiś czas – dodaje, a mnie się śmiać chce, że to brzmi, jakby powiedział, że mam muchy w nosie.

– Czy ja żyję? Czy to dzieje się naprawdę? – pytam w myślach, ale tym razem nikt mi, kurwa, nie odpowiada, bo i po co?

Po przemyśleniu stwierdzam jednak, że to w sumie dobry znak.

– Czy żyję? – pytam raz jeszcze, z ogromnym trudem, zbierając w sobie całą energię, która jest mi potrzebna do wydania z siebie dźwięku.

Trochę to boli. Czuję opór w gardle, ale też ogromną energię, która za wszelką cenę chce przedostać się na zewnątrz. Głos mam zachrypnięty, jakbym dopiero co wypaliła trzy paczki papierosów. Mimo wszystko

przyjemnie jest czuć drgania strun głosowych, unoszenie się i opadanie krtani, chłód powietrza przechodzącego przez nieodziane niczym gardło.

Lekarz ponownie się uśmiecha.

– Tak, żyje pani.

– Czy pan mnie widzi?

– Tak – odpowiada. – Była pani nieprzytomna przez kilka godzin, więc proszę się nie przejmować tym, że z początku jawa będzie się pani mieszała ze snem. A proszę mi powiedzieć... O czym pani śniła? Czy pani coś pamięta? – pyta, niby od niechcienia.

– Najpierw widziałam się z ojcem. Poszliśmy na śniadanie i na cmentarz... Potem pamiętam, że karetka przywiozła mnie tutaj, rozmawiałam z wami, z lekarzami, ale siostra Stella powiedziała mi, że to wszystko tylko mi się zdawało. – Mówienie przychodzi mi z coraz większą łatwością, głos powoli przestaje charczeć i chrobotać.

– Siostra Stella? – lekarz pyta zaciekawiony. Spojrzenie oczu zza okularów wydaje się ciepłe i przychylne. Tak jakby dobrze mi życzył.

– Tak, ze zgromadzenia florentynek.

Słyszając to, lekarz wybucha śmiechem.

– Florentynki to były ukochane ciastka siostry Stelli.

– Już tu nie pracuje?

– Nie. Zmarła jakieś dwadzieścia lat temu – stwierdza, a lodowaty dreszcz przebiega przez moje ciało.

Rozglądam się po pokoju, ale nie widzę jej nigdzie. Chyba odeszła.

– Widziałam się z nią. Rozmawiałyśmy. Towarzyszyła mi przez kilka ostatnich godzin. Kazała mi wrócić, kiedy wyszłam już z ciała. – Lekarz i pielęgniarka słuchają mojej opowieści ze spokojem, nie komentują jej. – Była tuż przy mnie, zaraz obok. Powiedziała, że umie czytać ludziom w myślach i że dlatego pacjenci ją lubią, bo nie muszą mówić głośno, żeby się z nią porozumieć. Ona zna ich myśli.

– Tak, to prawda. Przez wiele lat pracowałem z siostrą Stellą, była naprawdę wyjątkową i niesamowitą osobą. Twierdziła, że miała dostęp do

myśli nieprzytomnych pacjentów, nawet tych pogrążonych w śpiączce przez całe tygodnie... Jako lekarz i naukowiec nie mogłem wierzyć jej słowom, nie wypadało mi. Natomiast wielu pacjentów opowiadało mi później po wybudzeniu, że siostra rozmawiała z nimi, chociaż ja widziałem ich leżących na łóżku, pod sondami i kroplówkami, niedających żadnego znaku życia... Co ciekawe, sytuacja nie zmieniła się po śmierci siostry. Zmarła nagle, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, ale za to spokojnie, we śnie. Pewnego dnia po prostu nie wstała więcej z łóżka.

– Dlaczego zatem twierdzi pan, że sytuacja nie zmieniła się od tamtego czasu? Przecież tak wiele lat minęło od jej śmierci.

– Jej odejście z tego świata w jakiś dziwny sposób nie wiązało się z odejściem z naszego szpitala. Wszystko wskazuje na to, że nadal tu pracuje, odwiedzając pacjentów, robiąc codzienne obchody po salach. – Widząc zdziwienie w moich oczach, dodaje: – Nie jest pani pierwszą osobą, która twierdzi, że rozmawiała z siostrą Stellą. Wielu naszych pacjentów, którzy byli w ciężkim stanie, a już na pewno wszyscy, którzy doświadczyli śmierci klinicznej – tak jak pani – twierdzą, że poznali siostrę Stellę i to właśnie dzięki niej się obudzili. Zwykle te osoby zaraz po przebudzeniu chcą podziękować siostrze zakonnej za opiekę i udzielone wsparcie. Nie mają świadomości tego, że jedną nogą byli już po drugiej stronie. Mimo to wiadomość o tym, że siostra faktycznie tu pracowała, ale nie żyje od wielu lat, nie jest dla nich aż tak zaskakująca, jak według mnie być powinna.

Zastanowiły mnie jego słowa. Z początku poczułam się zaskoczona tym, że siostry nie ma już wśród żywych, ale faktycznie wystarczyła krótka chwila, by przejść nad tym do porządku.

– Ale czemu powiedziała mi, że jest siostrą florentynką?

– Już mówiłem – odparł doktor, przecierając okrągłe okulary w złotych oprawkach materiałową chusteczką. – Uwielbiała te ciastka. A że cechowało ją ogromne poczucie humoru i inteligencja, to myślę, że zna już pani odpowiedź na to pytanie.

– Co teraz ze mną będzie? – pytam, zaniepokojona, zaciskając pięści nieco mocniej na fałdach kołdry.

– Doznała pani urazu głowy w wyniku upadku i uderzenia w potylicę. Zostawimy panią na obserwację przez najbliższy tydzień, może dwa. Raczej

dwa, biorąc pod uwagę to, że prawie nam pani stąd uleciała... Przeprowadzimy komplet badań, poobserwujemy panią. Myślę, że trochę odpoczynku przyda się pani – zauważa, a ja zastanawiam się, czy patrzy na siniaka na mojej skroni, czy nie. Może domyślił się, że to nie od tego upadku?

- Muszę zadzwonić do rodziny, na pewno się o mnie martwią.
- Oczywiście. Zaraz poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła pani rzeczy.
- Gdzie jesteśmy? Jaki to szpital?

## 9.

Jest już dzień później. Dzwoniłam do mamy i do Mariusza. Żadne z nich nie odebrało mojego telefonu. Pisałam esemesy – też na próżno. Umieram ze strachu o dziewczynki, jednocześnie będąc przykutą do łóżka. Czas leci niemiłosiernie wolno, mam dość.

Leżę i patrzę w sufit. Jest biały, momentami obdrapany. Ale tak niewiele, farba nie sypie się na potęgę. Zastanawiam się, dlaczego: mam w życiu trudniej niż inni; mam więcej problemów; zawsze idę pod górkę; nie mam pieniędzy, a przynajmniej nie tyle, ile chciałabym mieć, ile potrzebuję na co dzień na godne życie, już nie wspominając o życiu marzeń, bo to chyba zupełnie nierealne kiedykolwiek tyle zarabiać; nie udało mi się małżeństwo; córki są jakie są i nie będą takie, jakie chciałam mieć; innym się udaje, a mnie nie; inni się uśmiechają, a mnie nigdy, kurwa, nie jest do śmiechu; moja mama, choć mnie kocha, często ma do mnie o coś pretensje, mimo że mam już dwadzieścia sześć lat; mój ojciec zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach; oglądałam w dzieciństwie *Archiwum X* i dużo horrorów, czemu mi na to pozwalano; nadal boję się ciemności, duchów i kosmitów; nigdy nie ma nikogo przy mnie, kiedy kogoś potrzebuję; czuję się smutna i samotna; nikogo nie umiem pokochać. Może mam w życiu pecha? Tych „dlaczego” mogłabym jeszcze parę znaleźć, ale po co? Te wystarczą. Te pytania zaprowadzą mnie na samo dno – na dno studni, gdzie będę musiała chwycić za łopatę i zacząć kopać sama, mocno, silnie, ale i z rozwagą, tak żeby w końcu i z mojej studni popłynęła w końcu woda.

Zapisuję te pytania w notatniku, łzy zalewają mi kartki, tak mi smutno, ale czuję, że to dobry płacz, szczery i odświeżający.

Ktoś puka do drzwi.

– Proszę wejść – mówię, ocierając kąciaki oczu rękawem szpitalnej piżamy, w którą zostałam przebrana prawdopodobnie przez pielęgniarkę zaraz po przyjeździe.

Do sali wchodzi mężczyzna, bierze krzesło spod ściany i siada na nim, tuż przy moim łóżku.

– Dlaczego jest tak, że inni mogą po prostu żyć? Że jest to dla nich normalne, naturalne, a nawet i, o zgrozo!, fajne?! Dlaczego ja mam stale

problemy, dlaczego ciągle muszę walczyć o przetrwanie, czemu nie jeżdżę na Karaiby i Seszele, a zamiast tego mam porąbanego męża, którego nienawidzę i romans z romantycznie zboczonym kasjerem z biedronki? Dlaczego nie mogę po prostu usiąść i zastanowić się nad życiem? Czemu ciągle biegam, szukam, zmieniam, poprawiam, robię nie to, co trzeba, tracę? Dlaczego ja ciągle tracę? Czemu nie mogę, jak inni, zyskiwać? Czemu zawsze przegrywam w monopol? Dlaczego nie wyrzucam szóstek, a jeśli nawet, to potem i tak chcę mieć daleko do mety, czemu utrudniam sobie wszystko i odbieram? Dlaczego nie umiem, nie potrafię i nie chcę się cieszyć? – pytam.

On ma głowę schowaną w dłoniach. Oczy ma zamknięte albo patrzy w ziemię, sama nie wiem, nie widać dokładnie. Po chwili, ku mojemu zaskoczeniu, ze łzami w oczach rzuca się na mnie i przytula. Głowę wtula w moje włosy, obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Jestem zaskoczona i w pierwszym momencie powiedziałabym, że wręcz zbulwersowana, jednak... Coś dziwnego jest w tym mężczyźnie. Coś dziwnie podejrzanie znajomego. Miłego, przyjemnego. Jakby był ogromnie dawno niewidzianym przyjacielem z bardzo odległych czasów.

– Przepraszam, czy pan zdążył się już wypłakać? – pytam go. Pomimo wyjątkowości i patosu sytuacji nie udaje mi się zachować powagi. – Nie wiem, czy pan zauważył, ale to ja leżę w szpitalu. To mnie należą się te łzy, nie panu. – Próbuję się nie uśmiechać. Nie wychodzi mi to.

Czuję, że on zaczyna powstrzymywać płacz. Bierze jeden głębszy oddech, potem drugi, kolejne przychodzą już spokojniejsze, nie tak nachalnie rozedrgane. Kolejne oddechy lecą, nie bulwersują.

– Kim pan jest? Mam pewne obawy, które mówią mi, że pomylił pan sale – sugeruję, próbując jednocześnie podnieść go z siebie. – Marta jestem – przedstawiam się, wyciągając w jego kierunku dłoń.

Mężczyzna podnosi się i patrzy na mnie czerwonymi, zapłakanymi oczami.

– Tak bardzo się bałem, że cię stracę – wzdycha, nadal jeszcze trochę popłakując.

– Naprawdę, chyba mnie pan z kimś pomylił. Jestem Marta, Marta Sroka. –

Widząc, że on nadal znajduje się w innym świecie, postanawiam kontynuować: – Jeśli jest to pana sposób na podryw, to muszę przyznać, że dosyć słaby. Ogólnie gustuję w silnych, męskich i zdecydowanych facetach.



Branie mnie na płacz i litość raczej na niewiele się zda. – Mam ogromną frajdę z naśmiewania się z niego, to znaczy z sytuacji.

– Ja... Nie wiem, co się stało. Nie wiem, o co chodzi. Jedno, co wiem, to że miałem nie pozwolić ci odejść – wyznaje w końcu. Jego głos jest piękny, głęboki i melodyjny. Ciemne włosy odbijają się w jeszcze ciemniejszych oczach, kąciki ust przestały już drżeć, nos wytarł rękawem swetra. – Zobaczyłem cię na dworcu, jak upadasz. Od razu do ciebie podbiegłem i kiedy ujrzałem twoją twarz, stało się coś dziwnego. Głos w środku powiedział mi, że to ty i że mam zrobić wszystko, żeby nie pozwolić ci odejść. Trzymałem twoją głowę, dopóki nie przyjechała karetka. Potem pojechałem za tobą do szpitala. Spędziłem tu cały dzień, całą noc i jeszcze jeden dzień, czekając, aż się w końcu obudzisz... Jakiś czas temu, to było jeszcze wczoraj, do twojego pokoju pędem wbiegli lekarze. Przeraziłem się, że odejdziesz, że mi cię zabiorą... Nie mogłem oddychać, nie wiedziałem, co robić, gdy wtem z pokoju wyszła siostra zakonna, ubrana w fartuch pielęgniarstwa. Uśmiechnęła się do mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. Powiedziała: „Już wszystko dobrze, nie musisz się obawiać. Dokonało się”. Potem odeszła. Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, zwłaszcza że nie zauważyłem wcześniej, żeby zakonnica wchodziła do twojej sali. To wszystko jest bardzo dziwne, ale... Cieszę się... Cieszę się, że podjęłaś właściwą decyzję. Że zostałaś. Że żyjesz. – Uśmiecha się ciepło. Już nie płacze.

Nie wiem, kim on jest, on nie wie, kim jestem ja. Oboje widzieliśmy nieżyjącą już siostrę Stellę i wszystko wskazuje na to, że w jakiś dziwny i pokręcony sposób jesteśmy sobie bliscy.

\*\*\*

– Pani Marto, kim był ten człowiek, z którym pani przed chwilą rozmawiała? To jakiś znajomy, ktoś z rodziny? – pyta mnie lekarz, kiedy po raz pierwszy próbuję wstać o własnych siłach. – Był przy pani przez cały czas. Nie wpuszczałem go do środka, ze względu na pani stan, jednak muszę przyznać, że jest wytrwały.

– Mówi, że kiedy potknęłam się na dworcu, poczuł, że musi do mnie podbiec i pomóc mi. Od tego czasu coś mówiło mu, że ma stale przy mnie być, nie opuszczać mnie. Czy to nie dziwne, panie doktorze? – pytam, wkładając stopy w szpitalne pantofle.

Mimo iż są wytarte na tyłach i kłapią w trakcie chodzenia, muszę przyznać, że są dosyć wygodne. Zamieniłabym co prawda zdobienia z niebieskich różyczek na czerwone lub różowe, ale nie będę zbyt wymagająca. Dochodzę do przekonania, że perfekcjonizm jest szkodliwy dla cery i komórek nerwowych.

– Dla mnie nie tyle dziwne, co romantyczne – mówi z uśmiechem, podając mi zgiętą rękę, kiedy się chwieję, stawiając drugi czy trzeci krok.

Idę naprzód. Powoli, przygarbiona, ostrożnie badając podłogę przed postawieniem na niej stopy. Doktor odprowadza mnie do łazienki, gdzie mogę wziąć prysznic. Warunki są spartańskie, mimo to cieszy mnie szum wody i zapach mydła uniwersalnego, którym nacieram szyję, brzuch, kolana.

Wszystkie rzeczy dostałam w szpitalu – ręcznik, piżamę, szlafrok, szczoteczkę do zębów. W zasadzie – jeśliby podejść do całej tragicznej sytuacji z humorem – mam przed sobą tydzień lub dwa darmowych wakacji w hotelu jednogwiazdkowym All Saints Hotel. Bez widoku na morze, ale za to z przyjaznym i rozgarniętym lekarzem prowadzącym, nieżyjącą siostrą zakonną i tajemniczym wielbicielem. No i z wyżywieniem allinclusive.

Wszystko, naprawdę wszystko zniosę, niech tylko się odezwą z domu. Milczenie mojego telefonu doprowadza mnie do rozpacz. Boję się o dzieci, nie wiem, gdzie one są. Co on mógł z nimi zrobić? Może wywiózł je gdzieś? Może zabrał do macdonalda, a potem mieli wypadek, bo on popijał z rana i wpadli w poślizg? Nie, to wszystko nie ma sensu. Wiem, że nie powinnam panikować, czuję, że wszystko jest z nimi OK. Tylko ten lęk, ten potworny szczur, nie daje mi spokoju i gryzie mnie, i kąsa przy każdym jednym wdechu. Ach, gdyby tak móc się go pozbyć raz na zawsze.

Po prysznicu jestem czysta, odświeżona i wysuszona – nie dostałam kremu nawilżającego, a bez niego nie jestem w stanie normalnie funkcjonować. Dłonie mam suche, nieprzyjemnie jest mi dotykać materiałowych rzeczy.

– Wysoki i przystojny, co? Dobrze mu z oczu patrzy. – Słyszę dźwięczny głos tuż nad sobą.

Spoglądam w górę, a tam, zawieszona pod sufitem, jak gdyby nigdy nic, nieżyjąca siostra Stella. Uśmiecha się i macha ręką na powitanie.

– Dzień dobry, sestro – witam się, jednocześnie kręcąc głową w niedowierzaniu.

Czy ja właśnie rozmawiam z duchem? Z prawdziwym DUCHEM?! I na dodatek nie jestem tym za bardzo przejęta? Trochę się boję, że jednak umarłam. To nie jest normalne, rozmawiać ze zmarłymi.

Moich uszu dobiega perlisty śmiech siostry Stelli.

– Moje drogie i kochane dziecko: oczywiście, że to nie jest normalne, rozmawiać ze zmarłymi! Dlatego też powinnaś się zastanowić, co z tego wynika.

– Eee... że może jednak żyjesz? Albo że ja nie żyję? Albo że...

– A może nie traktuj mnie jak zmarłej, co? Trupy nie gadają, ale duchy już tak!

– Czyli ja nadal żyję, a ty jesteś duchem?

– A wyglądam na zmarłą? Na zombie? Taką chcesz mieć ze mnie przyjaciółkę? – dopytuje, niby z przekąsem, ale w jej spojrzeniu wyczuwam odrobinę urazy.

– Przecież to widać na pierwszy rzut oka, że jesteś najprawdziwszym w świecie, najpiękniejszym duchem, jakiego w życiu poznałam! – odpowiadam po chwili namysłu i czuję, że nastrój siostry polepszył się: zlatuje z góry, spod sufitu i przysiadła na moim łóżku.

– Chcesz mnie dotknąć? – pyta, wyciągając dłoń w moją stronę.

– Jasne! – odpowiadam automatycznie.

Jednak po chwili czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, a ręce stają się wiotkie. Zaciskam palce i cofam dłoń.

– Nie bój się. To tylko ja – uspokaja mnie, przysuwając się bliżej.

Kołdra nie ugina się pod jej ciężarem, a mimo to słyszę, że szeleści, kiedy Stella przybliżyła się do mnie. Biorę głęboki oddech i chwytam ją za rękę. O dziwo, moja dłoń nie przelatuje przez nią, jak przez parę wodną.

– Nie jesteś jak widmo? Masz ciało?

– Jestem widmem, które, jeśli tego zachce, może zmienić swój stan skupienia i przedstawić się w materialnej postaci.

– To musi być bardzo wygodne: wchodzisz do sklepu jako człowiek, a wychodzisz jako duch, niosąc pod pachą cztery wielkie telewizory – rzucam

żartem.

Stella śmieje się. To dziwne: nikt nigdy nie śmiał się z moich żartów.

– Ale czy zawsze jesteś widoczna? Czemu doktor nigdy cię nie widział? Jemu się nie pokazujesz?

– Mam taką możliwość, żeby objawiać się tylko tym, którym zechcę. Można powiedzieć, że przez dziewięćdziesiąt procent czasu jestem niewidzialna, a pozostałe dziesięć pozostawiam sobie na spotkania, takie jak to. Ale to nie znaczy, że kiedy mnie nie widać, to mnie nie ma.

– OK. Ale czemu pokazałaś się mnie, a nie doktorowi, z którym przecież pracowałaś przez całe lata? To trochę nie fair, nie sądzisz?

Stella uśmiecha się i w mgnieniu oka podrywa z łóżka. Przelatuje przez cały pokój, zataczając koło tuż pod sufitem. Lampa chwieje się, obraz na chwilę się rozmywa.

– Jestem wolnym duchem. Robię, co chcę – stwierdza, zataczając kolejne koło, tym razem tuż przy drzwiach.

– A czemu mnie się pokazałaś? Czemu chciałaś, żebym wróciła do ciała? Czy jeśli nie wróciłabym, to wtedy bym umarła?

– Tyle pytań, a tak wiele możliwych odpowiedzi... Kochana, nie traćmy czasu na gadanie. Przecież dobrze wiesz, jaka jest prawda. Czujesz to w środku, w sobie. Powiedz mi lepiej, co sądzisz o tym przystojnym kawalerze.

Rumienię się, choć zupełnie nie wiem czemu.

– Nic nie sądzę! A co mam sądzić?

– Coś chyba jednak jest na rzeczy, bo zmieniasz temat, jak oparzona – sugeruje, podfruwając jednocześnie pod sufit.

Potem znika i pojawia się tuż przy mnie, za moim prawym ramieniem, przez co podskakuję przestraszona do góry, a żołądek ściska mi się ze strachu.

– Nie rób tak więcej, bo zejść na zawał i na co się zda ten twój cały ratunek?

– Dobrze – odpowiada zdawkowo i siada znów naprzeciw mnie. – Podoba

ci się, co? Czujesz, że z jakiegoś nieznanego powodu jest ci bliski? Ale w głowie widzę, że krążą ci myśli na zmianę o mężu i córkach, choć przelotnie pojawia się twarz jakiegoś innego pana, z czarnym kolczykiem w uchu.

– Stella! – krzyczę, rzucając w nią poduszką. – Przestań grzebać mi w głowie! I tak w ogóle to jak ty to robisz, że wiesz to wszystko?! – pytam, a ona przybliżyła twarz do mojej, tak jakby chciała powiedzieć coś po cichu.

– Bu! – rzuca mi w twarz i w sekundę znika.

Kiedy drzwi do mojej sali otwierają się, nadal jestem pod wrażeniem jej nagłego zniknięcia. Rozpłynęła się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie ani mgiełki, ani falującego powietrza, ani zapachu róż.

– Dzień dobry, pani Marto – wita mnie lekarz. – Mam dla pani dobrą wiadomość. Przyjechał pani mąż razem z córkami. Wpuścić ich?

\*\*\*

Mariusz jest załamany. Nie daje rady, widzę to po nim. Siada na krześle przy moim łóżku i chowa głowę w dłoń.

– Gdzie dziewczynki? – pytam, w myślach dodając „ty skurwysynu”. Staram się sprawiać wrażenie mało zainteresowanej.

– Na korytarzu. Grają na telefonie. – Słowa z trudem przebijają się przez jego napuchnięte palce.

Nadal nie podnosi głowy, może czeka, aż posypię ją popiołem? Niedoczekanie!

– Gdzie byliście? – pytam głosem, który powoli zmienia się w ton gestapo. Czuję, że mam przewagę i chcę to wykorzystać.

– Zabrałem je na małe wakacje – mówi, podnosząc się w końcu i prostując na krześle.

Ma przekrwione oczy, tak jakby całą noc płakał. Nie uśmiecha się.

– Gdzie byliście?

– A, tu i tam – zbywa mnie.

Chyba zaczyna odzyskiwać rezon. Muszę mieć się na baczności.

– Wracacie teraz do domu? – pytam, jak gdyby między nami wszystko było

w porządku, jakby mnie nigdy nie uderzył, jakbym nie straciła przytomności, wcale prawie nie umarła.

Oboje gramy w grę, udajemy, manipulujemy, naciągamy rzeczywistość do jaskrawych granic możliwości.

– Tak, a gdzie mamy wracać? – pyta, udając zdziwienie.

– Będziecie w domu czy u mamy? – wypytuję nadal. Niech sobie nie myśli, że mnie to nie interesuje.

– A co, sugerujesz, że sam sobie nie poradzę? – pyta, powoli się denerwując.

– Wcale nie sugeruję... – Chcę odpowiedzieć jak zawsze, chowając strach do szafy i upychając piętą pod dywan.

W tym momencie woda z kranu zaczyna lecieć sama.

– Chyba kran się odkręcił – mówię. – Zakręcisz?

On, zdziwiony, nieco zbity z tropu, wstaje i idzie w kierunku łazienki, do której drzwi są lekko uchylone.

– Ten kran coś przecieka! – Słyszę jego głos i śmieję się w duchu, wężąc podstęp.

Kiedy Mariusz krzyczy, że ochlapała go woda i że: „nie da się zakręcić tego jebanego kurka!”, mam już pewność, że w tej mokrej sprawie siostra Stella maczała swoje palce.

Dobre dwie, trzy minuty zajmuje Mariuszowi poradzenie sobie z zakręceniem kranu. Kiedy wraca do sali i siada obok łóżka, w tym samym momencie kran rozbryzguje się na nowo: słyhać jak woda zalewa ściany łazienki.

– Leć po kogoś – mówię, szczerze bojąc się zalania.

Wystarczy jednak, że Mariusz wybiega z pokoju, a strumień wody momentalnie ucicha. Do sali wbiegają też dziewczynki. Moja radość jest niemożliwa do opisanego. W jednej sekundzie zaczynam rozumieć, że liczą się dla mnie tylko one, że są sensem mojego życia. To właśnie dla nich żyję – nie dla siebie. Dziękuję Bogu, że widzę je całe i zdrowe, że nie stało się nic potwornego. Że chodzą, widzą, że każda ma po jednej parze rąk i nóg.

Obie rzucają mi się na szyję, młodsza płacze.

– Mamusiu, tak tęskniłyśmy za tobą!

– Co się stało? – dorzuca Julka. – Czemu leżysz w szpitalu? Umarłaś? – pyta, nie zdając sobie sprawy, jak bliska jest prawdy.

– Przewróciłam się i uderzyłam w głowę. Karetka zabrała mnie do szpitala, żeby zrobić badania. Wiecie, będę tu musiała chwilę poleżeć, ale nie dzieje się nic poważnego, wszystko jest dobrze – mówię, siląc się na spokojny, łagodny ton.

Julka przytula mnie, Wikusia nadal popłakuje, dzieci powoli uspokajają się. Zastanawiam się, co robić. Ucieczka przez okno wydaje się całkiem niezłym pomysłem. Na chwilę zamieram, słysząc, że drzwi do sali uchylają się. Spoglądam w ich kierunku: w oświetlonej lampami z korytarza szczelinie pojawia się on. Ten, który podniósł mnie na torach i wezwał karetkę, a potem siedział przy mnie przez całe godziny. Nadal nie wiem, jak ma na imię.

Wchodzi do pokoju. Widok córek nie powstrzymuje go. Jest już prawie przy moim łóżku, gdy wtem pojawia się siostra Stella: spostrzegam ją tuż nad sobą, lewitującą może z pół metra nade mną i mówiącą bezdźwięcznie: „Powiedz mu wszystko”.

– Ale co? – zdaję się pytać spojrzeniem.

Ona wtedy palcem pokazuje na moje lewe oko, a dokładnie to tuż ponad nie – na skroń. Nadal opuchniętą i obolałą.

W momencie znika, a ja przypominam sobie wszystko: to, jak mnie uderzył, kopnął, jak straciłam przytomność. Wiedziona impulsem i niesamowitą determinacją, która nie wiadomo skąd pojawiła się w moim żołądku, przejmując miejsce tak długo zamieszkiwane przez czarnego, złkniętego szczura, mówię nagle do niego:

– To on. To on mi to zrobił. – Spoglądam w jego kierunku, ręką wskazując, tak samo, jak siostra Stella, na skroń. – Uderzył mnie, a potem kopnął. Upadłam na ziemię i straciłam przytomność. To on, to on mi to zrobił.

Wiem, że dziewczynki wszystkiego słuchają, ale w domu i tak miały nas na co dzień. Na pewno czują pod skórą, o co chodzi. Tylko po co miałam to powiedzieć jemu, temu pseudoadoratorowi spod kolejowych torów?

On spogląda na mnie takimi swoimi oczami, wzrok ma przejęty, jak wtedy,

kiedy mówił, że bał się, że odejdę. Nie mówi nic, wychodzi z sali, zamykając za sobą drzwi. Długo nie wraca, ani on, ani Mariusz. Powoli zaczynam się martwić. Nie mogę jeszcze wstawać z łóżka, dziewczynek przecież nie poślę, żeby sprawdziły, czy tata nadal jest na korytarzu.

Mija pięć, potem dziesięć minut. Wikusia idzie na siku do toalety, Julka wraca do grania na telefonie. Mariusz ściągnął im nowe gry, w tym jedną z kucykami Pony. Można je czesać i zmieniać im fryzury, dobierając odpowiedni kolor, dodając też trochę brokatu i świecących naklejek. Zawsze zastanawiałam się, czy wolałabym być Fluttershy, Rainbow Dash czy księżniczką Celestią? A może jednak jestem bardziej podobna do Pinkie Pie?

Drzwi otwierają się spokojnie, to nie może być Mariusz. Odwracam głowę odrobinę w lewo: w drzwiach stoi on i uśmiecha się. Nie wiem dlaczego.

– Może dlatego, że cię widzi? – Słyszę w środku głos siostry Stelli.

– Może – odpowiadam w myślach, choć wcale w to nie wierzę.

Dlaczego ktoś, no może z wyjątkiem dziewczynek, miałby się cieszyć na mój widok? Czemu? Po co? Przecież nie jestem ciekawa ani jakoś przesadnie interesująca, nie umiem podtrzymywać rozmowy, czy też mówić pięknie o mądrych rzeczach. Jestem prostą dziewczyną ze wsi i jak to wielokrotnie powtarzał Mariusz, podśpiewując złośliwie: „Co się martwisz, co się smucisz? Ze wsi jesteś, na wieś wrócisz”. Choćbym nie wiem, jak bardzo się na niego gniewała, to przecież mówił prawdę, a za to nie można się gniewać, czyż nie?

Wchodzi on i siada tuż przy łóżku. Proszę dziewczynki, żeby usiadły na krzesłach koło okna. Mają akurat fajny moment w grze, więc nie protestują.

– Ktoś musi przyjechać odebrać dziewczynki. Doktor Janowski mówi, że minie przynajmniej tydzień, zanim wydobrzejesz. – Ścisza głos i przybliża się do mnie. – Powiedziałem mu o tym tu – mówi, wskazując na moje oko. Ciekawe, jak teraz wygląda siniak, pewnie nie najlepiej. – Od razu domyślił się, że to nie od upadku na torach. Wtedy uderzyłaś się w tył głowy. Powiedział też, że zrobi ci usg brzucha, bo pojawił się obrzęk, możliwe, że nastąpiło małe krwawienie wewnętrzne.

– Jezu, to chyba groźne? – pytam i zamieram, czekając na odpowiedź, jakby to on był tym specjalistą.



– Może być groźne, o ile jest przeoczone i niewyleczone. Ale zrobimy usg jeszcze dziś, wszystko jest pod kontrolą – zapewnia i spogląda w kierunku dziewczynek. – Kto mógłby się nimi zaopiekować? Może twoja mama?

– Chyba nie mam innego wyjścia. Ale dzwoniłam do niej wielokrotnie i nie odbierała.

– Spróbuj zadzwonić jeszcze raz później. Jeśli nie uda ci się z nią skontaktować, to powiesz mi, gdzie mieszka i ja je odwiozę – proponuje, a ja czuję, że mówi to wszystko z własnej woli, a nie przez grzeczność.

Kim on, do cholery, jest: jakimś aniołem stróżem czy kim?!

– A co z...? – pytam, odruchowo zaciskając pięści. Paznokcie wbijają mi się w dłonie, skóra cierpnie i napina się.

– Nie będzie cię więcej niepokoił.

– To znaczy?

– To znaczy, że pojechał teraz tam, gdzie jego miejsce. – Wręcza mi coś, jakąś zafoliowaną tekturkę wielkości dwóch wizytówek.

– Adam Ważki, starszy aspirant Komendy Miejskiej Policji w Gołubiu Kostrzewskim... – czytam. – Jesteś policjantem?!

– Tak. To moja praca – mówi, choć brzmi to trochę głupio, śmiesznie, jakby przechwalał się, że jest takim małym Jamesem Bondem.

Sama nie wiem, czy to dobrze. Nigdy nie miałam do czynienia z policją. Wiem tylko, że policjantom nie należy ufać.

– Czy to oznacza, że zabrałeś go do...?

– Nie osobiście. Wezwałem patrol i zgłosiłem podejrzenie o popełnienie przestępstwa, z możliwością powtórzenia się czynu. Dlatego też zdecydowałem się na oddelegowanie pana do miejsca, w którym zostanie tymczasowo zatrzymany i przesłuchany – relacjonuje w sposób niejasny i zawołowany, ze względu na dziewczynki.

Wydają się zajęte grą, choć zdaje mi się, że podsłuchują nas i że rozumieją dużo więcej, niż mogłoby nam się wydawać.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Boję się. Wiem doskonale, że kiedy po przesłuchaniu wypuszczą Mariusza na wolność, będę mieć poważne kłopoty.

On tego tak nie zostawi, to nie ujdzie mi płazem. Muszę uciekać, najlepiej zaraz, natychmiast!

Automatycznie podnoszę głowę z poduszki i siadam na łóżku. Puls wzrasta do dziewięćdziesięciu siedmiu. Patrzę w kierunku dziewczynek, w ułamku sekundy gorączkowo rozważając, jak szybko uda mi się przepisać je do innego przedszkola. Czy przyjmą je? Czy dziewczynkom tam się spodoba? Czy Mariusz ich tam nie znajdzie? I gdzie będzie to „tam”? Chyba najlepiej byłoby wyjechać do innego miasta. Niestety, po ostatnich wydarzeniach mamie ufać nie wolno. Nie poradzi sobie w razie kolejnego ataku.

Dopiero po chwili spostrzegam, że przecież Adam nadal siedzi obok. Patrzy zdziwiony w moim kierunku: moja mina musi stanowić dla niego zagadkę równą tajemnicy wybudowania piramid egipskich. Wzdycham i postanawiam milczeć jak grób: po co wtajemniczać go w moje prywatne plany?

W tym momencie ponownie odzywa się siostra Stella. Nie tylko słyszę ją, ale też widzę po drugiej stronie pokoju: wyłania się ze ściany, jak najprawdziwszy w świecie duch. Zastanawiam się, czy ktoś jeszcze ją widzi, a ona wtedy kręci głową na znak, że tylko ja. Czy zwariowałam po upadku na torach? Czy coś mi się poprzewracało w głowie? Faktem jest, że nie czuję się dobrze, czego najlepszym dowodem jest to, że robię dokładnie tak, jak nakazuje mi nieżyjąca zakonnica, a nie tak, jak sama zamierzałam uczynić...

– Adam? – zagaduję, patrząc nadal na nią. – Mogę tak się do ciebie zwracać? – pytam, a on wygląda na mile zaskoczonego.

Trochę nieśmiało odpowiada:

– Jasne. Mówmy sobie po imieniu. O ile ja też mogę tak do ciebie...? – dopytuje, a ja czuję, że policzki robią mi się czerwone ze wstydu.

Czuję się jak nastolatka, na dodatek jestem pewna, że dziewczynki podsłuchują każde jedno słowo. Co by nie powiedzieć o ich ojcu – nadal nim jest. Zdecydowanie nie wypada mi przy nich podrywać kogoś innego.

– Tak. Jestem Marta – odpowiadam, wyciągając do niego dłoń, którą on bierze w silny, męski uścisk.

Jego dłoń jest duża i ciepła, mam ochotę zanurzyć się w niej i wcale stamtąd nie wychodzić. Schować się przed światem i wszystkimi problemami, może jeśli da im się czas, to wszystkie się same porozwiązują?

– Dziękuję za uratowanie mi życia – dodaję szeptem. Dziewczynkom mówię, żeby przeniosły się do drugiej części sali. Może jeśli przesuną krzesła nieco dalej od nas, będzie nam łatwiej ze sobą porozmawiać. – To ty zadzwoniłaś po pogotowie, kiedy straciłam przytomność?

– Tak, ja. Kiedy wchodziłaś na tory, poczułem, że muszę odwrócić się w twoją stronę. Stałem wtedy na peronie, czekając na pociąg do Krakowa. W momencie, w którym upadałaś, automatycznie rzuciłem się w twoim kierunku. Niestety, było już za późno: leżałaś bokiem na torach, z tyłu głowy wyciekło parę kropli krwi. Miałaś też bardzo mocno podbite oko, które nie wyglądało najlepiej. Wiedziałem po kolorze, że rana jest wczorajsza. Na pewno nie mogła powstać tuż przed momentem, w wyniku upadku na tory. Przestraszyłem się i zdenerwowałem. Chciałem od razu wiedzieć, kto ci to zrobił. Jak śmiał... – denerwuje się, a mnie płakać się chce. – Zadzwoniłem po pogotowie. Siedziałem na torach, z twoją głową na kolanach, i nie miałem siły się ruszyć. Coś mówiło mi, że mam nie odchodzić, tylko trwać przy tobie przez cały czas. Kiedy zabrała cię karetka, pojechałem tuż za tobą. Resztę opowieści już znasz.

– Znam – odpowiadam cicho, zastanawiając się, jaki to wszystko ma dla mnie sens.

Po co on mi to mówi? I czemu także czuję, że łączy mnie z nim jakaś wyjątkowa, silna więź?

Siostra Stella siada obok nas na łóżku. Patrzę na nią kątem oka. Mam takie wewnętrzne odczucie, przekonanie, które mówi mi, że już po wszystkim, że to już koniec. Stało się, wydarzyło. Mogę iść dalej. Powinnam iść do przodu. Stella kładzie swoją dłoń na mojej, dodając mi tym otuchy. Ten gest, tak czuły i delikatny, sprawia, że rozpuszczam się w środku. Staję się miękka i bezwolna, roztapiam się jak świeczka, jak kostki białej czekolady podgrzewane w starym zielonym rondelku.

Zginam się wpół i zaczynam płakać. Kolejne ataki szlochów są coraz potężniejsze. Dziwnym trafem dziewczynki zasypiają, wiem to. Mogę w końcu spokojnie, porządnie się wypłakać. A jest z czego.

– Mówił mi zawsze, że jestem brzydka jak noc, że kiedy patrzy na mnie, to niedobrze mu się robi. Że nie dorastam do pięt jego koleżankom z pracy, że jestem jak stara, pomarszczona matka. Powtarzał, że znajdzie sobie lepszą, czeka tylko na odpowiedni moment. Na chwilę, kiedy urośnie mi kolejny

wałeczek na brzuchu. Mówił, że kiedy zasnę, to będzie centymetrem mierzył mnie w biodrach i sprawdzał, ile przytyłam. Jeśli będzie więcej niż dziewięćdziesiąt pięć, to wyrzuci mnie z domu. Bałam się, okropnie się bałam, że faktycznie tak zrobi. Codziennie wieczorem w trakcie kąpieli szorowałam biodra szorstką stroną gąbki. Potem dokupiłam szczotkę ryżową i peeling cukrowy. Robiłam wszystko, żeby schudnąć, niestety, nic nie pomagało. Stres wzmagał apetyt, jadłam jeszcze więcej. Budziłam się w nocy i na palcach szłam do lodówki, po drodze nie zapalając oczywiście nigdzie światła. Wyjadałam batoniki, czekolady, całymi plasterkami jadłam surowy wędzony boczek. Potem próbowałam wymiotować, ale nie było to takie proste jak sądziłam. Wkładałam palce głęboko do gardła, prawie do połowy, widzisz? – pytam, wystawiając dłonie w jego stronę.

Przypatruje się im z zainteresowaniem, ale chyba nie bardzo rozumie, co chcę mu pokazać.

– Widzisz te ślady, tuż poniżej kostek?

Pochyliła się bliżej mnie, w sali jest marne światło. Nie dotyka dłoni, chyba czuje, że nie wypada.

– To od zębów. Tak wiele razy i tak mocno przyciskałam je do ścianek gardła, że zrobiły mi się od tego odciski, które przerodziły się w czerwone blizny. Potem zaczęłam wybierać lżejszą opcję – zamiast wymiotować, zaraz po zjedzeniu dwóch czekolad i kilku kawałków tłustej kiełbasy z chlebem i masłem zażywałam naraz po dwie, trzy xenny. Piłam wodę z solą i olej rycynowy. Robiłam wszystko, żeby jedzenie jak najszybciej przebiegło przez moje jelita, żebym nie zdążyła przytyć. Nauczyłam się głodować. Nie jadłam całymi dniami, czasem potrafiłam spędzić dwa tygodnie na samej kaszy albo surowych warzywach. Zdarzały się też dni spędzone na postnej zupie z kwaszonej kapusty. Niestety, potem nachodził mnie jeszcze większy głód i po takim tygodniowym poście zjadałam co się tylko da, w niekończących się ilościach. Zawsze czułam się potem winna, okropnie było mi wstyd. Czemu inni ludzie potrafili jeść normalnie? Czemu nie tyli, tak jak ja, jeszcze w trakcie jedzenia batonika? Dlaczego Bóg pokarał mnie leniwymi jelitami? Jadłam i wstydziłam się tego, to było okropne – przyznać, że się jadło...

Adam, choć siedzi nieruchomo, zdaje się poruszony moją opowieścią. To, że nie komentuje, sprawia, iż mam ochotę powiedzieć mu jeszcze więcej.

– Boczki rosły, Mariusz wkurzał się coraz bardziej, więc jeszcze więcej

jadłam i jeszcze więcej pościłam. Raz tak, a raz tak. Na zmianę. Ale to nic nie dawało. Waga stała w miejscu, dzinsy nie dopinały się, Mariusz mówił, że wezwie Greenpeace, żeby mnie ściągnął z łóżka, bo niedługo sama już się z niego nie zwlekę. Pytał mnie, czy mi nie wstyd, jak odprowadzam dziewczynki do przedszkola. Inne matki takie ładne, młode, chude i zadbane, a ja? Ze zmarszczkami przy oczach, zaokrąglona na twarzy, nieumalowana porządnie, bez konturówki, jak wieśniara. Nienawidziłam go. Nienawidziłam go, kiedy tak mówił, choć doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że ma rację.

Adam słucha, jak zahipnotyzowany. Widzę, że jest mu przykro, że nie wie, co powiedzieć. Wygląda przez okno, pewnie zastanawiając się, jak w takim razie wygląda mój brzuch. Czy jest okropny tylko trochę czy zupełnie, okropnie tłusty? Na pewno mu go nie pokażę, chyba że w końcu kiedyś schudnę.

– Nigdy nie miałam płaskiego brzucha, a ty?

## 10.

Dziwne jest to, że kiedy poznajesz swoją drugą połówkę, swój bliźniaczy płomień, za oknem jest wiosna. Wpadacie na siebie, kupując lody śmietankowe: ty w słomkowym kapeluszu, on w jasnych spodniach, z koszulą wyjętą zza paska. Śmiejesz się, kiedy upada ci pieniążek, on podnosi go sam, nieproszony, podaje ci go w wyciągniętej dłoni, paznokcie ma czyste, nie chce nic w zamian.

Dziwne jest to, że kiedy leżysz w szpitalu, a twoja druga połówka okazuje się policjantem, który właśnie zawiózł do aresztu twojego męża, wszystko jest tak jak opisałam powyżej: w sercu czuję maj, wyobrażam sobie, że mam na głowie słomkowy kapelusz, a on podnosi z ziemi pieniążek, który nigdy nie wypadł mi z dłoni.

Kiedy spotykasz swoją drugą połówkę, swój bliźniaczy płomień, dzieje się coś takiego, co sprawia, że przestajesz myśleć racjonalnie. Wszystko, co kiedyś było dla ciebie aktualne, przestaje takim być. Zatapiasz się w sobie, w świadomości siostry Stelli, oddajesz się jej prowadzeniu, wiedząc, nie – czując, że ona ma rację. Że to wszystko ma sens, choćby na takie zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądało. Konwenanse przestają się liczyć, zasady ulatują wysoko w niebo, wszystko dzieje się samo, bez naszej woli, jednak za naszym niemym przyzwoleniem. Oboje wiemy, co mamy robić i choć znamy się dopiero od dwóch dni, nasze serca twierdzą coś zupełnie odwrotnego: odnosimy wrażenie, jakby czas spędzony dotąd na ziemi stanowił tylko króciutką przerwę w naszym niewidzeniu się.

Adam patrzy na mnie takim swoim spojrzeniem, które już rozpoznaję, które wydaje mi się znajome, i mówi:

– Zabiję go, jeśli jeszcze kiedykolwiek cię dotknie.

Wstaje i wychodzi z pokoju, a ja wiem, że mówi najświętszą pod słońcem prawdę.

\*\*\*

Zastanawiam się, kiedy to się stanie. Czy zobaczę się jeszcze z Mariuszem? Czy Adam zajmie się wszystkim tak, żebym ja sama o niczym nie wiedziała? To chyba byłaby najlepsza opcja, między innymi ze względu na dziewczynki.

Noc mija bardzo szybko, w zasadzie przelatuje. Jest już poranek: jedna z pielęgniarek zabrała córki do szpitalnej świetlicy. Pobawią się wspólnie z dziewczynką chorą na stwardnienie rozsiane, z chłopcem z białaczką i z jeszcze jednym, z nawracającym bakteryjnym zapaleniem płuc, podobno niezaraźliwym.

Biorę prysznic, jestem już w stanie podnieść się sama i przejść parę kroków po sali. Czuję się coraz silniejsza. Ogarnia mnie strach, związany z tym, co wydarzyło się wczoraj pomiędzy Adamem i Mariuszem.

Niestety, Adam okazuje się potwornym kłamcą i karierowiczem: przychodzi do mnie wieczorem ze skruszoną miną, stwierdzając, że śledczy wypuścili Mariusza na wolność. Załamany, siada przy moim łóżku i chowa głowę w dłonie, dokładnie tak samo, jak zrobił to poprzedniego dnia.

– Przecież on tu zaraz przyjedzie! – krzyczę przerażona, zastanawiając się, czy już nie dorwał dziewczynek.

– Niestety, też tak przypuszczam – odpowiada on, który jeszcze wczoraj miał go zabić i tym samym pozbyć się mojego problemu.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – pytam z nieskrywaną urazą.

– Ale czego?

Nagle zaczynam rozumieć, że Adam mówił tak tylko w przerośni. Że wcale nie zamierzał go zabić. Jak ja mogłam uwierzyć i w ogóle pomyśleć, że ktoś obcy zrobi dla mnie coś takiego? Czy to głupota, czy naiwność? Dziecięca wiara w marzenia?

– A, nic takiego. Liczyłam, że przesłuchanie na policji coś da, jakoś pomoże.

– Ależ pomogło! Tyle tylko, że takie sprawy wymagają czasu.

– To znaczy?

– Twój mąż został już przesłuchany. Ciebie też wezwą na świadka, będziesz musiała zeznawać. Ale najpierw sprawa zostanie przekierowana do miejsca waszego zamieszkania. Postępowanie przygotowawcze trwa dwa miesiące. Potem sprawa trafia do prokuratora. On ocenia, czy wystąpiły znamiona czynu zakazanego, czy nie. Jeśli tak – może skierować sprawę do sądu. Jeśli nie – możesz sama zaskarżyć męża na drodze cywilnej – mówi, a ja uszom nie wierzę.

– Czyli potrwa to kilka miesięcy i może wcale nic nie dać? Adam! Przecież do tego czasu on zdąży mnie zabić przynajmniej ze trzy razy! – Niestety, ale mam w tym przypadku świętą rację.

– Wiem i też się tego boję. Dlatego najlepiej będzie, jeśli do tego czasu zamieszkasze ze mną. Zamieszkacie...

– Ale nie da się tego jakoś przyśpieszyć? Powiedzieć im, że on jest zły i agresywny, i że może zrobić krzywdę mnie albo, co gorsza, dziewczynkom? Przecież on nie może ot tak chodzić sobie po ulicy! – Coraz trudniej jest mi oddychać. Łapanie kolejnego wdechu przychodzi z wysiłkiem.

– Niestety, ale takie są procedury. W areszcie można by go zatrzymać na dłużej w przypadku stosowania, dajmy na to, gróźb karalnych.

– Czyli?

– Czyli gdyby groził wprost, że cię zabije. Gdyby napadł na ciebie z chęcią pozbawienia cię życia. Jeśli udowodniłabyś na policji, że tak było i że istnieje obawa, że to się powtórzy, wtedy mogliby zamknąć go w areszcie. Tego rodzaju sprawy idą nieco inną drogą niż przemoc domowa.

Aha, OK, przemoc domowa. Czyli tak to się nazywa. Jednocześnie czuję, że mam dość wszystkiego, że to jest głupie i bez sensu. Będę chodzić i udowadniać, że on jest agresywny? Poza tym jaką mam gwarancję, że on tak znowu się zachowa? Może uderzył mnie tylko dlatego, że był naprawdę bardzo zły i w podłym nastroju? Przecież wcześniej mu się to nigdy nie zdarzało... I co ja powiem na policji: że raz mnie uderzył? Przecież to głupie i śmieszne. Na pewno pomyślą, widząc mnie, że sobie na to zasłużyłam. A te jego dogadywania i wymądrzania się nie są przecież przemocą... Mój Boże, co tu robić?

– Ale przecież nie wprowadzę się do ciebie ot tak, po prostu, na dodatek z dziećmi. Mamy swoje życie w Krakowie. Ciebie praktycznie nie znam! Co powiem dziewczynkom? Nie, to bez sensu – stwierdzam i czuję w środku, że tak faktycznie jest.

Mam wyrzuty sumienia i złość na tego kolesia. Jak mógł zawieźć mojego męża na komisariat? Jak mógł poświadczyć nieprawdę? Na pewno powiedział, że on znęca się nade mną, a tymczasem Mariusz uderzył mnie raz, jeden jedyny raz, i wierzę, że to się nigdy nie powtórzy! Mariusz może i nie jest do końca miły, ale z pewnością nie jest też głupi. Nie pozwoliłby



sobie na powtórzenie tego czynu, zwłaszcza gdy sprawa jest już zgłoszona...

– Nie zamieszkam z tobą. Wrócę do domu. To jedyne rozwiązanie, jakie widzę. Córki są dla mnie najważniejsze. A dla nich najistotniejsza jest stałość: znane miejsca, przedszkole, tata i mama na co dzień. Razem. Dla nich muszę wytrwać. Dla ich dobra muszę się poświęcić. Dla dzieci nie ma nic cenniejszego niż pełna rodzina.

Podjęłam już decyzję. Koniec z wybrzydzeniem, z romansami na boku. Sprawdziłam z Marcinem, że mogę być podniecona i zaspokojona w łóżku. Sprawdziłam z Adamem, że mogę się ponownie zakochać i nawet ułożyć sobie życie na nowo. Ale czy naprawdę tego chcę? Nie, nie chcę. Najważniejsze są dla mnie dziewczynki i najbardziej ze wszystkiego pragnę ich dobra. Ich uśmiech, spokój, poczucie bezpieczeństwa i oboje rodziców na co dzień są tysiąc razy ważniejsze niż moje zaspokojenie emocjonalne. Jak mogłam być tak głupia i nie widzieć tego?!

\*\*\*

Z Adamem nie kontaktujemy się więcej. Widzę, że jest bardzo zawiedziony. Tłumaczy mi jeszcze raz czy dwa, że czuje, że coś nas łączy. Że powinniśmy być razem, chociaż spróbować, czy nam to wyjdzie. Odmawiam mu. Za każdym razem stosuję te same argumenty. Najwyraźniej działają, bo w końcu odpuszcza. Nie wydzwania, nie męczy mnie. Zamyka się w sobie, milknie.

Siostra Stella też przestaje się pojawiać. Czy to znaczy, że zdrowiej? Że to koniec ułudy i przywidzeń?

Tak jak przypuszczałam, Mariusz w końcu pojawia się w szpitalu. Ogromnie boję się naszego spotkania, tego, że to wszystko się powtórzy. Że zabierze gdzieś dziewczynki i nigdy więcej ich nie zobaczę. Dlatego też postanawiam więcej nie wspominać o tej sytuacji, nigdy mu jej nie wypominać. Zrobić wszystko, żeby do niej nie dopuścić.

Kiedy tylko pojawia się w drzwiach, wstrzymuję oddech, ciarki przechodzą mi po plecach. Witam się z nim z kwaśnym uśmiechem, skruszona. Jak tylko podchodzi do mojego łóżka, mówię:

– To nie moja wina, ja nic nie powiedziałam, to ci nienormalni lekarze. Uwierz mi, przyrzekam ci, ja im powiedziałam, że przewróciłam się na torach, a ten koleś, co mnie znalazł, to się okazało, że policjant i to on zgłosił, nie ja. Ja bym w życiu nic nie zgłaszała, przecież wiesz, znasz mnie! Tak mi

głupio, bo nie wiem, co tam sobie o mnie pomyślałeś... – tłumaczę się.

Na szczęście Mariusz również wygląda na skruszzonego.

– Musisz iść na komisariat i wszystko odwołać – mówi spokojnym głosem. Dobrze, że jest prawnikiem, przynajmniej będzie widział, jak to połatwiać.

– Powiesz im, że przewróciłaś się na torach. Że między nami bardzo dobrze się układa. Oczywiście, czasem się pokłócimy, jak każda kochająca się para. Ale nigdy do niczego nie doszło. Kochamy się i bezwzględnie i kategorycznie zaprzeczasz, że kiedykolwiek podniosłem na ciebie rękę.

Słucham go jak księdza. Wiem, że jest znakomitym prorokiem, który robi wszystko, żeby zaprowadzić swoje owieczki do Ziemi Obiecanej.

# 11.

Przez miesiąc w domu panuje względna cisza i spokój. Liczba kłótni spada do jednej, dwóch tygodniowo. Mariusz więcej mnie nie bije, choć raz było już blisko. Z początku wierzyłam, że wszystko się odmieni. Że on zmądrzał, że ja nie będę mu pozwalać na tak wiele. Szczerze wierzyłam, że od teraz będzie inaczej. Niestety, moje nadzieje okazują się złudne. Mija kolejny dzień i nic się nie zmienia. Dlaczego, pytam? Czemu nie wydarza się trzęsienie ziemi, nie pojawia tornado, kosmici nie przylatują i nie zabierają go na inną planetę? Dlaczego wszystko stoi w stagnacji, a ja czuję się jak zaplątana w pajęczą sieć? Poprzyklejana, bez możliwości ruchu. Ograniczona.

Okazuje się, że Mariusz został zawieszony w pracy z powodu bójk, w którą wdał się z jednym z kolegów adwokatów. Co gorsza, czuć było od niego alkohol. Jego szef, starszy koleś w klimacie gestapo, kazał przebadać go alkometrem, jako że nadal znajdowali się w sądzie: mieli przed sobą ogromnie trudną rozprawę, stąd też te nerwy Mariusza i jeden kieliszek na dodanie sobie odwagi. Niestety, maszynka wykazała więcej niż zero. Mariusz został odesłany do domu, z zakazem pojawiania się w pracy do odwołania. To dlatego był taki zły, wtedy, kiedy mnie uderzył. Oczywiście nie przyznał się do tego sam – dowiedziałam się z listu z kancelarii, który zostawił na szafce przy łóżku. Nocą, przy latarce z telefonu, przeczytałam cały dwukrotnie, robiąc jeszcze na wszelki wypadek zdjęcie dokumentu.

Od tego czasu ma wolne. Siedzi w domu, nie pracuje. Nie wiem, co dalej będzie, nic mi nie mówi. Zaczynam się martwić, skąd weźmiemy pieniądze na życie.

Przestałam chodzić do biedronki. Zakupy robię tylko w lidlu albo na placu. Nie chcę spotykać więcej Marcina i narażać się na dodatkową porcję niepotrzebnych zmartwień. Zablokowałam jego numer telefonu. Siedzę w domu, sprzątam wszystko na błysk, tak żeby Mariusz nie miał się do czego przyczepić. Mimo to i tak zawsze coś się znajdzie. A to skarpetki pozwijane, a nie poskładane, tak jak lubi, innym razem znajdzie plamy na podłodze w kuchni, a przecież nowe płytki niedawno były kładzione, jeszcze innym razem zastał mnie niewymalowaną, a dochodziła już prawie dwunasta. Jezu, ale mi się wtedy oberwało.

Dziś jest poniedziałek, piekę czekoladowe brownie z mrożonymi wiśniami.

Mam nadzieję, że mu posmakuje. Dziewczynkom na pewno, one nigdy nie wybrzydzą, jeśli chodzi o ciasto. Zastanawiam się, co robić: jeśli Mariusz nie wróci do pracy, nie wystarczy nam pieniędzy na życie. Czy powinnam sama czegoś poszukać? A co z moimi studiami, przecież dopiero je rozpoczęłam? Bez kwalifikacji mogę co najwyżej pracować jako pomoc w przedszkolu albo żłobku, z zarobkami tysiąc sześćset złotych przy czterdziestu godzinach pracy.

– To nie taki zły pomysł – stwierdza Mariusz po tym, jak dzieli się z nim tym konceptem, choć mówię mu o nim tylko dlatego, że wiem, iż się nie zgodzi.

– Ale jak to? Miałabym pracować czterdzieści godzin? A kto zajmie się dziećmi? Kto odbierze dziewczynki z przedszkola?

– Ja będę to robił. Już mi się znudziła moja praca. Pierdolę sąd, sędziów i całe to adwokackie gówno – stwierdza, a ja nie mogę uwierzyć, że aż tak bardzo się zmienił.

Przecież uwielbiał swoją pracę, nie wyobrażał sobie życia bez niej! A teraz, jak gdyby nigdy nic, mówi, że woli odbierać dziewczynki z przedszkola.

– Cóż, skoro nie wracasz do pracy, to chyba nie będziemy mieli innego wyjścia. Ale czy ty sobie poradzisz? Ogarnięcie dziewczynek wcale nie jest proste... – martwię się na głos.

– Ale z ciebie pojebana idiotka! Pracowałem w sądzie, wiesz, co to znaczy?! Jak możesz być tak głupia, żeby śmieć porównywać pracę adwokata z ugotowaniem badziewnej zupy z marchewki i założeniem dziecku butów i skarpetek?! Też mi coś. – Prycha z pogardą.

Nie odpowiadam. Wszystko się we mnie gotuje, ale jestem lepsza od niego i nie odezwę się.

– Dobrze, a zatem zaczynam szukać pracy. Tylko masz świadomość tego, że bez kwalifikacji będę zarabiać minimalną?

Patrzy na mnie przez chwilę, mierzy wzrokiem i stwierdza z cynizmem w głosie:

– Szkoda, że się tak podle zestarzałaś i brzuch ci wisi, bo mogłabyś tańczyć na rurze. Kiedyś tylko do tego się nadawałaś – mówi i wychodzi z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że tynk sypie się zza framug. U nas

i u sąsiadów, z góry i z dołu.

Wyglądam przez okno, potem kieruję wzrok na palce u rąk. Paznokcie mam wymalowane na czerwono, choć lakier z boku zaczął odpryskiwać. W żołądku mnie ściska, trudno mi złapać oddech. Ręce mi drżą, kolana stają się miękkie. Chciałabym wejść na parapet i rozłożyć ręce. Dać się ponieść wiatrowi, niech zanieś mnie tam, skąd pochodzę. Skąd naprawdę przyszłam.

To tutaj to nie jest moje miejsce.

\*\*\*

Z Adamem spotykam się po dwóch miesiącach od momentu, kiedy się poznaliśmy. Pisze esemesa, że jest akurat w Krakowie, niby przejazdem, że ma jakąś konferencję policyjną. *Czy nie spotkalibyśmy się na kawie* – tak do mnie pisze.

Na szczęście jego numer przezornie też wpisałam pod innym imieniem i nazwiskiem, tak jak kiedyś numer Marcina – Ola Balczewska, tak wymyśliłam, choć później zamieniłam na Olę Krawczyk, bo Balczewska wydała mi się zbyt udziwniona, a przez to i podejrzana.

Ostatecznie, po wielu godzinach rozmyślań, umawiam się z Olą Krawczyk na kawę. Spotykamy się w kawiarni pod Ratuszem i zamawiamy dwie kremowe kawy latte.

– Pogoda zrobiła się już taka wiosenna – mówię, żeby zabić ciszę. Nie bardzo wiem, o czym powinniśmy rozmawiać.

– W domu spokój? – pyta, jakby był moim ojcem albo ochroniarzem.

Trochę mnie to bawi, mam ochotę poprzekomarzać się z nim.

– Względny. Mariusz rzucił pracę, a w zasadzie to jego wyrzucono. Wymyślił, że teraz to on zajmie się dziećmi, a ja będę zarabiać. Tak więc szukam pracy – dodaję, chwytając w locie jego spojrzenie.

– I jak ci idzie szukanie?

– Średnio, jeśli mam być szczerą. Liczyłam, że zacznę pracę dopiero po studiach, jako nauczyciel. Kocham dzieci i lubię się nimi zajmować, ale dopiero co wyszłam z pieluch. Nie chcę wracać do przewijania dzieci i to na dodatek nie swoich. Niestety, bez pełnych kwalifikacji nie mogę zajmować stanowiska nauczyciela, mogę pracować wyłącznie jako pomoc w żłobku lub

w przedszkolu. Czyli zostać panią od sprzątanania, karmienia i przewijania.

– A nie myślałaś o znalezieniu innej pracy?

– Innej? Ale po co? Przecież zaczęłam już studia pedagogiczne. Nie znam się na niczym innym oprócz zajmowania się dziećmi.

– To nie brzmi, jakbyś marzyła o tym zawodzie.

Jakaś potworna siła zamraża mnie od środka. Nie mogę się ruszyć, nie potrafię wypowiedzieć ani słowa. Mam ochotę rzucić w niego szklanką.

– Dlaczego zdecydowałaś się na te studia? Nie myślałaś o innych?

– O jakich innych? Ja przecież nic innego nie umiem, nie potrafię, mogę tylko zajmować się dziećmi.

– Bzdura! Na studia idzie się po to, żeby się czegoś nauczyć! Nie trzeba tego wcześniej umieć.

Nadal milczę.

– Nawet nie rozważyłaś innych możliwości, co?

– Nie – odpowiadam cicho. – A zresztą i po co? I tak bym się nie dostała.

– Na zaoczne na pewno byś się dostała. Poza tym naprawdę potrzebujesz studiów? Nie wolałabyś zacząć pracy już teraz, od zaraz? Mogłabyś pójść na przykład do korporacji...

– Nie znam angielskiego.

– ...albo na menedżera sklepu...

– Już pracowałam za ladą. Wystarczy mi.

– ...założyć własny biznes, na przykład kosmetyczny...

– Nienawidzę się malować!

– ...albo pójść do szkoły policyjnej.

– Słucham? Ja? Do szkoły policyjnej?! No, Adam, teraz to mnie rozwaliłeś.

– Ogarnia mnie śmiech tak silny, że łzy napływają mi do oczu.

– No tak. A czemu nie? – pyta łagodnie, uśmiechając się.

Jest jak duże dziecko, taki dopiero co dorosły chłopak, który bawi się w łapanie złodziei. Dosładzam kawę i mieszam ją energicznie długą, srebrną

łyżeczką.

– No jak policjantem? Przecież to w ogóle niemożliwe! I co ja bym tam robiła? Przecież się nie nadaję. Nie jestem ani silna, ani wyjątkowo stanowcza... Nie, zdecydowanie nie. Ja nadaję się tylko do pilnowania dzieci.

– To czemu tak niespieszno ci do podcierania im tyłków, co? Odnoszę wrażenie, że jeśli zależałoby ci na tej pracy, to już dawno mogłabyś ją rozpocząć – zauważa, a ja oblewam się rumieńcem.

– Skąd wiesz?

– Znam się na ludziach.

– Widzisz? I to jest właśnie główny powód, dla którego nie mogłabym być policjantką: ja się w ogóle, ale to w ogóle na ludziach nie znam! Okłamują mnie, oszukują, robią ze mną, co chcą! Zdecydowanie nie nadaję się na policjantkę.

– Nie musisz od razu iść w teren, z pałąką i pistoletem. Możesz najpierw zająć stanowisko administracyjne. Do tego nie trzeba nawet szkoły policyjnej.

– Co to znaczy? To taka sekretarka?

– Tak jakby. Trzeba pisać mejle i odbierać telefony, ale też przygotowywać dokumentację śledczą, jeździć na miejsca zbrodni, szukać informacji w Internecie i starych archiwach, brać udział w konferencjach... To praca bardzo ciekawa, a zarazem stosunkowo bezpieczna. Może nie najlepiej płatna, ale w edukacji też chyba nie liczyłaś na zbijanie kokosów, co?

– Słuchaj, Adam, twoja opowieść brzmi pięknie, ale jest zupełnie nierealna. Przecież wiadomo, że nie wstępuje się ot tak, do policji. Trzeba mieć o tym jakieś pojęcie, przygotowanie. Ja go nie mam. Poza tym mam dzieci.

– Większość ma dzieci i jakoś daje radę. Nie traktuj dwóch cudownych i podrośniętych już córek jako wymówki do tego, by nie pracować zgodnie z własnymi marzeniami i predyspozycjami.

Przez głowę szybko przelatują mi dwie wizje: w jednej jestem nauczycielką w szkole podstawowej. Mam na sobie dopasowany komplet: garsonkę w kolorze ciemnej czekolady. Taką samą, jaką moja mama ubierała na odświętne okazje. Włosy mam spięte wysoko na czubku głowy, lekki makijaż ogranicza się do tuszu do rzęs i odrobiny jasnego sypkiego pudru. Poruszam się powoli wśród dzieci, głowę mam całą zaprzątniętą bieżącymi sprawami.

Druga wizja jest zgoła inna: mam na sobie obcisłe granatowe dżinsy, lekko wycierane w okolicach kolan. Do tego koronkowe body i narzucony na nie czerwony żakiet. Szyję ozdobiłam sznurem czerwono-granatowych koralików, w uszach mam po dwa kolczyki. Bransoletki dzwonią, kiedy szybko wystukuję kolejne raporty na służbowym komputerze. Uśmiecham się, jestem pełna werwy i energii do działania. Jedno zadanie prowadzi mnie do następnego, wspólnie z szefem rozwiązujemy zagadki kryminalne. Dużo się poruszam, dużo jeżdżę, podróżujemy po całej Polsce. Odwiedzam różne miejsca, robię zdjęcia, klikuję dane w tajne policyjne kartoteki. Jestem sobą, prawdziwą sobą, nie muszę się dopasowywać ani nikogo udawać.

Oczy mi się świecą i Adam chyba to zauważa, bo pyta:

– I co? Czujesz, że jest coś w tym, co mówię? Coś szalonego, a zarazem... prawdziwego?

– Tak – odpowiadam najprościej, jak potrafię. – Zdecydowanie tak.

Kawa była słodka i motywuje do ruszenia się z miejsca. Spacerujemy Wiślną, przez Gołębią dochodzimy do Brackiej, a potem do Grodzkiej. Prawie wiosenny gwar sugeruje rychłe nadejście cieplejszych dni, ale też i Świąt Wielkanocnych. Czasu, którego nienawidzę najbardziej w całym roku.

– Słuchaj, Marta, postawię sprawę jasno: przenoszę się do Krakowa. Nie wiem na jak długo, ale z pewnością na jakiś czas. Awansowałem i obejmuję tutaj stanowisko głównego śledczego w wydziale kryminalnym na trzecim komisariacie. Przy Strzelców, wiesz, gdzie to jest?

– Tak, niedaleko cmentarza Batowickiego. Byłam tam raz na pogrzebie – odpowiadam, czując, że żołądek podchodzi mi do gardła. Ciepło rozchodzi się po moim ciele, mam ochotę zniknąć i krzyczeć z radości wniebogłosy, choć wcale nie wiem czemu.

Adam uśmiecha się.

– Nie wiem, czy jest tam cmentarz, ale cieszę się, że wiesz, gdzie to jest. Mam dla ciebie ofertę pracy: poszukuję asystentki. Potrzebuję kogoś, kto mieszka tu na stałe, zna miasto. Do twoich zadań należałoby odbieranie telefonów, prowadzenie dokumentacji, umawianie mnie na spotkania. Ale też jeżdżenie ze mną na miejsca zbrodni, pomoc w oznaczaniu śladów... Osobiście uważam tę pracę za coś dużo ciekawszego niż wycieranie dzieciom pupy, choć początkowa stawka, obawiam się, będzie niewiele wyższa.



– Ale ja nie mam żadnego przygotowania! I co będzie ze studiami? Przecież nie mogę ich tak nagle rzucić!

– To nie rzucaj. Rób studia w weekendy, zalicz rok, a potem zobaczysz, co dalej. Na razie nie potrzebujesz żadnych kwalifikacji, jednak jeśli weźmiesz pod uwagę stałą pracę dla policji, to będziesz musiała wstąpić do szkoły policyjnej. To już będzie wymagało od ciebie pozytywnego zaliczenia testów psychologicznych i sprawnościowych, ale bądź spokojna, bo wymagania na stanowiska administracyjne są nieco niższe niż na te funkcyjne. Na wszelki wypadek dobrze by było, żebyś już zaczęła biegać i ćwiczyć w domu, tak po piętnaście, dwadzieścia minut dziennie. Wiesz, brzuszki, pompki i te sprawy.

– Adam, to, co mówisz, jest zupełnie szalone – wzdycham.

On obejmuje mnie i uśmiecha się. Idziemy przez chwilę w milczeniu, na horyzoncie pojawia się pierwszy, zamglony zarys Wawelu. Adam puszcza mnie, odchodzimy nieco od siebie.

– To kiedy zaczynasz nową pracę?

– W zasadzie to już zacząłem.

– A czemu nie mówiłeś o tym wcześniej, kiedy się poznaliśmy?

– Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

– Czyli to była dosyć nagła decyzja?

– Tak, zdecydowanie tak – przyznaje, a mnie intryguje, co go do niej skłoniło.

W przelocie łapię jego spojrzenie: jest ciepłe i tajemnicze. Mam ochotę zamknąć oczy i zanurzyć się w nim po omacku.

\*\*\*

Tej nocy długo nie mogę zasnąć. Kiedy mi się to w końcu udaje, śni mi się siostra Stella. Przychodzi do mnie uśmiechnięta, w pięknej białej sukni, i głaszcze mnie po głowie, jakby chciała dodać mi otuchy.

– Co mam robić, siostrze? Zaryzykować? – pytam.

Stella siada na łóżku i mówi:

– Rób to, co podpowiada ci serce.

– Ale ja nie wiem, co ono mówi! Nie rozumiem go, ono porozumiewa się

w innym języku!

– To wyobraź sobie, że kiedy obudzisz się, to nadal będzie sen. I uczyn tak, jakbyś postąpiła, będąc nadal we śnie. Jakby nie nadeszło przebudzenie, jakby wszystko było dla ciebie łatwe, dostępne i możliwe. Kocham cię – dodaje i znika. Rozpływa się w powietrzu, jak śmietankowa chmurka.

\*\*\*

Następnego ranka, choć jest to dla mnie straszne, wymagające ogromnej odwagi i jeszcze większej dawki szaleństwa, wyobrażam sobie nadal, że śnię. Że to tylko zwykły, przelotny sen, a nie trudne, przerażające i monotonne życie. „To sen, to tylko sen” – powtarzam sobie, idąc do łazienki, a potem do kuchni.

Po wyprawieniu dziewczynek do przedszkola siadam w kawiarni, zamawiając karmelowe latte. Wchodzę w kontakty w telefonie i zmieniam Olę Krawczyk w Adama Ważkiego. Chwilę później wybieram jego numer i bez przywitania się mówię:

– Adam, zdecydowałam się. Chciałabym przyjąć twoją ofertę.

Gdybyście widzieli minę Mariusza, gdy dowiedział się, że będę pracować w policji, to chybabyście umarli ze śmiechu. Oczy rozszerzyły mu się do połowy twarzy, usta otwały, a strużka śliny skapywała kropla po kropli na wymiętą koszulę we fioletowe prążki. Zastanawiałam się, czy jego reakcją będzie to, że: a – uderzy mnie, b – wyśmieje, c – zabroni. On tymczasem wyglądał na tak zaskoczonego i przestraszonego, że nie odezwał się nawet jednym słowem. Poszedł do sypialni i trzasnął drzwiami. Okazało się, że to, czego bałam się najbardziej, nie tylko nie wydarzyło się, ale nawet przebiegło szybciej i prościej, niż mogłabym podejrzewać.

Nieco gorzej poszło z moją mamą.

– Mamusiu, zaczynam nową pracę.

– No, brawo, dziecko, cieszę się ogromnie. W przedszkolu czy w żłobku? – dopytuje.

– W policji.

– Słucham? Ty mówisz poważnie?

– Poważnie, mamuś.

– Tyś chyba powariowała! Na głowę upadła! Czy ty jesteś normalna? Dzieci masz, rodzinę i chcesz jeszcze zajmować się złodziejami i bandziorami? I co ze studiami? Przecież tyle pieniędzy już wpłaciłyśmy!

Rozmawiałyśmy w jej domu przez cały weekend. Dopiero w niedzielę wieczorem, kiedy razem z dziewczynkami miałyśmy się już zbierać do siebie, przestała ze mną walczyć. Może nie była jeszcze gotowa na zaakceptowanie mojego wyboru, ale przynajmniej nie protestowała, kiedy mówiłam, że zacznę nową pracę jeszcze przed świętami, w połowie marca.

– Będiesz nosić mundur?

– Na razie nie. Dopiero jak zostanie się policjantem, to można go mieć. Ja będę pracować na stanowisku administracyjnym.

– A kogo będziesz miała za szefa? Mężczyznę czy kobietę?

– Mężczyznę – odpowiadam, odruchowo zakładając nogę na nogę.

– To uważaj, żeby się nie zakochać, bo masz już trochę swoich problemów na głowie. A wiesz, jak to mawiają: za mundurem panny sznurem.

– Wiem, mamo – wzdycham, nie dodając jednak, że na jej matczyną przestrożę jest już nieco za późno.

W głowie, jak na zawołanie, wyobrażam sobie Adama w policyjnym mundurze. Tak, trzeba przyznać, że wygląda to bardzo seksownie.

Wiktorcia śpi, kiedy wkładam ją do fotelika w samochodzie. Julka całuje babcię na pożegnanie.

– Jedźcie spokojnie – mówi. – Nie szarżujcie. Pierogi macie w bagażniku, pamiętaj, aby je wyjąć, żeby nie zostały na noc w aucie. Pozdrów Mariusza – recytuje litanie.

Przez cały weekend na temat mojego męża nie padło ani jedno słowo. W sumie to i dobrze – nie było za bardzo o czym rozmawiać.

Patrzę w górne lusterko, zanim skręcę w główną drogę i stracę mamę i dom z oczu. Nadal stoi na brzegu jezdni i macha nam na pożegnanie.

## 12.

Jest kwiecień. Pracuję na „ka-pe trzy” już od ponad miesiąca. Pracy jest masa i jeszcze więcej. Co dziwne, ogarnianie dokumentacji sprawia mi niesamowitą radość i satysfakcję: w końcu mam swoje własne małe królestwo, które mogę układać w całości po swojemu. Adam zostawił mi w tej kwestii wolną rękę, za co jestem mu ogromnie wdzięczna.

Po raz pierwszy w życiu spełniam się zawodowo. Robię rzeczy, które są dla mnie ważne, mądre i ciekawe. Jestem szczerą w tym, co robię, nikogo nie udaję. Obecnie nawet przez myśl nie przechodzi mi szkoła czy przedszkole – opuściłam obydwa ostatnie zjazdy, wiem, że mama będzie się gniewać, ale kiedy zacznę więcej zarabiać, oddam jej te pieniądze. Wiem, że dla niej opłacenie studiów stanowiło spory wysiłek finansowy, jednak tamte wybory z dawnego życia uważam za minione i zupełnie nieaktualne.

Odkąd pracuję, dziewczynki są dłużej w przedszkolu. Na szczęście pracę zaczynam o siódmej i kończę już o piętnastej. Rano Mariusz zaprowadza je na dziewiątą, na śniadanie. Przed wyjściem jedzą płatki z mlekiem. Jeszcze nie tak dawno temu ogromnie stresowałam się tym, czy podawać im płatki z cukrem, czy wybierać zdrowszą, ale mniej przez nie lubianą opcję musli. Teraz, kiedy żyję pełnią życia i kiedy jestem szczęśliwa, połowa problemów rozwiązała się sama. Nie jestem już taka czepliwa, nie gniewam się i nie wydziwiam – dziewczynki jedzą płatki Nestle i Chocapic, są najedzone i zadowolone, a ja przynajmniej wiem, że zjadły ciepłe, solidne śniadanie.

Odbieram dziewczynki z przedszkola około trzeciej trzydzieści, choć początkowo miał to robić za mnie Mariusz. Wolę jednak mieć wszystko pod kontrolą. Mam fajny dojazd do przedszkola z przystanku przy Dobrego Pasterza. Najpóźniej zdarzyło mi się odebrać je około szesnastej, co i tak nie jest najgorszą opcją. Obie wydają się całkiem zadowolone z obrotu sprawy. W przedszkolu mają sporo fajnych koleżanek i cieszą się, że mogą spędzać wspólnie popołudnia i zostawać na słodkim podwieczorku. I co? I po raz kolejny okazuje się, że to, czego bałam się najbardziej, okazuje się wcale nie takie straszne ani problematyczne. Wręcz przeciwnie – powoduje rozluźnienie obu zaangażowanych stron.

Spacerem, uśmiechnięte, wracamy we trzy do domu. Czasem stajemy po drodze na placu zabaw. Mam nadzieję, że nie spotkam więcej Marcina, choć

wizja tego nie jest dla mnie już tak bardzo przerażająca.

Wieczorem, przeglądając się w lustrze, zastanawiam się, jakie to niesamowite, co praca potrafi zrobić z człowiekiem. Nie tylko zaczęłam odmawiać Mariuszowi seksu, ale nawet ubieram się bardziej po swojemu. Noszę dzinsy, wyrzuciłam wszystkie pary lycrowych rajstop, których po prostu nienawidziłam, a w których Mariusz ciągle kazał mi chodzić. Podciąłam nawet włosy – sięgają teraz równo ramion. Z grzywką po skosie wyglądam naprawdę całkiem nieźle. Wiecie, co na mój widok po metamorfozie powiedział Mariusz? Ze łzami w oczach teatralnym głosem wycedził:

– Coś ty ze sobą zrobiła? Takie paskudztwo, maskara... wyglądasz jak mała dziewczynka z obozu uchodźców!

– Jeszcze niedawno narzekałeś, że wyglądam staro. Może się w końcu zdecyduj, co? – odpowiadam butnie.

On jest zaskoczony, bo dotąd nigdy nie miałam odwagi odpyskowywać mu. Nic nie mówi, a ja wychodzę z pokoju. Robię sobie wieczorną herbatę z cytryną i imbirem i biorę się za usypianie dziewczynek.

To niezwykle, że jeszcze niedawno nie pracowałam wcale, a teraz pracuję na cały etat, a mimo to dziewczynki za mną nie tęsknią, ba, wyglądają na bardziej zadowolone z życia. Ja z kolei mam dla nich więcej energii i zaangażowania, wczuwam się w czytane im bajki, wspólnie przeżywamy przygody Barbie, Fluttershy, trzech kolorowych dżinek i Rocky'ego z *Psiego patrolu*.

\*\*\*

Rano przychodzę do biura zestresowana. Mnie osobiście podoba się mój odświeżony *look*, ale po wczorajszej smutnej minie Mariusza nie jestem już taka pewna, czy faktycznie dobrze wyglądam. Przyciemnione na intensywnie czekoladowy brąz włosy zakładam za uszy, tak żeby srebrne kolczyki z szafirowym oczkiem były dobrze widoczne. Uśmiecham się, kiedy wchodzę do pokoju: Adam już jest. Siedzi przy biurku i grzebie w papierach. Widzę, że denerwuje się, bo czegoś nie może znaleźć.

– Pozwól, ja to zrobię – proponuję, podchodząc do biurka i kładąc Adamowi dłoń na ramieniu.

Uśmiecha się ciepło i mówi:

– Super wyglądasz w tej nowej fryzurze. Tak bardziej naturalnie.

Robi mi się ciepło tam w środku. Czuję, że coraz więcej nas łączy, chciałabym spędzać z nim jak najwięcej czasu. Tylko czy to w ogóle możliwe?

Całe dwie godziny zajmuje mi uporządkowanie nowych papierów, przysłanych z dawnego komisariatu szefa. W pracy, przy innych, oczywiście nie mówimy sobie po imieniu, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych komentarzy. W okolicach południa zaskakuję sama siebie, mówiąc:

– Adam, zjemy dziś razem obiad? Ja zapraszam.

Zatrzymuje się i spogląda na mnie badawczo. Próbuje ukryć uśmiech, ale wcale mu to nie wychodzi. Siłąc się na neutralny ton głosu, odpowiada:

– Chętnie, dzięki. – Po chwili dodaje jeszcze: – Wiesz, w sumie to moglibyśmy urwać się dzisiaj wcześniej i nie wracać już na komisariat po obiedzie. – I wychodzi z pokoju.

W środku nadal czuję ciepło. Szczur uciekł, a może tylko się schował? Tak czy inaczej, nie widziałam go już od wielu, wielu dni.

O godzinie trzynastej siedzimy przy stole w niedalekiej restauracji. Wokoło sporo młodych ludzi, przychodzą tutaj z sąsiednich biurów.

– W ogóle nie chodzisz w mundurze?

– Tylko jeśli naprawdę muszę. Czyli prawie wcale.

– Nie lubisz tego?

– Może nie tyle nie lubię, co nie uważam za konieczne. Mundur czasem otwiera pewne drogi, ale z kolei inne zamyka na cztery spusty.

Zamówiliśmy to samo, czyli zestaw dnia: krem z zielonego groszku z grzankami i serem pleśniowym, a na drugie danie schab zapiekany w sosie musztardowym, podawany z surówką z nowalijek i purée ziemniaczanym. Pomiędzy daniami nerwowo pijam sok. Zastanawiam się, czy Adam również czuje to samo co ja.

– Od zawsze chciałeś być policjantem?

– W zasadzie tak. Mój ojciec pracował w policji, a mnie, jako małemu

chłopcu, bardzo to imponowało. Wiesz, bandyci, pistolety i te sprawy – wspomina, uśmiechając się. – Rzeczywistość okazała się nieco inna, ale nie odbiega znacząco od tego, co sobie tam kiedyś wyobrażałem.

– Nosisz przy sobie broń? – pytam, odruchowo przygryzając dolną wargę. Kręcę stopą kółka w powietrzu, to pomaga mi się rozluźnić.

– Zawsze – odpowiada, patrząc mi prosto w oczy.

– Pokażesz mi ją kiedyś?

Rumienię się. Wiem, że to najbardziej badziewny i wieśniacki tekst świata, ale mam to zupełnie gdzieś. Marzę o nim, marzę o Adamie, i nie mogę powstrzymać samej siebie przed zdobyciem jego serca. Podświadomie wybieram najbardziej ograne sposoby i teksty – może dlatego, że są najbardziej skuteczne?

Czuję, że mam ogromną ochotę na jedzenie, ale nie potrafię się najeść, jakby uczucie głodu pozostawało we mnie, nie dawało się zaspokoić. W pewnym momencie rezygnuję z jedzenia, odchylam się na krzesło i dotykam go stopą pod stołem. Przejeżdżam palcami wzdłuż po jego nodze, najpierw jednej, a potem drugiej. Adam nie przerywa posiłku, próbuje zachować powagę, ale widzę, że moje sztuczki robią na nim wrażenie.

– Podoba ci się? – pytam, podnosząc stopę wyżej. Dotykam go i sama odpowiadam sobie na własne pytanie. Wiem, że mnie pragnie, pytanie tylko, czy bardziej niż ja jego.

Idę zapłacić rachunek, opieram się o ladę, dając mu możliwość przyjrzenia mi się z bezpiecznej pozycji. Wiem, że mnie obserwuje, czuję jego spojrzenie na moich nogach, na tyłku, na krótkich brązowych włosach. Mam nadzieję, że rozbiera mnie teraz wzrokiem.

Wychodzimy z restauracji i spacerujemy obok siebie w milczeniu. Kończy się kwiecień, w przyszłym tygodniu czeka nas długi majowy weekend.

– Może wyjedziemy gdzieś razem? – pyta.

– Chciałabym, ale co z dziewczynkami? Nie chcę, żeby to głupio wyszło, wiesz, one mogą coś podejrzewać, mają w końcu tatę...

– Na razie nie mają jeszcze czego podejrzewać. Do niczego przecież nie doszło – stwierdza rzeczowo.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że szybko dojdzie – kuszę, nie musząc długo czekać na ruch z jego strony.

Bierze mnie za rękę i prowadzi w kierunku samochodu.

– Chodź, przejedziemy się.

Adam jeździ czarną laguną i muszę przyznać, że ten samochód jest w środku bardzo przestronny. Siedząc na przednim siedzeniu, jestem w stanie zupełnie wyprostować nogi. Sprawnie mijamy granicę Krakowa i podążamy dalej, w kierunku północno-zachodnim. Zatrzymujemy się w miejscu odludnym, tajemniczym i skąpanym w słońcu.

– Niedaleko stąd rozpoczyna się Puszcza Niepołomska. Moja rodzina kiedyś tu mieszkała, ale potem przeprowadzili się na północ i o ile mi wiadomo, nikt już tutaj nie powrócił.

– Ja mieszkam w Krakowie od kilku lat. Przeprowadziliśmy się mniej więcej na rok przed urodzeniem się Julki.

– Myślałaś kiedyś o powrocie w rodzinne strony?

– Nie. Nie miałabym tam co robić. Tutaj mam wszystko, czego potrzebuję: lekarzy, przedszkola, sklepy. U mnie na wsi nie ma nic z tego, są tylko ludzie: starzy, brzydki i zaściankowi.

– Ale do miasteczka masz przecież niedaleko.

– No tak. Większość od nas właśnie tam dojeżdża do pracy.

– A ty nie brałaś tego rozwiązania pod uwagę?

– Ja zawsze chciałam wyjechać do dużego miasta. Kiedy poznałam Mariusza i nadarzyła się taka sposobność, nie zastanawiałam się długo.

Adam nic nie odpowiada. Zdejmuje kurtkę i rozkłada ją na ziemi, pod drzewem. Siadamy, opierając się plecami o gruby pień brzozy. Adam wkłada rękę pod marynarkę, odsłaniając czarny pasek, do którego przyczepiony jest jego pistolet.

– Masz, obejrzyj sobie – proponuje, podając mi go do ręki.

To scena zupełnie jak z filmu, jak z jakiegoś romansu z wątkiem kryminalnym w stylu retro. Śmieję się sama do siebie.

– Jest prawdziwy? – pytam, a on wybucha śmiechem.



– Oczywiście! Myślisz, że nosiłbym atrapę?

– No tak, wiesz, dla postraszenia złodziei i bandytów.

– Tych, których ścigam, nie da się w ten sposób zastraszyć. Znają się na broni nie gorzej ode mnie i często nie wahają się użyć swojej własnej. Zdarzają się też przypadki zdesperowanych, a tacy są najbardziej niebezpieczni. Straszak mógłby mnie przed nimi nie obronić.

Po raz pierwszy w życiu trzymam w ręce pistolet: jest chłodny, ciężki i czarny. Zastanawiam się, czy naładowany. Adam, jakby czytając mi w myślach, odbezpiecza go, przy okazji dotykając moich dłoni.

– Teraz możesz strzelać.

Nie marzę o niczym innym. Odchylam się do przodu, prostując plecy. Wybieram cel: jasną brzożkę średniej wielkości, jakieś dziesięć metrów od nas. Wyciągam obie ręce do przodu, prostuję je.

– Teraz naciśnij spust – mówi, a ja od razu wykonuję jego polecenie. Jesteśmy teraz policyjnymi partnerami: ja chronię jego, on osłania mnie.

Strzelam. Trafiam bezbłędnie w sam środek brzozy. Huk wystrzału zaskakuje mnie: jest przeraźliwie głośny, boję się, że ktoś nas mógł usłyszeć.

– Nie bój się, tutaj nikt nigdy nie chodzi.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Czasem przyjeżdżam tu po pracy postrzelać. – Widząc moje pytające spojrzenie, dodaje: – Sama przyznaj, że jest tu dużo przyjemniej niż na strzelnicy, a i tak mam co miesiąc do wystrzelania cały treningowy magazynek.

Ma rację, jednak nie mam już czasu, żeby odpowiadać na jego pytanie. Jedną ręką odbiera mi pistolet, z powrotem zabezpiecza i chowa pod marynarkę. Drugą ręką chwyta mnie pod głowę, wplata palce w ścięte do ramion brązowe włosy i przybliża się do mnie, bacznie przypatrując się moim reakcjom. Jesteśmy teraz bardzo blisko siebie; bliżej niż kiedykolwiek.

Jego język jest ciepły i szybki – zaskakuje mnie, że tak nagle udało mu się wejść w moje usta. Całujemy się po raz pierwszy w życiu i czuję, że niebo rozstępuje się ponad nami. Obejmuję go, łapiąc za szyję i siadam na nim okrakiem. Adam przytula mnie do siebie, głaszcząc mnie po włosach, błędząc

ręką po moich biodrach i plecach. Kładę się na nim, nadal nie odrywając od niego ust. Całujemy się, a potem on tak szybko i sprawnie przekręca się, że w ułamku sekundy to on jest nade mną, a ja pod nim.

– No, nareszcie – wzdycha z uśmiechem, liżąc mnie po ustach.

Potem całuje mnie w ucho i chwytając za dłonie, przekładając moje ręce za głowę. Jest duży i silny, nie bardzo mogę się ruszyć. Przyjemnie jest czuć jego ciężar na sobie. Jestem szczęśliwa i podniecona jak nigdy. To jest coś więcej niż tylko gra wstępna do seksu, coś innego niż dotyk Mariusza, a nawet Marcina. Po raz pierwszy w życiu nie interesuje mnie sam dotyk, ale fakt, że dotyka mnie właśnie on, Adam, a nie ktokolwiek inny.

Całujemy się jeszcze przez chwilę, a potem Adam schodzi ze mnie. Patrzy na mnie tymi śmiejącymi się oczami, a ja zastanawiam się, jakim cudem przez tak wiele lat wytrzymałam w domu z potwornym ponurakiem!

– Nie chcę iść, zostanmy jeszcze trochę – proszę, delektując się zapachem traw, świeżych liści i bzu. Słońce ciepło przygrzewa, promienie przedostają się pomiędzy gałęziami, odbijają od wilgotnego mchu i paproci.

– Widziałaś już moją broń. Jeśli będziesz stawiać opór, będę zmuszony zapoznać cię z moimi kajdankami – grozi, tym razem zupełnie poważnie.

– Chyba mówisz to każdej dziewczynie, co? – pytam prowokacyjnie.

– Jak dotąd na każdą to działało – odpowiada, obejmując mnie i kładąc rękę na moim ramieniu.

Jest bardzo wysoki: tak przyjemnie jest móc wtulić się w niego...

Do Krakowa wracamy w milczeniu. Nie mam ochoty wysiadać z jego samochodu, ale trzeba odebrać dziewczynki, już prawie czwarta, nie chcę, żeby się niepokoiły. Adam podwozi mnie pod samo przedszkole. Wyskakuję szybko, nie całując go na pożegnanie.

– Do jutra, Adam – rzucam, modląc się w duchu, żeby nie traktował mnie jak pierwszej lepszej, jak dziewczyny na przelotny romans.

– Do jutra – odpowiada i odjeżdża z piskiem opon.

Myśl o tym, że może nie traktować mnie poważnie, sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Ocieram je szybko brzegiem kurtki i wbiegam po schodkach do przedszkola. Dziewczynki są już po podwieczorku, gotowe do

odebrania.

Mam dobry humor, ale nie potrafię teraz rozmawiać z nimi o lalkach i rysunkach. Tak trudno jest łączyć miłość, romans z życiem rodzinnym, z dziecięcymi klimatami. „Czy ja źle robię? Czy mam prawo tak się teraz czuć? – pytam samą siebie. „Zdecydowanie nie powinnam zaniedbywać dziewczynek” – solennie to sobie obiecuję, równocześnie postanawiając, że jako dorosła kobieta mam też prawo do wydzielenia sfery, która będzie zarezerwowana tylko na moje dorosłe sprawy. A dominującym tematem rozmów dorosłych, obok pracy i pieniędzy, jest oczywiście seks.

\*\*\*

Następnego dnia w pracy Adam ponawia propozycję wspólnego wyjazdu na weekend majowy.

– To tylko kilka dni, w pracy i tak dostaniemy wolne – przekonuje mnie. – Zabierz dziewczynki ze sobą. Jeśli nie chcesz jechać ze mną, to zatrzymaj się u mamy. Zaopiekuj się córkami na ten czas, a my będziemy spotykać się w połowie drogi, co ty na to? Myślę, że to najbezpieczniejsza, najbardziej komfortowa z opcji.

Nie wiem konkretnie, który argument do mnie trafia, ale Adamowi w końcu udaje się przekonać mnie do wyjazdu. O dziwo, po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku miesięcy zauważam wsparcie świata: największy problem rozwiązuje się sam, zaraz po podjęciu przeze mnie właściwych decyzji.

Wieczorem Mariusz robi mi herbatę, co mu się przecież wcale nie zdarza.

– Słuchaj, jest sprawa. – zaczyna. Przezornie milczę jak grób, nie dogaduję, nie odzywam się ani słowem. – Jest taki wyjazd. Można trochę dorobić. Jechałbym w sobotę z samego rana i wrócił po długim weekendzie. Ty mówiłaś, że będziesz miała wolne w pracy, tak? Może wzięłybyś dziewczynki i pojechałybyście do twojej mamy, co? Odpoczęłybyś trochę, odetchnęła od miasta, Julce i Wikusi też przyda się pooddychać świeżym powietrzem.

– Dobrze, Mariusz, skoro ci na tym zależy, to zabiorę dziewczynki i pojedziemy na długi weekend do mamy – odpowiadam.

Mąż oddycha z niewypowiedzianą ulgą. Wygląda, jakby powstrzymywał się przed podskoczeniem z radości pod sufit. Odchyła się na krześle i dodaje:

– Fajnie. To naprawdę fajnie. Może pomóc wam się spakować?

## 13.

Zamiast w sobotę rano postanawiamy udać się do mamy już w piątek wieczorem. Adam zgadza się, żebym urwała się z pracy wcześniej i odebrała dziewczynki z przedszkola zaraz po czternastej. Kiedy powiedziałam mu, że zgadzam się na nasz wspólny-osobny wyjazd, minę miał identyczną jak Mariusz. Gdyby nie to, że byliśmy akurat w biurze, to na pewno skakałby pod sam sufit.

– Tylko, wiesz, zabierz broń i kajdanki – przypominam mu przekornie.

Bardzo mnie to śmieszy, bo w kontekście seksualnym nigdy nie podniecało mnie ani jedno, ani drugie. Jednak z Adamem wiele rzeczy okazuje się przyjemnie zabawnych.

– Zawsze mam je przy sobie. Ot tak, na wszelki wypadek – odpowiada z nonszalancją i mocno naciąganą powagą w głosie. Chyba nie wymyślił na poczekaniu lepszej riposty, stąd maskuje to głosem i wyrazem twarzy.

– Mieszkasz w miasteczku?

– Tak, na obrzeżach. Niedaleko lasu, od strony jeziora.

– O fajnie, byłam tam niedawno...

„Z tatą” – chciałam dodać, ale powstrzymałam się. Nie byłam jeszcze gotowa na poruszanie tego tematu, choć Adam sam przyznał, że rozmawiał z siostrą Stellą. Może więc nie będzie mu trudno uwierzyć w to, że niedawno spacerowałam po tym lesie ze swoim zaginionym, pochowanym kilka lat temu ojcem?

Wszystko wskazuje na to, że mamy przed sobą prawie cały tydzień tylko dla siebie. Oczywiście nie cały, bo część czasu będę musiała poświęcić dziewczynkom. Ale tak czy inaczej, to bardzo, ale to bardzo wiele.

– Już się nie mogę doczekać.

– Ja też nie – przyznaje, patrząc na mnie z daleka.

Stoimy po dwóch stronach pokoju i czujemy, jak narasta w nas napięcie. Podniecenie bardzo szybko opanowuje nasze ciała, odruchowo wkładam kciuk do ust i zaczynam obgryzać paznokiec.

– Lepiej przestań, bo zaraz naprawdę nie wytrzymam – ostrzega nagle,

zaskakując mnie.

W pokoju jesteśmy sami, możemy zamknąć go na klucz. Tyle tylko, że w razie gdyby ktoś chciał wejść do środka, z pewnością domyśli się, co robiliśmy. Już samo to, że razem zaczęliśmy pracę, wzbudziło liczne dwuznaczne komentarze.

Wiem, że powinnam być grzeczną dziewczynką, tak jak mnie tego uczyła mama. Słuchać przełożonych, przykładać się do pracy, wstawać do śpiewania hymnu, kiedy rozlegną się pierwsze słowa *Jeszcze Polska nie...* Tyle tylko, że wszystko wskazuje na to, że ja taka nie jestem. Moja sztuczna, wyuczona grzeczność, posłuszeństwo względem innych były nieprawdziwe i wymuszane. Tak naprawdę mam w dupie to, co pomyślą sobie inni. Nie szanuję flagi, godła ani Jezusa na krzyżu. Zamiast tego chcę kochać, krzyczeć z rozkoszy i śmiać się bez granic. Chcę być wolna i czuć się wolna. Nigdy nie sądziłam, że taka jestem. Wierzyłam w to, że moja natura jest świątobliwa i porządnicka. Tymczasem prawda po raz kolejny okazuje się mnie zaskakiwać.

Na prośbę Adama wyjmuję kciuk. Na swoją własną prośbę wkładam do ust kolejne dwa palce, oblizując je, dociskając mocno do policzków i przesuwając w kierunku środka gardła. Już nie chcę być dawną sobą. Chcę być prawdziwą sobą. Bardzo niegrzeczną kobietą.

\*\*\*

Nie sądziłam, że tak łatwo pozwoli się sprowokować. Dosłownie sekundę zajmuje mu doskoczenie do mnie, złapanie mnie za włosy i włożenie języka do moich ust. Nadal trzymam w nich palce, liżemy je razem, a potem przekładam je do ust Adama. Dotykam jego zębów, podniebienia, opuszkami palców głaszczę go po języku. On w tym czasie klęka przede mną i schodzi dłońmi niżej, wzdłuż mojej szyi i ramion. Kiedy dotyka moich piersi, modłę się w duchu, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Nie mija sekunda od tej myśli, a słyszę, jak ktoś naciska na klamkę od zewnątrz i wchodzi do środka. Odskakujemy od siebie, jak oparzeni, Adam podnosi się, a ja wkładam głowę w monitor. Jesteśmy czerwoni na twarzy i mokrzy z podniecenia. Nie wiem, czy uda nam się to ukryć.

– Adam, odprawa będzie dziś wcześniej. Szef wzywa do siebie już teraz – oznajmia jeden z bliższych współpracowników Adama.

Nie patrzę w ich kierunku, udając zaabsorbowanie pracą. Coś tam klikam myszką, używam też spacji i kilka razy głośno wciskam enter. Na tyle tylko stać mnie w tej chwili.

– OK – odpowiada Adam. – Chodźmy od razu. – Nie odwracając się do mnie, bez słowa wychodzi.

Oddycham z ulgą, modląc się ponownie, żeby wrócił na górę jak najszybciej.

Jest trzynasta trzydzieści, kiedy dostaję od niego esemesa: *Możesz się już zbierać. Mam nadzieję, że zdążysz odebrać dziewczynki, tak jak planowałaś. Ja, niestety, muszę zostać jeszcze dzisiaj na komisariacie, ale jutro z samego rana jadę do domu. Do mamusi i tatusia. I oczywiście do ciebie. Zadzwoń, jak dotrę na miejsce, mam nadzieję, że spotkamy się już jutro. Zarezerwuj dla mnie trochę czasu. Adam.*

Nie wczytując się dokładnie w treść wiadomości, zamykam komputer, pamiętając o uprzednim wylogowaniu się ze wszystkich policyjnych systemów. To bardzo ważne, podkreślają to na każdym *meetingu* o bezpieczeństwie w sieci. Chowam wszystkie dokumenty do szafy, dwukrotnie sprawdzając, czy żadna kartka nie uleciała z wiatrem i nie schowała się pod biurkiem czy za kaloryferem. Adam przestrzegał mnie, że szef jest bardzo wrażliwy na tym punkcie i ogromnie ważne jest, żeby zrobić na nim dobre wrażenie, co oznacza – nie podpaść zaraz na samym początku. Dlatego też tak dokładnie sprawdzam, czy wszystkie szafki zamknięte są na klucz. Nie będzie mnie w biurze cały tydzień, a porządek w papierach musi być.

Z Mariuszem widzę się tylko w przelocie. Na szczęście będzie jechał samochodem jednego z kolegów i zostawia mi fabię. Zanoszę do bagażnika dwie walizki, spakowane wczoraj w nocy, pakuję też kanapki, drożdżówki i chipsy. Do mamy nie jest daleko, jakieś trzy, trzy i pół godziny, w zależności od korków, ale wolę być przygotowana, jeśli dziewczynki by zgłodniały. Ja sama i one dwie marudzące to mieszanka naprawdę wybuchowa.

Wszystko przebiega gładko i sprawnie, aż mnie to zaskakuje – zaczynam obawiać się, sama nie wiem czego, ale zupełny brak przeszkód zdaje się podejrzany. Nauczona policyjnych procedur, szybko wyliczam w głowie możliwe rozwiązania: Mariusz może coś podejrzewać i śledzić mnie; mamy

może nie być; samochód może się popsuć; zapomnę zabrać rzeczy, telefon lub ładowarkę. Żeby się uspokoić i zniwelować poziom zdenerwowania, sprawdzam dwukrotnie, że: bagaże zabrałam wszystkie, łącznie z telefonem i ładowarką, którą na wszelki wypadek schowałam do torebki, zabierając dodatkowo końcówkę do samochodowej zapalniczki; jedzenie jest, aktualna polisa ubezpieczeniowa znajduje się w dokumentach, sprawdzam, czy mam numer do ubezpieczalni i na pomoc drogową. Mam oba.

Co mogłam – zrobiłam. Jeśli nawet Mariusz będzie mnie śledził – niczego się nie dowie. A jeśli się dowie, to tym lepiej. Mam już coraz bardziej dość udawania, że coś jeszcze nas ze sobą łączy.

\*\*\*

Droga mija nam szybko i przyjemnie. Na cały głos śpiewamy piosenki z *Frozen* i *Pocahontas*. Obie dziewczynki chcą być jak Elsa, co ogromnie mnie cieszy. Z każdą chwilą maleje moja tolerancja dla kompromisów i bezwolnego poddawania się odgórnym przykazom.

Do mamy zajeżdżamy już po zmroku, choć nie jest jeszcze zupełnie ciemno. Wita nas w progu, uśmiechnięta, załzawione oczy ociera ręką fartucha.

– To od cebuli – mówi, choć obie doskonale wiemy, że nie jest to prawda.

Szybko wypakowuję walizki i zanoszę je na górę – tym razem będę spała razem z dziewczynkami, w jednym pokoju. Nie dopuszczę do tego, by niedawna sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła. Na dodatek zamierzam zamykać na noc drzwi na klucz. Liczę jednak, że Mariusz nie planuje więcej żadnego napadu.

Dziewczynki są zaaferowane. Pomagają babci zamknąć w kurniku kury, dokarmić ulubionego koguta z wielkim czerwonym czubem i spuścić na noc psa, którego wcale się nie boją. Pies wabi się Burek, tak jak większość psów tutaj, na wsi.

Jest dziewiąta, kiedy zasiadamy do wspólnej kolacji. Odpuszczam dziś dziewczynkom kąpiel. Uroczyście rozpoczynamy tydzień najwspanialszych majowych wakacji. Tak się w tym roku złożyło, że pierwszy wypada we wtorek, trzeci w czwartek, więc kto tylko mógł, to wziął wolne na pozostałe dni i uzyskał dodatkowy tydzień wakacji.

Na białych, grubych talerzach, ręcznie malowanych w granatowe chabry, mama układa pokrojonego w grube plastry pomidora, posypanego gęsto szczypiorkiem. Na drugim talerzyku widnieje skrojony w kółka ogórek i gotowane jajka w majonezie. Chleb i szynka znikają jako pierwsze, popijane mocno słodzoną herbatą. Jak mówiłam – mamy wolne i nie zamierzamy w żaden sposób się ograniczać.

\*\*\*

Długo nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok, próbuję grać na telefonie, skupić się na oddechu. Nic nie pomaga. Dopiero koło północy zapadam w półsen, w trakcie którego pojawia się mój ojciec. Widzę go po raz pierwszy od tamtego zdarzenia w zimie. Wtedy czułam, że to dzieje się naprawdę, teraz jednak wiem, że to tylko sen: leżę nadal w łóżku, w pokoju na górze, i nie mam możliwości ruchu. Tata uśmiecha się do mnie i miną pokazuje, że tęsknił za mną.

– Ja też tęskniłam, tato. Dlaczego zniknąłeś? Czemu mi się więcej nie pokazywałeś?

Mówię cicho, żeby nie obudzić dziewczynek ani tym bardziej mamy. Chybaby się przeraziła, widząc tutaj tatę, całego i zdrowego.

Tata nie odpowiada, ale ręką wskazuje za okno, w kierunku lasu i jeziora.

– O co chodzi, tato? Byłeś tam, nad jeziorem?

Wskazuje palcem na mnie.

– Ja mam tam pójść? Nad jezioro? Chcesz, żebym tam poszła? – dopytuję.

Kiwa głową i uśmiecha się tak ciepło, że aż miło mi się robi na sercu. „Nad jezioro” – zdaje się powtarzać, choć nie rusza ustami. Uśmiecha się raz jeszcze i znika. A ja w końcu zasypiam.

\*\*\*

Budzę się z samego rana, dziewczynki musiały już wstać, bo nie ma ich w łózkach, a o ile mi wiadomo, nie lunatykują. Patrzą na zegarek – jest dziewiąta. Udało mi się odespać ostatnie tygodnie wstawania o piątej trzydzięci.

Na szczęście z dołu dobiegają mnie ich roześmiane głosy, co sprawia, że ze spokojem opadam ponownie na poduszkę. Tak miło jest czuć zapach świeżo



wypranej pościeli i nielakierowanego sosnowego drewna, z którego zbudowana jest najprostsza w świecie rama łóżka, na którym właśnie leżą.

Kiedy włączam telefon, widzę esemes od Adama: *Cześć. Dojechałyście? Ja właśnie wyjeżdżam z Krakowa. Mam nadzieję dotrzeć tak na jedenastą, dwunastą. Uda ci się dziś ze mną spotkać? Proponuję godzinę lub dwie, gdzieś w miasteczku. Może dasz się zaprosić na kawę albo na obiad do baru U Angeliki? Znasz go? Najchętniej jednak zaprosiłbym cię do siebie, ale nie wiem, czy miałabyś na to ochotę? Całuję, A.*

Mariusz nie dał znaku życia.

- Dzień dobry! – mówię z uśmiechem, schodząc po schodach na śniadanie.
- Mam nadzieję, że załapię się na kakao i twarożek ze szczypiorkiem?
- Tak, mamusiu, już wszystko gotowe! – przekrzykują się dziewczynki, a mnie zaskakuje, jak to możliwe, że są aż tak zgodne, tak bardzo uśmiechnięte.

Trochę kłóci się to z moimi poglądami na rodzinę. Zawsze wierzyłam, że dwoje rodziców na co dzień, mąż i żona, kobieta i mężczyzna, to podstawa dobrego wychowania dzieci. To baza, bez której nie będą potrafiły naturalnie wzrastać. Tymczasem kiedy są ze mną i Mariuszem, rozrabiają, szaleją, albo przeciwnie – są ospałe, zniechęcone i marudne. Kiedy jesteśmy tu, u mamy, kiedy mieszkają tylko ze mną i z babcią, tryskają energią i dobrym humorem. Rośnie ich pomysłowość, stają się chętne do pomocy i gorliwe. Przyjemnie spędza się z nimi czas. Mają podwórko, po którym w każdej chwili mogą pogonić kury albo pobawić się z psem. Do twarożku same zrywają listki świeżej mięty, którą dzień wcześniej podlewały.

Czy naprawdę życie w mieście jest aż tak wartościowe, jak zawsze sądziłam? Czy galerie handlowe, przychodnie i wyższe zarobki rekompensują utratę podwórka i świeżego powietrza, a co więcej: dostępu do własnej, naturalnej żywności? Cieszy mnie bliska obecność placu targowego, podczas gdy tutaj nie musiałabym nigdzie iść ani nawet wydawać pieniędzy: wystarczyłoby własną ręką urwać kilka najdorodniejszych listków i łodyżek. Nie trzeba kupować więcej, nie trzeba potem wyrzucać nadmiaru. Mijają kolejne minuty, a ja czuję, że przewartościowuje się we mnie cały świat – wszystko nagle staje na głowie.

Po przepysznym śniadaniu dziewczynki wychodzą na dwór, pograć w piłkę.

Pogoda dopisuje, jest słonecznie, choć bez upałów. Wykorzystuję chwilę spokoju na zrobienie sobie kawy z mlekiem. Siadam z kubkiem na ganku i odpisuję na porannego esemesa: *Cześć, Adam. Napisz, jak dojedziesz. Mam nadzieję, że nie będzie korków! Myślę, że dziś spokojnie możemy się spotkać na dwie, a nawet trzy godziny. Dziewczynki wspominały, że są umówione ze swoimi sąsiadkami, mama ma je do nich zaprowadzić. Moglibyśmy umówić się jakoś po obiedzie, może w okolicach czternastej? Dałbyś radę? Bar U Angeliki i Andrzeja oczywiście znam. Natomiast dziś miałabym propozycję taką, żebyśmy udali się nad jezioro, to duże, za lasem. Co ty na to? Nie dodaję, że dziś śnił mi się tata i prosił o to. Ale myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby mu o tym opowiedzieć, kiedy się dziś zobaczymy.*

Odpowiedź przychodzi bardzo szybko: *Bardzo dobry pomysł. Spotkajmy się o czternastej nad jeziorem. Masz daleko? Przyjechać po ciebie czy przyjedziesz sama autem?*

*Wezmę samochód, żeby móc zgarnąć w drodze powrotnej dziewczynki. Spotkajmy się nad jeziorem. Nad tą największą plażą, OK?*

*Będę czekał na ciebie.*

*Do zobaczenia* – odpisuję i dopijając po drodze kawę, biegnę pod prysznic. Za kilka godzin mam pierwszą prawdziwą randkę w lesie. Trzeba się do tego porządnie przygotować.

\*\*\*

– To mówisz, że w dzieciństwie często bywałeś nad tym jeziorem? – pyta.

Spacerujemy wzdłuż brzegu. Zrobiło się nieco chłodniej i bardziej pochmurno niż rano. Na kolorową, kwiecistą sukienkę zarzucam turkusowy szal, okrywając nim dekolt i ramiona. Adam ma na sobie długie spodnie i T-shirt. Po raz pierwszy widzę go bez marynarki. Wygląda bardziej swojsko i mniej oficjalnie. Chyba lubię go takiego zwyczajnego.

– Tak, tutaj najbardziej lubiliśmy się kąpać, bo mimo że zejście do wody jest łagodne, to bardzo szybko robi się głęboko i można przyjemnie popływać. A widziałeś kiedyś raki?

– Tak, nieraz. Ale to za dawnych czasów. Potem, jakoś tak w okresie liceum, raki przestały się pojawiać.

– Dziwne, że nigdy się tu nie spotkaliśmy.

– A może jednak kiedyś się widzieliśmy? Wiesz, kiedy podbiegłem do ciebie na dworcu i potem, kiedy czuwałem przy tobie w szpitalu... Nie śmieję się – mówi, przystając – ale wydałaś mi się bliska, jakbyśmy znali się od wczesnego dzieciństwa. Może coś prawdziwego było w silnym uczuciu, które wtedy do ciebie poczułem...?

– Może. – Staram się przypomnieć sobie twarz chłopaka, który mógłby mi zawrócić w głowie dziesięć lat temu. – Chodziłeś do liceum w miasteczku?

– Tak. A potem wyjechałem do szkoły policyjnej w Pile. Ponieważ mój tata również pracował jako policjant, pomógł mi w załatwieniu pierwszej pracy, w komendzie miejskiej w miasteczku. Dzięki temu mogłem pozostać w rodzinnych stronach.

– Czemu przenieś się teraz do Krakowa? Co cię do tego skłoniło? – pytam, kiedy siadamy na trawiastym brzegu.

Zdejmuję sandały i zamaczam stopy w wodzie. Jest zaskakująco ciepła.

– Ty – wyznaje. – To dla ciebie się przenieśliśmy. Odkąd poznaliśmy się na dworcu i potem w szpitalu, nie będę ukrywał, że nie potrafię funkcjonować jak dawniej. Bez ciebie wszystko wydaje mi się smutne i niepełne. Coś nie pozwala mi zostawić cię, przeciwnie: każe być mi blisko ciebie... Jeszcze kiedy leżałaś nieprzytomna, zadzwoniłem do szefa i wypytałem o wszystkie możliwości jak najszybszego przeniesienia się do Krakowa... Zajęło mi to co prawda dwa miesiące, ale udało się. No i przy okazji awansowałem.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jestem poruszona, ale też nie chciałabym, żebyś z mojego powodu wywracał swoje życie do góry nogami.

– Powiedz mi, mam u ciebie jakieś szanse?

Zastanawiam się, co mu odpowiedzieć. Głos intuicji podpowiada mi, aby mówić prawdę, w najprostszym i jak najmniej zawołowanym sposobie.

– Masz, ale moja sytuacja nie jest łatwa i trochę zajmie mi rozsupłanie jej.

Czuję, jak Adam oddycha z ulgą. Uśmiecha się nawet, ale po chwili nagle robi się bardzo chmurny.

– Czy on cię jeszcze potem uderzył? Czy w jakikolwiek sposób zrobił ci krzywdę? – pyta, nie patrząc na mnie. Jego dłonie automatycznie zaciskają się w pięści.

– Nie, od tego czasu panował między nami względny spokój. Oczywiście klóćmy się, choć odkąd pracuję, to coraz mniej ze sobą rozmawiamy. Przestałam też z nim sypiać – przeniosłam się na sofę, do pokoju dziennego. Nie jest z tego zbytnio zadowolony, ale nie chcę go oszukiwać. Niech wie, jak się mają sprawy między nami.

– Dobrze. Jeśli cokolwiek, kiedykolwiek, to... dzwoń od razu. Przyjadę do ciebie w dziesięć minut – zapewnia, a ja mu wierzę.

Głaszczę go po ramieniu i całuję w policzek. To dziwne uczucie mieć nagle czyjeś wsparcie. Nie znałam tego. Nikt nigdy mi nie pomagał, to zawsze była moja rola: pomocnicy, tej zaradnej, wybawcy. Zbawiałam innych, szkoda tylko, że mnie nikt nigdy nie pomógł. Nie powiedział: „Słuchaj, ten facet jest nie dla ciebie”. Albo: „Może zrób najpierw studia, a potem pomyśl o dzieciach?”. Albo też: „Pojedź w podróż dookoła świata, a potem sama pocuj, czego tak naprawdę potrzebujesz, co dla ciebie jest teraz ważne. Ja zajmę się całą resztą, niczym się nie przejmuję”.

– Nie wiem, jak to będzie, Adam, i ile czasu zajmie mi poradzenie sobie z konsekwencjami przeszłych wyborów.

– Nic nie szkodzi. Zaczekam, ile będzie trzeba – stwierdza. – Choć moja mama bardzo chciałaby cię już poznać.

– Mówiłeś o mnie rodzicom? – Jestem zaskoczona.

– Moja mama jest bardzo inteligentna, od razu domyśliła się, czemu chcę tak nagle przenieść się do Krakowa. Tata pewnie też się domyślał, jednak ze względu na naszą przyjaźń twierdził, że wierzy w historię, iż chodzi wyłącznie o mój rozwój zawodowy.

– Musisz mieć fajnych rodziców – stwierdzam na głos.

– Oj tak, zdecydowanie – odpowiada, obejmując mnie.

– Chciałbyś zamieszkać w Krakowie na stałe?

– Nie wiem jeszcze, ale rozważam taką ewentualność. Myślę, że kiedy nadejdzie czas, to wspólnie podejmiemy tę decyzję – sugeruje, a ja czuję, że nasza relacja staje się coraz bardziej realna.

Nagle, bo w ciągu kilku miesięcy, z niezadowolonej z życia żony brutalnego męża staję się pewną siebie kobietą, z własną, interesującą pracą i nowym, ciepłym i przystojnym chłopakiem. Nie chce mi się wierzyć, że

spotyka mnie tak duże szczęście. Nie czuję, abym na nie zasłużyła.

Spoglądam w kierunku jeziora. Znow widzę sylwetkę stojącego na tafli wody ojca. Postać jest odległa, ale wiem, że to on. Nie macha do mnie i nie uśmiecha się. W oczach pojawiają mi się łzy.

– Adam? – pytam, patrząc przed siebie.

– Tak? – Spogląda na mnie. – Co się stało? Czemu płaczesz?

Bez słowa podnoszę rękę, palcem wskazując na środek jeziora.

– Widzisz go? – pytam.

Zaskoczony, patrzy tam, gdzie pokazuję ręką.

– Nie, nic nie widzę.

– Przyjrzyj się uważnie – nalegam, widząc, że postać ojca zaczyna zanikać, przeradzając się w jaśniejszą plamę na wodzie.

Dokładnie widzę miejsce na jeziorze, w którym woda jest inna, jakby był tam wir wodny albo coś dziwnego pod powierzchnią.

Wzdycham głęboko, co sprawia, że ogarnia mnie dreszcz, przechodzi jednak szybko, kiedy Adam mocniej przytula mnie do siebie.

– Kiedy potknęłam się na torach i straciłam przytomność, widziałam się wtedy z ojcem. To znaczy, mnie się wydawało, że się spotkaliśmy. Spacerowaliśmy razem, zjedliśmy nawet wspólne śniadanie w barze U Angeliki i Andrzeja! Potem zaprowadziłam go na cmentarz, a na koniec przyszliśmy właśnie tutaj, nad wodę. Przed chwilą znowu zobaczyłam jego postać na środku jeziora.

– Twój ojciec nie żyje?

– Tego nie wiem. Zaginął wiele lat temu, aż w końcu uznaliśmy go za zmarłego. Odprawiliśmy pogrzeb, ja jednak zawsze po cichu liczyłam, że kiedyś się odnajdzie.

– Zaraz, zaczekaj... Chyba już wiem, skąd cię kojarzę, czemu wydałaś mi się tak bliska i znajoma od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłem! Ja znam tę sprawę, sprawę zaginięcia twojego ojca. Miał na imię Wiesław, prawda? Wiesław Jasiński, to był twój ojciec?

– Tak – odpowiadam, zaskoczona.

– Sprawę zaginięcia prowadził mój ojciec. To było pierwsze śledztwo, przy którym mu pomagałem, świeżo po ukończeniu szkoły policyjnej.

– Naprawdę? To niesamowite. Mogliśmy się wtedy spotkać?

– Tak, teraz już wszystko pamiętam. Widziałem cię, jak przyszedłaś razem z mamą. Pamiętam, jak bardzo przeżywała to zaginięcie. Ty byłaś razem z nią, smutna, ale wspierająca, trzymałaś uczucia na wodzy, nie dawałaś po sobie poznać, jak bardzo cierpisz. Pamiętam, że wtedy ogromnie zaimponował mi twój hart ducha.

– To wiele wyjaśnia... – mówię, choć trudno mi uwierzyć, że to może być prawda.

– Ojciec bardzo przeżywał tę sprawę. Mimo iż zaginięcia zdarzają się stosunkowo często, ta sprawa nie była jednoznaczna. Po przesłuchaniach członków waszej rodziny i jego znajomych, po zbadaniu okoliczności zaginięcia zrodziła się koncepcja, że ktoś pomógł mu w zaginięciu. Że to nie była ucieczka ani wypadek. Pojawiało się zbyt wiele poszlak świadczących o tym, że nie było to zwykłe zaginięcie.

– Odkąd miałam wypadek, widziałam się z ojcem trzykrotnie: raz „na żywo”, choć wszystko wskazuje na to, że byłam wtedy nieprzytomna. Dziś w nocy pojawił mi się we śnie. A teraz, przed chwilą, widziałam go na środku jeziora. O, tam. – Wskazałam palcem.

Adam podążył wzrokiem we wskazane miejsce.

– Wiesz, sprawa twojego ojca bardzo mnie poruszyła. Nauczyła, żeby zawsze szukać głębiej, nie dawać przekonać się najbardziej oczywistym wyjaśnieniom. Szukać drugiego dna, choć wszystkie poszlaki będą wskazywać na to, że wcale go nie ma.

– Sprawa taty nigdy nie została wyjaśniona.

– Wiem. A ja obiecałem sobie kiedyś, że do niej wrócę i dowiem się, co tak naprawdę się stało. Może dlatego tak emocjonalnie zareagowałem, kiedy upadłaś na torach? Może dlatego miałem nie opuszczać cię ani na trochę?

– Ze względu na sprawę?

– Ze względu na zaangażowanie w nią. Z powodu twojego taty, który w jakiś sposób był tam z nami i kazał mi doglądać ciebie.

- Mówisz serio? Nie wiem, co o tym myśleć...
- Wiesz, jestem policjantem i na co dzień muszę odznaczać się chłodnym, analitycznym umysłem. Ale tak w głębi serca jestem porywczy i uczuciowy. Wierzę, że może istnieć coś, co jest niewidzialne dla oka.
- W końcu widziałeś się z siostrą Stellą.
- Tak, to było niesamowite. Zwłaszcza że ty też ją widziałaś, a dyrektor szpitala potwierdził, że kiedyś tam pracowała.
- Wierzysz w duchy?
- Od pewnego czasu zacząłem.
- Szczerze wierzyłam, że mój tata żyje, że wróci pewnego dnia i powie, że wyjechał do Niemiec za pracą albo nawet do Stanów... Jednak wydarzenia ostatnich miesięcy raczej wskazują na to, że jednak nie żyje.
- I pokazuje ci się jako duch?
- Tak. Choć nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z tego rodzaju tematami.
- Ale czemu miałby ukazać ci się dopiero teraz? Czemu nie wcześniej? I czego może od ciebie chcieć?
- Według tego, co udało mi się ustalić, przeżyłam śmierć kliniczną. Byłam na granicy życia i śmierci, a nawet wstępnie ją przekroczyłam. To siostra Stella kazała mi zawrócić, wrócić do ciała. Powiedziała, że mam jeszcze sporo do zrobienia i że to jeszcze nie pora na mnie.
- Wróciłaś.
- Tak. Ale to wydarzenie odmieniło mnie. Stałam się bardziej wrażliwa na otoczenie, na znaki, które docierają do mnie ze świata.
- Czyli prawdopodobnie dzięki temu wydarzeniu, nazwijmy je granicznym, twój tata miał okazję nawiązać z tobą kontakt?
- Tak bym to widziała. Ale czy tak faktycznie jest, tego nie wiem. To tylko moje domysły.
- Ale w takim razie po co ci się pokazuje?
- Zakładając, że nie żyje, przypuszczam, że chce pokazać mi, gdzie i w jaki sposób zginął – zgaduję, przypominając sobie pierwszy raz, kiedy mnie tu

zabrał. Ciarki przechodzą mi po plecach, oczy stają się szkliste, pęcznieją od łez. – I wszystko wskazuje na to, że odbyło się to tutaj, na środku jeziora.

\*\*\*

Nasz wspólny czas mija bardzo szybko. Na zakończenie spotkania całujemy się, a potem każde z nas wsiada do swojego samochodu i przez chwilę jedziemy w tym samym kierunku po to, by potem rozjechać się w dwa różne miejsca. Adam wraca do siebie, do domu, a ja jadę odebrać dziewczynki od koleżanek. Ciszę się, że spędziły razem miłe popołudnie.

Adam zaprosił mnie dziś z córkami do siebie. Jego rodzice chcieliby nas poznać. Ale wydaje mi się, że to jeszcze za wcześnie, nie czułabym się do końca komfortowo, odwiedzając ich, będąc nadal mężatką. Adam nie naciska na spotkanie, co bardzo mi odpowiada.

Wieczór spędzamy w żeńskim gronie, przygotowując na jutro domowej roboty makaron. W końcu będzie niedziela, a ta nie może się odbyć na wsi bez rosołu, posypanego natką pietruszki i odrobiną świeżego lubczyku.

Świąteczny nastrój psuje teściowa: dzwoni do mnie w samo południe z płaczem. Podobno Mariusz był u niej i po pijaku opowiadał, że już go nie kocham i chcę go zostawić samego.

– Czy to prawda, Martuś? – pyta.

– Tak, to prawda – odpowiadam bez skrępowań. – Czy mówił też, że jest okropnie niemiły i agresywny? Czy wspominał, że wyrzucili go z pracy, bo wdał się w bójkę z jednym z kolegów i to na dodatek w sądzie, tuż przed rozprawą? Nie? A to szkoda. Bo tak się składa, że to są jedne z głównych powodów, dla których planuję się z nim rozstać.

Po raz pierwszy mówię to na głos. Nadal nie wierzę, że to dzieje się naprawdę, nie sądziłam, że kiedykolwiek zdobędę się na tak wielką odwagę, żeby zdecydować się odejść od męża.

Mama Mariusza nic więcej już nie mówi. Stwierdza, że jest jej ogromnie przykro i że może jeszcze jakoś uda się TO uratować.

– Raczej nie widzę takiej możliwości, mamó – stwierdzam, żegnając się po chwili i odkładając telefon.

Okazuje się, że moja mama podsłuchiwała z korytarza.



– Czyli to prawda?

– Tak, mam – przyznaję, trochę obawiając się jej reakcji. Na wsi to jednak inaczej niż w mieście. Tutaj rozwody nie są jeszcze codziennością.

Mama podchodzi do mnie i przytula mnie.

– Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz. Nie ten, to inny – pociesza mnie.

„Wiem, mam – dodaję w myślach. – Nawet mam już «tego innego»”.

Zauważam, że pomyślenie o czymś jest pierwszym etapem. Takim wstępnym, przygotowawczym. Drugim jest powiedzenie o tym. Z chwilą, gdy na głos mówimy o swoich planach i marzeniach, one stają się coraz bardziej realne i prawdopodobne. Potem, po wypowiedzeniu ich, wystarczy już tylko zacząć działać, tak aby *słowo ciałem się stało*.

Dwa etapy odejścia od Mariusza miałam już za sobą. Pozostawał teraz etap ostatni, kluczowy. Czując się bezpiecznie tu, na wsi, postanowiłam napisać do niego esemesa: *Hej, Mariusz. Póki mamy kilka dni dla siebie, chciałabym, abyś pomyślał nad przyszłością naszego małżeństwa. Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich miesięcy, ja tego jakoś nie widzę. Chciałabym porozmawiać o tym, kiedy wrócimy z weekendu. Marta.*

Jeszcze tylko odrobina nieludzkiej odwagi i... wysłane. Właśnie zrobiłam coś najbardziej szalonego w życiu. Odejście od Mariusza kosztuje mnie dużo więcej odwagi niż wyjście za niego za mąż i urodzenie mu dwójki dzieci. Czy to nie dziwne?

\*\*\*

Wieczór zaskakuje mnie ciepłem i urokiem majowym. Chodzę boso po trawie, z dziewczynkami pleciemy wianki ze stokrotek i trawy. Wpadam na pomysł, żeby wypożyczyć łódkę i popłynąć jutro na środek jeziora. Jak głęboko może tam być? Czy uda mi się dostrzec coś pod powierzchnią wody? Czy ten pomysł ma jakikolwiek sens?

Zastanawiam się, ale tylko chwilę, bo odkąd zaczęłam pracować w policji, wszelkie poszlaki wolę osobiście posprawdzać, niż pozostawić je w sferze domysłów. Zrywam gałęzie bzu, ciężkie od fioletowych kwiatów, uginają się pod ich ciężarem. Wsadzam je do wazonu z cienkiego kryształu i zastanawiam się, czy dłużej zachowałyby świeżość, jeśli zamiast wody z kranu, nalałabym takiej ze źródła. Mamy jedno małe nieopodał; daje

początek rzeczce Kwietnicy.

Siadam na ganku, na zimnych kamiennych schodach, pod pupę podkładam sobie koc, żeby nie złapać wilka. Piszę esemesa do Adama:

*Hej, jak minęła niedziela? Co powiesz na jutrzejszy rejs łódką po jeziorze? Tylko ty i ja, i ewentualnie duch mojego ojca. Hm?*

*Hej. Niedziela jak to niedziela – rosół i pogadanki przy stole. Na rejs jak najbardziej się piszę, zajmę się wypożyczeniem łódki. Jak wiesz, mam względem ciebie raczej poważne zamiary, więc z chęcią poznam twój tatę. Mam jednak nadzieję, że odbędzie się to na stałym lądzie.*

*Ja też mam taką nadzieję, ale uprzedzam zawczasu, bo nigdy nic nie wiadomo.*

*OK. O której po ciebie przyjechać?*

*Może z samego rana? Jutro jest dzień powszedni, na pewno nie będzie tłoku.*

*Będę o dziewiątej – odpisuje, a ja rzucam się na poduszkę, prosząc w duchu, żeby jutrzejszy ranek nadszedł jak najszybciej.*

## 14.

Adam pożyczył łódkę od sąsiada. Jest zacumowana z drugiej strony brzegu, podjeżdżamy tam samochodem. Zanim jeszcze do niej wsiądziemy, rozkładam na trawie koc i proszę go, żebyśmy na chwilę usiedli. Wtulam się w niego, wpatrując się w horyzont pełen wody. Jezioro wydaje się dziś szare i spokojne, tafla delikatnie faluje, odbijają się w niej stalowe chmury, zasnuwające niebo, zawieszane nisko, tuż nad samą wodą.

Głaszczę go po ciemnych włosach i po karku, za uchem. Palcami przechodzę niżej, obserwując jego reakcję. Pomimo chmur jest ciepło. Adam ma na sobie spodnie i czarną bluzę z długimi rękawami. Sama mam na sobie sandały, które ściągam jednym wprawnym ruchem. Odsuwam się nieco i zdejmuję sukienkę. Zostaję w samej bieliznie, koronkowej, w kolorze moich oczu.

Adam przysuwa się do mnie, jednocześnie ściągając z siebie bluzę. Jest szybki i zdecydowany, nie wiem, kiedy jego usta tak sprawnie przyklejają się do moich. Po kolejnej, niedługiej chwili leżę plecami na kocu, a Adam na mnie. Odgarnia mi włosy z oczu, przyciska ciałem do ziemi. Dłońmi łapie za moje – splatamy palce, nie przerywając pocałunku. Adam smakuje latem, konwaliami i leśną poziomką. Marzę o tym, żeby znaleźć się w jego łóżku i już stamtąd nie wychodzić.

Chcę przycisnąć go mocniej do siebie, przytulić, jednak on jest nieprzejednany: chwytą mocno obie moje ręce i przytrzymuje je nad głową. Drugą, wolną dłonią dotyka mnie pomiędzy nogami, wcale jednak nie chce się spieszyć. Liże mnie po uchu i po szyi, dotyka mnie przez bieliznę.

– Zrywa się wiatr. Jeśli mamy cokolwiek dziś zdziałać, to trzeba już wypływać. Jeśli się rozpada, to może być zbyt niebezpiecznie – ostrzega, całując mnie w czoło. – Poza tym liczę, że dziś wpadniesz do mnie na noc. Tak się składa, że rodzice wyjeżdżają na trzy dni do znajomych, na majówkowego grilla. Cały dom będziemy mieli tylko dla siebie.

Czuję, że decyzja jest już podjęta.

– Przyjadę wieczorem, po kolacji. Poproszę mamę, żeby położyła dziewczynki spać.

Adam całuje mnie jeszcze raz i podnosi się. Wkładam sukienkę i oddycham

głęboko. Czuję się miło rozleniwiona i gdyby nie zbierający się coraz chłodniejszy wiatr, wcale nie chciałoby mi się wstawać.

Wypływamy. Adam wiosłuje, ja rozglądam się wokoło, rozpościeram ramiona, rozpuszczam włosy. Patrzę w dół, wzrokiem szukając dna. To jednak nic nie daje, woda nie jest aż tak przejrzysta, od dna muszą dzielić nas całe długie metry. Czuję się teraz jak Ofelia z mojego ukochanego obrazu Millais'a albo Lady of Shalott z płótna Waterhouse'a. Chciałabym kiedyś zobaczyć oba te obrazy na żywo. Podobno znajdują się w Galerii Tate Modern w Londynie.

Kiedy dopływamy na sam środek jeziora, dokładnie do miejsca, w którym wczoraj objawił mi się tata, czuję, jak coś potwornie twardego i ciężkiego uderza mnie w skroń. Zginam się w pół z bólu, ręką łapiąc się za głowę. Na dłoni czuję ciepło i wilgoć spływającej po mnie krwi. Zanim zdążę podnieść głowę i odezwać się do Adama, dostaję cegłą w głowę po raz drugi, tym razem w potylicę. Tracę przytomność i upadam na dno łódki. Nie ma ze mną kontaktu przez wiele długich minut.

Kiedy budzę się, Adam wygląda na przerażonego. Wiosłuje jak szalony, jesteśmy już prawie przy brzegu.

– Zaczekaj – proszę. – Musimy tam wrócić.

– Nie ma mowy – odpowiada zdecydowanym głosem, prawie krzyczy. – To, co się z tobą działo, wyglądało naprawdę przerażająco. Pluć krwią! Czerwona strużka spływała ci z czoła! Potem, po chwili, wszystko znikło, wyparowało. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co się z nami dzieje, ale nie jest to normalne. Boję się i czuję, że musimy stąd jak najszybciej uciekać.

– Ale ja muszę tam wrócić, Adam! – żądam, jednocześnie rozmasowując bolące miejsce na głowie. – Inaczej ojciec nie da mi spokoju!

Adam przez chwilę patrzy na mnie, jakby wahając się, którego głosu posłuchać: serca czy rozsądku. Wybiera jednak ten drugi i bez słowa wyjaśnienia kieruje się w stronę brzegu.

– Jeśli kiedykolwiek wrócimy na środek jeziora, to na pewno nie sami i nie teraz, kiedy zbiera się na burzę – zastrzega, wskazując podbródkiem na czarne chmury, nadciągające od wschodu.

Czuję, że mam dość wszystkiego. Jestem słaba, ogarniają mnie mdłości.

Chcę zaszyć się gdzieś, uciec przed wszystkimi i zrestartować się. Przez chwilę odłożyć problemy na bok i mieć je wszystkie gdzieś.

– Zabierzesz mnie na śniadanie do baru mlecznego U Angeliki i Andrzeja? – pytam.

– Jasne, choćby zaraz.

Po drodze dzwonię do mamy. Nie ma ich w domu, odwożę więc samochód i zostawiam go na podwórku. Potem przesiadam się do laguny Adama. Esemesem proszę mamę o pomoc w opiece nad dziewczynkami. Obiecuję wrócić jutro z samego rana. Mama nie jest zbyt zadowolona, ale przecież nigdy taka nie bywa. Zawsze znajdzie coś, czym można się pomartwić.

W przelocie rozmawiam przez telefon z dziewczynkami, mówiąc im, że muszę pojechać do pracy na jeden dzień i że wrócę jutro z samego rana. Trochę żałują, że mnie dziś nie będzie, jednak kiedy obiecuję przywieźć każdej po jajku niespodziance i gumie z tatuażem z *Frozen*, zły humor nagle mija, rozplywa się szybko, jak dzisiejsza poranna mgła. Rozłączamy się, chwilę wcześniej raz jeszcze proszę mamę o rozwagę i informowanie mnie od razu, jeśli Mariusz pojawiłby się przypadkiem w domu. Mama zapewnia mnie, że zamknie bramkę na klucz i spuści na noc psa. Nikt nie wejdzie do domu. Będzie spała z dziewczynkami w jednym pokoju. *Dziękuję* – odpisuję i wrzucam telefon do torebki.

Zegarek w samochodzie wskazuje jedenastą trzydzieści, mamy więc przed sobą cały, długi dzień wyłącznie dla siebie. Zastanawiam się, o której wyjeżdżają jego rodzice, ale nie bardzo wypada mi o to pytać.

U Angeliki zamawiam białą kawę, jajka i parówki. Wszystko smakuje wyśmienicie, jednak nie jestem bardzo głodna i połowę jedzenia przekładam na talerz Adama. On zjada za mnie wszystko, nie protestuje.

– Martwisz się? – pytam, dopijając kawę. – Pewnie niefajnie to wyglądało?

– Niefajny to może być film. Albo buty. Ale jeśli widzisz swoją dziewczynę, która traci przytomność z bólu i upada, a po jej skroni spływa strużka krwi, to nie nazwałbym tego niefajnym, tylko przerażającym albo niewyobrażalnie potwornym.

– Czyli ty też widziałeś krew?

– Na sto procent tam była. Na pewno mi się to nie przywidziało.

– Potem wszystko zniknęło, wiesz, kiedy już dopłynęliśmy do brzegu i obudziłam się.

– Coś w ogóle pamiętasz? – pyta, ścisząc głos. W barze przesiaduje teraz kilka osób.

– Najbardziej w pamięć zapadł mi pierwszy cios: niesamowicie silny, taki ciężki i tępy. Ból był potem okropny, aż mi zadzwoniło w uszach, a przed oczami zrobiło się ciemno. To, czym dostałam, to był jakiś wielki kamień albo cegła. Pamiętam, że to było zimne i gładkie, ale nie aż tak bardzo jak metal. Potwornie twarde i ciężkie.

– Hm... – zastanawia się Adam, pochylając głowę w moją stronę. – Teraz już zupełnie nic po tobie nie widać, ale uwierz mi, kiedy byliśmy w łódce, wpadłem w panikę. Naprawdę wyglądałaś jak ogłuszona i umierająca. To był przerażający widok.

– Myślisz, że to możliwe, że mój tata pokazuje mi, co mu się naprawdę przydarzyło? – pytam, z niecierpliwością oczekując na odpowiedź.

– Oczywiście jest to zupełnie niemożliwe! Co nie zmienia faktu, że jest to zarazem najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

– Adam, powinniśmy tam wrócić. To nie był jeszcze koniec opowieści mojego ojca. Czuję to.

– Nie ma mowy, w życiu się na to nie zgodzę. A co, jeśli on chce sprowadzić cię na dno, pokazać ci, gdzie leży? Nie możemy ryzykować starcia z duchem. To przeciwnik, o którym nie mamy zielonego pojęcia.

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba żebyśmy pojechali teraz na specjalistyczną konsultację – odpowiadam, uradowana. Humor momentalnie mi się poprawia. Jednym haustem dopijam swoją kawę i podbieram jeszcze łyk Adamowi. – Chodź, jedziemy do szpitala. I tak miałam udać się na kontrolę do doktora Jankowskiego. A przy okazji spróbujemy zasięgnąć opinii kogoś, kto całkiem dobrze zna się na duchach.

– Rozumiem, że mówisz o siostrze Stelli?

– Jakżeby inaczej – odpowiadam i jak na komendę podnosimy się od

stolika.

Mimo że jedziemy prywatnym samochodem Adama, a nie karetką na sygnale, dojazd do szpitala zajmuje nam niecałe dziesięć minut. Małe odległości stanowią zdecydowany plus życia w małym miasteczku.

Po drodze zahaczamy jeszcze o dom Adama. Rodzice zadzwonili, żeby przyjechał po klucze – oni już wyjeżdżają, a on zapomniał zabrać swoich. Oczywiście nie wierzę w tę wersję wydarzeń. Przypuszczam, że po prostu chcieli mnie zobaczyć przed wyjazdem na majówkę. Nie dziwię im się, pewnie bali się o syna: spotkanie się z zamężną dziewczyną, która ma dwójkę dzieci i dla której jedyny syn przeprowadza się do innego miasta, przypuszczalnie nie jest dla mnie najlepszym PR-em. Mówię o tym Adamowi, on śmieje się, ale nie zaprzecza.

Z samochodu wychodzimy w milczeniu. Naprędce staram się wymyślić kilka tematów do rozmowy, tak na wszelki wypadek, jeśli zapanowałaby krępująca cisza. Od razu przychodzą mi na myśl pozytywne komentarze dotyczące wystroju domu, pytanie, gdzie jadą na weekend majowy, czy od zawsze tu mieszkali i czy mają psa. Nie udaje mi się wymyślić już nic więcej: mama Adama wychodzi z domu i wita nas z uśmiechem w progu. Jestem zaskoczona jej wyglądem: oceniam ją na czterdziestoparolatkę, na dodatek miastową i zadbaną. Ani śladu po małomiasteczkowych klimatach. Musiała być bardzo młoda, kiedy urodziła Adama.

– Cześć, mamó – wita się Adam, kiedy podchodzimy do drzwi wejściowych.

Staję na górnym schodku i uśmiecham się nerwowo. Adam z kolei staje na wysokości zadania i dodaje mi otuchy, obejmując mnie w pasie i przedstawiając mnie:

– A to jest właśnie Marta. Bardzo chciała was poznać, zanim uciekniecie w góry na majówkę – mówi ze śmiechem, a mnie naprawdę nie wypada dawać mu teraz po nosie.

Jego mama wyciąga dłoń w moją stronę, chcę ścisnąć ją mocno, pokazać, że twardo stąпам po ziemi, ale wychodzi jak zawsze: delikatnie tylko, wręcz anemicznie daję się uścisnąć i bez słowa, z nieśmiałym uśmiechem na ustach przekraczam próg domu.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna w średnim wieku, będący tak

w okolicach pięćdziesiątki.

– Dzień dobry – odpowiadam, tym razem silniej chwytając wyciągniętą w moim kierunku dłoń. – Poznaję pana – stwierdzam zgodnie z prawdą.

– Ja panią też.

Przestajemy się uśmiechać, mama Adama gestem zaprasza nas na ciasto i herbatę. Przez cały czas ojciec Adama bacznie mi się przygląda, co sprawia, że nie czuję się komfortowo w jego obecności. W końcu zdradza powód, dla którego obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Sprawa twojego ojca była pierwszym poważnym i nierozwiązanym przeze mnie zaginięciem. Do tamtego czasu nie zdarzyło się, żeby ktoś z okolicy zaginął i nie został odnaleziony. – Po chwili wahania, jakby rozważał, czy warto zadawać to pytanie, czy nie, decyduje się w końcu: – Od tamtego czasu nie miałaś od niego znaku życia?

Czuję, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Robi mi się chłodno, kątem oka zauważam falującą w oknie tiulową firankę. Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, zwłaszcza że „znak życia” w kontekście ostatnich wydarzeń brzmi bardziej niż abstrakcyjnie. „Znak śmierci”, owszem, dostałam. „Znaku życia” raczej nie było.

Adam zauważa moje przedłużające się milczenie i wtrąca się do naszej rozmowy:

– Tato, będzie jeszcze czas, żeby o tym porozmawiać. Rozpoczynamy teraz weekend majowy, więc proszę cię, skupmy się na miłych tematach, dobrze? Chyba nie chciałbyś popsuć mojej dziewczynie humoru podczas pierwszej wizyty w naszym domu, co? – pyta, uśmiechając się, ale też ważąc każde wypowiedzane słowo. Widać, że ojciec budzi w nim respekt.

– Nie chciałbym. Oczywiście, że nie – odpowiada ojciec, choć jego mina mówi coś odwrotnego.

Z opresji ratuje nas mama Adama, która przynosi jeszcze jeden talerz z ciastem i pęk kluczy, który kładzie na szklanym stoliku.

– Pamiętaj, żeby zamykać na noc okna, w maju często zdarzają się burze. – Adam kiwa potakująco głową. – No, to my się będziemy już zbierać – stwierdza, patrząc w kierunku męża.

– Mam nadzieję, że ponowna okazja do rozmowy nadarzy się już wkrótce. –



Ojciec Adama wypowiada się już nieco cieplejszym tonem. – Opowiesz mi o swoich pierwszych wrażeniach z pracy w policji – dopowiada, próbując przełamać lody.

Niestety, trudno mu będzie zatrzeć pierwsze, złe wrażenie. Boję się go, bo źle mu z oczu patrzy i nic na to nie poradzę, że jego obecność wzbudza we mnie podświadomy lęk.

– Zapraszamy do nas – dodaje mama. – Następnym razem przyjedź razem z dziećmi – zachęca i uśmiecha się ciepło.

Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Wyrozumiałość jest chyba najbardziej cenioną przeze mnie cnotą.

Żegnamy krótko rodziców: są już spakowani, wystarczy, że wsiądą do samochodu i odjadą.

– Kiedy wracają? – pytam, gdy jeep cherokee znika już z pola widzenia.

– W piątek wieczorem.

– A nie wiesz, o co chodziło twojemu ojcu? Odniosłam wrażenie, że jakoś dziwnie mi się przyglądał...

– Ojciec to ojciec. Ma swoje teorie i jak coś sobie ubzdura, to ciężko mu to wybić z głowy.

– To znaczy? Mów jaśniej.

– On... jak by to powiedzieć... ma pewne podejrzenia dotyczące tego, co wydarzyło się z twoim ojcem.

– Naprawdę? W ogóle nie przypuszczałabym, że może chodzić o tę sprawę. Bardziej obstawiałam, że ma pretensje o to, że jestem jeszcze mężatką... I że przeprowadziłeś się do Krakowa z mojego powodu.

Adam uśmiecha się.

– Nikt nie ma do mnie pretensji o to, że szukam szczęścia tam, gdzie mogę je znaleźć – odpowiada filozoficznie. – Jeszcze wtedy, gdy sprawa zaginięcia była otwarta, ojciec miał już pewne podejrzenia. Podzielił się nawet nimi ze swoim komendantem, ale ten nie dał im posłuchu. Nie było dowodów ani możliwości, żeby te dowody uzyskać... W końcu, jak wiesz, sprawa została zamknięta, a twojego ojca sąd uznał za zmarłego. Mój tata jednak nie odpuścił: obiecał sobie dowiedzieć się za wszelką cenę, co tak naprawdę się

wydarzyło. Minęło już kilka lat od tamtego czasu, a on nadal jest w tę kwestię mocno zaangażowany.

– A co to za domysły? Może powinniśmy powiedzieć mu to, co sami podejrzewamy?

Adam chwilę milczy, zanim udziela mi odpowiedzi:

– O podejrzeniach najlepiej sam ci kiedyś opowie. Ja nie chciałbym w to ingerować. A w kwestii drugiej – też o tym myślałem, ale wciąż mam wątpliwości. Nie zrozum mnie źle, Marto – mówi spokojnie. – Ja ci wierzę i sądzę, że moi rodzice również by ci uwierzyli. Zwłaszcza po tym, czego dziś rano oboje doświadczyliśmy... Jednak uważam, że nie powinniśmy im nic mówić, dopóki nie zdobędziemy konkretnych dowodów. Wiesz już trochę, jak to wygląda od strony pracy policjantów. Możesz sobie różne rzeczy domniemywać, podejrzewać, ale dopóki nie potrafisz czegoś udowodnić... to nie ma to racji bytu.

– OK, ma to sens – przyznaję, będąc już myślami w szpitalu w miasteczku.

Mam nadzieję, że siostra Stella ukaże nam się i tym razem.

\*\*\*

Najpierw odwiedzam doktora Jankowskiego. Na szczęście ma dziś dyżur; zastaję go w jego gabinecie, jest tuż po obchodzie. Jasne ściany kontrastują z ciemnym brązem dębowego biurka.

– Pani Marto, sprawa wygląda tak, że... – mówi, w trakcie kiedy ja usadawiam się wygodnie na krześle, naprzeciw jego ogromnego lekarskiego biurka. Leżą na nim stosy recept, stetoskop i dwa oprawione w skórę kalendarze. – ...niby wszystko jest w porządku, nie ma w mózgu krwiaka ani urazu, ale gruczoł szyszynki jest nieco powiększony.

– Co to oznacza?

– W zasadzie to nie wiemy. Gruczoły mają to do siebie, że ich wielkość może zmieniać się z czasem, pod wpływem różnych czynników. Jest to związane z ilością dostarczanych przez nie hormonów. Szyszynka produkuje melatoninę, hormon snu. Jednak jest także odpowiedzialna za produkcję silnej substancji psychoaktywnej, a mianowicie dimetylotryptaminy, czyli w skrócie DMT. Słyszała pani o tym?

– Coś kojarzę, ale proszę mi to wyjaśnić.

– Chciałbym przytoczyć tutaj nazwisko profesora Vetulaniego, który zajmował się naukowym wyjaśnianiem zagadkowych zjawisk psychicznych, takich jak śmierć kliniczna, oraz chemicznych podstaw wizualnych doświadczeń ze skraju życia i śmierci – recytuje.

Dopiero teraz naprawdę uświadamiam sobie, że przecież ja sama to przeżyłam: byłam na skraju, prawie go przekroczyłam, jednak postanowiłam powrócić. Czy przeżyłam to naprawdę, czy było to tylko złudzenie, spowodowane nadmierną produkcją neuroprzekaźnika o długiej, naukowo brzmiącej nazwie?

– Widzę, że temat panią zainteresował.

– Panie doktorze, czy to mogłoby wyjaśniać moje spotkanie z siostrą Stellą? – pytam.

Doktor uśmiecha się i kładzie na biurku okulary w okrągłych oprawkach, które przed chwilą zdjął z nosa. Drapie się po głowie, jakby szukał inspiracji do tego, co chciałby mi teraz powiedzieć.

– Naprawdę nie wiem. Jestem doświadczonym lekarzem, ordynatorem w miejskim szpitalu, oficjalnie nie wolno mi wierzyć w duchy, magię ani inne takie wróżby czy horoskopy. Moje podejście do życia i pracy powinno być zdecydowanie naukowe. – Odchyła się na krześle, mówiąc te słowa. – Jednak wiele się zmieniło, odkąd zacząłem pracować z siostrą Stellą. Opowiadała mi wciąż o Bogu, o niebie, o sprawach duchowych... Z początku bardzo mnie to denerwowało, jednak z czasem przywykłem, zrozumiałem, że ona taka po prostu jest. Uduchowiona. Bardzo brakowało mi jej, gdy zmarła. Żałowałem jej odejścia, jak nikogo innego – wyznaje, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem nie był w niej zakochany. – Kiedy zaczęły do mnie dochodzić słuchy od strony pacjentów, że objawia się im, od razu dałem temu wiarę. Wiem, że nie ma na to racjonalnego wyjaśnienia, ale znałem Stellę tak dobrze, że muszę przyznać, iż powracanie przez nią po śmierci w postaci zjawy po to tylko, by porozmawiać z pacjentami i podnieść ich na duchu, to jest coś zdecydowanie w jej stylu. Długo śmiałem się z tych opowieści, jednocześnie od samego początku w nie wierząc. Nigdy ich nie kwestionowałem, licząc, że Stella pokaże się kiedyś i mnie. Może to wyjaśniałoby, czemu dałem wiarę tym szalonym historiom. Po prostu tęskniłem za nią i liczyłem, że w końcu Stella objawi się przede mną.

– Nie zrobiła tego.

– Jak dotąd nie. Nie wiem czemu, może droczy się ze mną? Może czeka, aż sam do niej dołączę? – pyta, a mnie ciarki przechodzą po plecach na myśl o tym, co oznaczają jego słowa.

– Jeśli pan chce, mogę ją o to zapytać – stwierdzam, patrząc w kierunku świetlistej postaci, która właśnie ukazała się za jego plecami.

– Słucham? To ona tu jest? Pani ją teraz widzi? – dopytuje, wyraźnie poruszony. Podnosi plecy z oparcia, rozgląda się wokoło. – Pani prawie od nas odeszła, pani Marto. Niezależnie od mojej wiary w duchy czy ilości produkowanych przez gruczoły neuroprzekazników, takie wydarzenia zmieniają ludzi na zawsze. Osoby, które doświadczyły częściowego lub całościowego przejścia, stają się kimś innym, kimś więcej, już nigdy nie są tylko dawnymi wersjami samych siebie.

– Ona mówi, żeby się pan nie bał. Że na każdego przyjdzie pora i tylko Bóg jeden wie, kiedy to nastąpi. Mówi też, że ma pan o tym nie rozmyślać, bo to nie pana interesy – przekazuję, a Stella uśmiecha się, zadowolona z mojego tłumaczenia. – Nie wolno tego robić, przesadnie o tym myśleć, to szkodliwe. Poza tym... – kontynuuję, wpatrując się w świetlistą postać, która teraz przelatuje wokół pokoju – ma się pan tak nie zadreć, nie męczyć siebie. Stale się pan o coś obwinia, zamartwia, oskarża. Po co? Po co, pyta siostra? Mało ma pan zamartwień? To dlaczego szuka pan sobie kolejnych? Żeby gorzej spać po nocach? To i tak nic nie da, pan to doskonale wie. Rozwiązanie leży zupełnie gdzie indziej, nie tam, gdzie się pan go spodziewa.

Siostra znika po tych słowach. Trochę żałuję, bo nie spytałam jej o swoje rzeczy. Nie wiem, czy uda mi się ją jeszcze przywołać.

– Już jej nie ma.

– Ale była tu naprawdę? Pani ją widziała? Jak... wyglądała? – pyta niecierpliwie. Kładzie dłonie na biurku, zaciskając palce na jego brzegach, jakby chciał wbić w nie paznokcie.

– Wyglądała jak to ona. Ładnie i świetliście – odpowiadam, oddychając cicho i spokojnie. Nie wiem czemu, ale czuję, że ogarnia mnie smutek. – Ona zawsze jest taka uśmiechnięta, szczerza do bólu, z poczuciem humoru, takim trochę złośliwym. Ubrana w biały habit, uszyty z lekkiego, świetlistego materiału. Wyglądała młodo i naprawdę pięknie – mówię zupełnie szczerze.

Możliwość obcowania z duchem, i na dodatek pięknym duchem, jest dla

mnie czymś naprawdę wyjątkowym. A może ja doszczętnie już oszalałam?

– Dziękuję. Wszystko, co pani powiedziała, ma dla mnie duży sens.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. Mam nadzieję, że siostra jeszcze mi się ukaże, bo sama chciałam zapytać ją o kilka spraw.

Doktor nic już nie odpowiada. Wręcza mi zaległe wyniki badań i życzy dużo zdrowia i spokoju. Kiedy myśli, że już na niego nie patrzę, ociera oczy rogiem rękawa. Biały kitel lekarski jest mocno pogięty na bokach. Doktor musiał mieć długi dyżur za sobą.

– Proszę mnie kiedyś jeszcze odwiedzić, jeśli byłaby pani w okolicy – mówi, a ja przypuszczam, że chodzi o to, żeby ponownie umożliwić jego spotkanie ze Stellą.

Coraz bardziej zaczynam wierzyć w to, że jest w niej zakochany. I co z tego, że była zakonnica? Czy ich nie wolno pokochać? Doktor drapie się za uchem i pomimo tego, że jest już sporo po sześćdziesiątce, minę ma teraz jak licealista, z policzkami rozpalonymi od emocji.

Wychodzę z gabinetu. Na korytarzu czeka na mnie Adam, który podnosi się z miejsca na mój widok.

– I jak? Wszystko OK? – pyta, obejmując mnie.

Jest ciepły i opiekuńczy, uwielbiam go za to. Wtulam w niego głowę i czuję, jak moje ciało rozluźnia się. Staje się miękkie, giętkie, naenergetyzowane.

– Chyba tak. Mam nieco powiększoną szyszynkę, co może powodować przywidzenia. Ale nie ma krwiaków ani obrzęków.

– To chyba najważniejsze – stwierdza i całuje mnie w usta.

Tak dawno się nie całowaliśmy... Dopiero teraz uświadamiam sobie, że w końcu będziemy mieli dla siebie czas. Adam chyba myśli o tym samym, bo oczy tak mu się fajnie świecą i czuję ciepło, które zachęca do ponownego przytulenia się do niego. Biorę go za rękę i wychodzimy ze szpitala.

– A siostra Stella? – pyta, kiedy zmierzamy w kierunku samochodu.

– Nie mam już ochoty na rozmowy z nią, tym bardziej na poruszanie porannych tematów. Potrzebuję w końcu chwili tylko dla siebie. – Staję na palcach, oddając mu pocałunek. – I dla nas.

\*\*\*

Dom zastajemy zupełnie pusty, pachnie świeżo i jest odsprzątany. Adam prowadzi mnie do swojego pokoju. Ciekawe, czy będzie wyglądał jak za czasów, kiedy był jeszcze nastolatkiem? Kiedy byliśmy tu z samego rana, nie było okazji, żeby zajrzeć do jego pokoju. Nie znajduję jednak plakatów ze *Star Wars* ani figurek z *Warhammera*. Jego pokój jest schludny, urządzony w nowoczesny sposób i zdecydowanie widać, że należy do kogoś dorosłego. Czuć jednak, że brakuje w nim kilku przedmiotów, jakby właściciel opuszczał go w pośpiechu. Szkoda tylko, że łóżko jest takie małe, jednoosobowe.

Adam pokazuje mi swój pokój, a ja zastanawiam się, co będziemy teraz robić. Nie lubię tych momentów, tych początków, kiedy jeszcze nie wszystko jest ustalone, wypowiedziane, gdy nie do końca wiemy, na czym stoimy. On chyba jednak czyta w moich myślach, a może po prostu jest do mnie podobny? Zachodzi mnie od tyłu i obejmuje, całując jednocześnie po szyi. Staję się ciepła i miętka, ostatecznie zamykam w głowie pudełeczka z napisami: *Mariusz, dzieci, ojciec*. Chcę, żeby ta chwila należała tylko do mnie i do niego.

Odchylam głowę, ustami szukając jego ust. Szybko udaje nam się odnaleźć, uwielbiam czuć jego język w sobie. Przyciąga mnie do siebie mocniej, przytula, chciałabym, żeby nigdy mnie nie puścił. Odwracam się w jego stronę, Adam zaczyna zdejmować ze mnie ubranie: najpierw sweter i bluzkę, potem spodnie, w końcu zostaję na bosaka, w samej bieliźnie. Pomagam mu ściągnąć koszulę, która spada na ziemię bardzo szybko. Ma twarde, umięśnione ciało i sporej wielkości tatuaż na lewym ramieniu. Przytulam się do niego i wącham jego ciało: pachnie jak młody bóg z moich najpiękniejszych snów. Liżę jego tors, sutki, schodzę niżej i zdejmuję mu spodnie i bokserki. Podnoszę się z powrotem i patrzę mu w oczy, uśmiechając się zawadiacko. I choć głupio to brzmi, to rzeczy, które potem robimy, są tysiąc razy głębsze niż to jedno słowo.

\*\*\*

Nie wiem jak wy, ale ja nienawidzę leżeć po seksie w łóżku, kiziać się i przytulać. Naprawdę nie wiem, czemu tak to jest zawsze pokazywane na filmach. Nie istnieje alternatywa, no, chyba że facet jest bandytą i spieszy mu się na kolejny napad. Mój facet nie jest bandytą, przeciwnie: jest policjantem,

a mimo to też nie może usiedzieć teraz w miejscu.

– A gdzie twoje kajdanki? Miałeś je zabrać ze sobą – mówię z wyrzutem.

– Spodziewałaś się czegoś bardziej odjechanego?

– Niczego się nie spodziewałam ani nie planowałam. Ale widok ciebie z pistoletem, nie będę ukrywać, jest dosyć pociągający. – Rzucam w niego czarną bluzą z kapturem.

Adam zakłada ją i patrząc na mnie wymownie, chowa broń do tylnej kieszeni spodni.

– Może się przydać – stwierdza, poklepując się po tyłku.

Widok jego w tej bluzie, uśmiechniętego, siedzącego na swoim własnym łóżku, które – dodam na marginesie – okazało się nie znowu aż takie małe, jest na tyle kuszący, że siadam mu na kolanach i wtulam się w niego, ciesząc się, że w końcu mam dużego, wysokiego chłopaka. Takiego, o jakim całe życie marzyłam.

– *Dlaczego więc wyjechałaś z Mariuszem do miasta? Przecież Adam mieszkał parę kilometrów od ciebie. Nie lepiej było na niego poczekać?* – pyta mnie wewnętrzny głos.

Robi mi się smutno i przykro.

– *Teraz to wiem i widzę, ale wtedy było inaczej. Bałam się, że nikogo więcej nie spotkam, poza tym Mariusz wydawał się taki fajny, taki inny, taki miastowy.*

– *I wybrałaś miastowego zamiast ukochanego chłopaka z marzeń. No, brawo! Gratuluję inteligencji i rozsądku.*

– *Czy wewnętrzny głos nie powinien być nieco bardziej wspierający?* – pytam w środku, nie czekam jednak na odpowiedź.

Nie chce nam się gotować, więc wybieramy się do miasta, żeby coś zjeść. Po drodze dzwonię do domu: wszystko jest w porządku. Dziewczynki bawią się u koleżanki, tej samej co wczoraj, mama ma je odebrać po podwieczorku. Obiecuję wrócić w porze kolacji. Zastanawiam się, czy to by wypadało, gdybym przyjechała razem z Adamem? Na pewno nie. Poza tym trzeba myśleć o dzieciach, mamusia pojawiająca się nagle z nowym panem – to nie będzie najlepsze dla ich psychiki. Co nie zmienia faktu, że Adam mógłby

mieć na to ochotę. Jednak wszystko w swoim czasie. Pewnych spraw po prostu się nie przyspieszy.

– Dobra ta zupa – mrużę, rozglądając się po sali.

Wystrój jest typowo małomiasteczkowy, ale po kilku latach mieszkania w Krakowie, wszystko, co niekrakowskie, zdaje się małomiasteczkowe.

– Nie wiedziałam, że robią już u nas zupę soczewicową.

– Zdziwiłabyś się. Mamy już nie tylko kebab, ale nawet jeden bar wegański. I to nie wegetariański, tylko właśnie wegański. Kochanie, widać, że dawno cię tutaj nie było.

– Nie tęsknisz?

– Tęsknię. Ale nie przeszkadza mi to. Wolę być bliżej ciebie.

„To miłe” – chcę odpowiedzieć, ale zostawiam ten komentarz dla siebie. Czasem lepiej milczeć, żeby nie psuć czegoś, co piękne i ulotne. Delikatne.

– Mamy jeszcze kilka godzin, co będziemy robić? – pyta, wyglądając przez okno.

Pogoda jest nadal wietrzna i pochmurna, zbiera się na deszcz, a może nawet i na burzę.

– Możemy wrócić do mnie i posiedzieć sobie razem... – mówi, uśmiechając się znacząco. – Możemy też pojechać gdzieś na spacer albo wrócić nad jezioro. Choć jest to opcja, która najmniej do mnie przemawia.

– Zastanawiam się tylko, po co mielibyśmy tam wracać. Rano wszystko wydawało mi się takie realistyczne i ważne, a teraz... ta sprawa coraz mniej mnie zajmuje. Myślisz, że kiedy wypłyniemy na jezioro, coś może się znowu wydarzyć? Nie chciałabym tracić przytomności drugi raz w ciągu tego samego dnia...

Opracowanie wyważonej odpowiedzi zajmuje Adamowi chwilę. Kiedy się w końcu odzywa, czuję, że to, co mówi, jest prawdziwe także i dla mnie.

– Nie lubię zostawiać otwartych spraw. Jeśli coś wychodzi na powierzchnię, wynurza się, to zwykle po to, żeby zostało zauważone. Ignorowanie tego sprawi, że to coś przemówi znowu, ale ze zdwojoną siłą. Jeśli coś chce być zauważone, to znaczy, że mamy się temu przyjrzeć. Nie zamiatajmy tego pod dywan, bo i po co?



– Tajemnice są po to, żeby je odkrywać, tak?

– Dokładnie – odpowiada, śmiejąc się. – Zboczenie zawodowe, wiesz jak jest.

– Adam, boję się, że to coś znowu się odezwie. A najbardziej obawiam się tego, że będzie tak jak w horrorach, które oglądałam, będąc małą dziewczynką: że zobaczę ducha z pustymi oczodołami albo zombie o czarnych dłoniach i zakrwawionych paznokciach, z pleśniejącą, białozieloną twarzą i że zrzuci mnie z łódki, wciągnie pod wodę i będzie próbował utopić. Mnie się noga zaklinuje, utknę w mule na dnie, całe metry pod powierzchnią wody. Lata zajmie odnalezienie mojego ciała, o ile w ogóle okaże się to możliwe.

– Może przypadkiem odnalazłaś odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie? Może właśnie to się wydarzyło i teraz to coś próbuje na wszelkie możliwe sposoby dać o sobie znać? Poprosić o pomoc? O zauważenie?

– Po pierwsze: nie „to coś”, tylko mój ojciec. A po drugie, chyba masz rację. Lepiej pojechać tam i zająć się tym raz i porządnie. Jeśli to ja byłabym topielicą, to z pewnością nie odpuściłabym i robiłabym wszystko, żeby ktoś odkrył prawdę.

– A zatem postanowione. Kończymy jedzenie i wracamy nad jezioro. Dajmy duchom przemówić.

\*\*\*

– Adam, boję się – mówię, kiedy siadamy oboje w łódce.

Niebo jest pochmurne, słońce nie odbija się w tafli jeziora, przez co widoczność jest ograniczona. Woda jest nieprzejrzysta, mętna, złowroga. W szuwarach dostrzegam rój błękitnych ważek, które szybko strzygą skrzydełkami kilka centymetrów ponad powierzchnią jeziora. Mam niedobre przeczucia.

– Adam, ja naprawdę się boję – powtarzam, ciągnąc go za rękaw. On jednak nie reaguje na moje biadolenie. Odgrywa teraz rolę zimnego sukinsyna, wytrawnego policjanta, który nic nie robi sobie z dziewczynskich lamentów.  
– Pamiętaj, że w przeciwieństwie do ciebie ja nie jestem policjantką – przypominam rzeczowym tonem.

Adam zatrzymuje się, nie odpycha jeszcze łodzi od brzegu, spogląda mi

w oczy.

– Moja mama zawsze to powtarzała tacie. Nawet nie wiesz, ile razy to słyszałem.

– To zrób coś.

Ułamki sekund zajmuje mu znalezienie rozwiązania. To, że otrzymał stanowisko szefa zespołu operacyjno-rozpoznawczego w wydziale kryminalnym, o czymś jednak świadczy. Ku mojemu zaskoczeniu Adam wyjmuje z kurtki najprawdziwsze w świecie metalowe kajdanki i momentalnie spina nimi nasze ręce. Wszystko dzieje się tak szybko i automatycznie, jakby miał w tym bardzo dużą wprawę. Nie zdążę nawet zaprotestować, a w ułamku sekundy moja prawa ręka sczepiona jest z jego lewą. Silnym kopnięciem odbija nas od brzegu i wypływamy na jezioro. Nadal się boję, ale świadomość tego, że Adam jest tuż obok i że jeśli duch taty zombie wciągnie mnie do wody, to razem z nim, działa na mnie kojąco.

– Popłyniemy w to samo miejsce, co rano. Na sam środek jeziora – stwierdza, ale muszę mu przerwać.

– Adam, płyn na środek, ale potem odbij w prawo, tak na trzynastą – mówię, ręką przysłaniając oczy.

Wiem, że jest pochmurno, ale dostrzegam takie miejsce na jeziorze, które po prostu się świeci – słońce odbija się tam od tafli wody, a może coś migotliwego znajduje się tuż pod powierzchnią? W każdym razie czuję, że tam właśnie mamy płynąć.

Dopływamy po kilku długich minutach. Tym razem jest inaczej. Nie dzieje się nic groźnego, strasznego czy przerażającego. Może dlatego, że Adam jest tuż obok? Jeśli miałabym nadać najgłupszy, ale zarazem najtrafniejszy tytuł tej części historii, nazwałabym ją: *Kajdanki miłości*.

Czuję, jak moje ciało sztywnieje, łzy napływają mi do oczu. Ponownie widzę mojego ojca, jednak tym razem jest spokojny, uśmiechnięty, z czoła nie leci mu krew. Widzę go na samym środku tej jasnej, świetlistej plamy na wodzie. Podpływamy tuż do niej i spoglądamy w wodę: jest jednak zbyt mętna i głęboka, żeby cokolwiek było tam widać.

Nagle tata pojawia się wewnątrz łódki: siada obok mnie, aż podskakuję do góry, zaskoczona. Patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się. Wiem, że dotarłam

do celu. Że znalazłam miejsce, w którym odnajdę zatopione odpowiedzi. Wiem, że to jest miejsce, w którym umarł mój ojciec. On też to wie i wie, że ja wiem. Oboje teraz wiemy, że wiemy. Pozostaje jeszcze powiedzieć o tym Adamowi. Jednak nie mogę przestać się śmiać; nie wiem, czy to z nerwów, czy z potwornie wielkiej ulgi, jakby spadł mi z serca kamień wielkości domu. Był tam chyba od lat, odkąd zaginął ojciec i wieść o nim.

– Mój tata tu jest – informuję i w tym momencie on znika. – Był. Powiedział, a w zasadzie wskazał mi to właśnie miejsce. Adam, on musi być gdzieś tam, na dole. Wiem to, jestem tego pewna. – Po chwili milczenia z jego strony dopytuję: – Co robimy?

– Na pewno nie będziemy sami wskakiwać do wody. Na środku jezioro jest bardzo głębokie, może dochodzić nawet do kilkudziesięciu metrów. Trzeba będzie zatrudnić do tej pracy nurków.

– Nurków? Jezus Maria, a co my im powiemy? Że mają szukać ciała? Przecież ono może być już zupełnie rozłożone! – Staram się nie wyobrażać sobie tego zbyt szczegółowo.

– Ale, kochanie, to nie będą zwykli nurkowie. To będą chłopcy z najlepszego kryminalnego wydziału w Polsce. – Widząc moje zaskoczenie, dodaje: – Tak się składa, że jeden z nich jest moim bliskim przyjacielem. Razem kończyliśmy szkołę policyjną w Pile. Zaraz do niego zadzwonię i wspólnie omówimy całą sprawę. Do tego zadania trzeba się będzie porządnie przygotować.

\*\*\*

Wieczór jest trudny. Zupełnie nie mamy ochoty się rozstawać. Wiem, że po powrocie do domu będę płakać w poduszkę. Jestem jednak mamą i o ile umiem poradzić sobie z trudnymi emocjami, o tyle moje dziewczynki są na to jeszcze za małe. Nie mogą nie mieć mnie przy sobie w nocy. Wracam więc.

Jadę samochodem, czując, jak łzy spływają mi po policzku. W brzuchu czuję ciepło, serce woła mnie z powrotem do Adama. Rozsądek i odpowiedzialność każą jechać mi jak najszybciej do dziewczynek. Czy to, że wołałabym teraz być przy nim, oznacza, że jestem złą matką, że mogę kochać córki mniej niż... jego?

Roześmiana Wikusia cieszy się, że mnie widzi. Skacze mi na szyję i zaraz zagląda do torebki, szukając dla siebie lizaka albo cukierka. Julka jest nieco

nadašana, może ma do mnie pretensje o to, że zbyt długo nie było mnie w domu? Choć równie dobrze może chodzić o coś zupełnie innego.

Jak na złość dziewczynki wcale nie chcę prędko zasnąć. Jedna marudzi, drugą coś brzuch pobolewa i jak tu dzwonić do Adama albo zastanawiać się nad naszą przyszłością, gdy trzeba stale odpowiadać na jakieś pytania, jedną ręką głaskać jedno, a drugą drugie dziecko? Biorę głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić. Wiem, że siłą nic tu nie wskóram. Na spokojnie ustawiam sobie tymczasowe priorytety i na pierwszym miejscu lądują dziewczynki i ich zdrowy sen.

Zsuwam łóżka córek razem z moim, ustawiamy je pośrodku pokoju. Przykrywamy się jedną kołdrą i kładziemy głowy na poduszkach. Moja jest kwadratowa, a dziewczynki mają prostokątne, wszystkie wypchane kaczym pierzem. Moja ma białą poszewkę w różyczki, Julci dostała się kremowo-żółta w niebieskie irysy, a Wiktorii trafiła się zielona w złoto-białe ważki. Siedzą sobie gromadką na przezroczystym kamyku, który wygląda jak kostka lodu.

„Ważki na kostce lodu” – śmieję się sama do siebie z kolejnego przepięknego tytułu. Może zacznę pisać książki? Ostatnio wiele się dzieje w moim życiu, może warto byłoby spisywać te historie dla potomnych? Potem przypomina mi się, że przecież Adam ma na nazwisko Ważki. Nie decyduję jednak, czy traktować to jako znak z nieba, czy nie, bowiem szybciotko zasypiam. Śnię lekko, pięknie i słodko, aż do samego rana.

Wstaję pełna energii, uśmiechu i dobrych życzeń dla świata. Czuję się tak, jakbym dopiero co zjadła talerz pączków z lukrem i nadzieniem z dzikiej róży, jednak takich, które mają zero kalorii i które mogę jeść zupełnie bezkarnie. Na ustach czuję smak Adama i wyobrażam sobie, że kładzie się teraz obok i przytula mnie. Boże, ja tak uwielbiam, kiedy on się śmieje.

## 15.

Z Adamem spotykamy się dopiero w poniedziałek. Chyba nie muszę mówić, że od razu rzucam mu się na szyję? On odwzajemnia uścisk i podnosi mnie – staram się nie narzekać, że jestem na to za ciężka. To takie dziwne spotykać się z kimś, kto cieszy się na twój widok. W zasadzie jest chyba pierwszą osobą, oprócz moich córek, która szczerze cieszy się, że mnie widzi. Co – na marginesie dodam – nadal jest dla mnie zaskakujące. Czemu ktoś miałby cieszyć się z powodu, że mnie widzi? Chyba tylko z przyzwyczajenia, z wyuczonej grzeczności albo jeśli przynosiłabym tej osobie słodycze. W przypadku Adama żadna z tych teorii nie sprawdza się.

– Julcię coś brzuch poboлева, zarządziłam, żeby nie jadła surowych owoców i warzyw aż do jutra – opowiadam. – Trochę narzeka, że nie może jeść jabłek, lodów też jej zabroniłam. Z kolei z Wikusią wszystko jest OK. Biega po podwórku, wciąż roześmiana, grają w piłkę, z samego rana z babcią karmią kury...

– Fajnie. Cieszę się. – odpowiada.

Ciekawe, czy widziałby siebie w roli ojca? Czy pokochałby moje córki? Czy polubiłby je? Czy chciałby mieć też swoje dzieci? Przypuszczam, że tak.

– Adam, ile ty w ogóle masz lat?

– Trzydzieści trzy – odpowiada.

– Uuu, to mam teraz starszego faceta. Jak to jest być po trzydziestce, co? Czujesz, że życie już za tobą? – pytam prowokacyjnie, ale szybko żałuję tego kroku.

W momencie ląduję na podłodze: Adam przytrzymuje moje nadgarstki nad głową, trudno mi się śmiać, kiedy nie mogę się ruszyć.

– Widzę, że jednak masz z tym problem. No, szkoda, ale co zrobi... – Nie kończę, bo jego język jest już na moich ustach.

Dotyka mnie czule i kusząco, nawet przez moment nie zastanawiam się, czy jest mi dobrze. To się po prostu czuje. A kiedy tak jest – nie trzeba zadawać pytań.

Tego dnia mało mówimy. W zasadzie nie wychodzimy z jego pokoju. Na

zmianę kochamy się i przytulamy, opowiadamy sobie trochę historii z dzieciństwa, rozmawiamy o planach na przyszłość. O marzeniach.

– Chciałabym pracować w policji i rozwiązywać skomplikowane sprawy kryminalne. Chciałabym mieć przepiękny, duży dom, po którym można by biegać. Chciałabym hodować kwiatki, mieć ich pełno w domu i na zewnątrz – w ogrodzie, który usytuowany byłby nad rzeką, niedaleko lasu. Chciałabym ciągle chodzić bosą i nie musieć się wcale malować. Chciałabym rozwieść się, a potem ponownie wyjść za mąż. Urządzić ślub w plenerze i wesele z przepiękną koronkową suknią z trenem długim na kilka metrów, z obszywanym koronką welonem w stylu księżniczki brytyjskiej, niosąc fioletowe bratki w dłoni i w sercu.

– Chciałbym móc patrzeć na ciebie codziennie rano, widokiem twojej roześmianej twarzy rozpoczynać każdy nowy dzień. Chciałbym mieć dom pełen ludzi, gwaru i śmiechu. Dom ciepły i przytulny, do którego zawsze chciałoby się wracać. Chciałbym być kimś – kimś znanym, kimś ważnym, kimś, kto jest z siebie zadowolony, dumny i wie, czego chce od życia. Chciałbym podróżować po całym świecie, zwiedzić Alaskę, przejść pieszo przez Wenezuelę, spróbować mango w Tajlandii i marakui na Bali. Chciałbym kochać się z tobą aż do skończenia świata.

\*\*\*

– Skontaktowałem się z Bartkiem. To ten kolega, o którym ci wspominałem. Na co dzień pracuje w komendzie miejskiej policji w Warszawie. Przynależy też do międzywydziałowego zespołu nurkowego. Jest wysyłany na podwodne poszukiwania ciał. W czasie wolnym przeszukuje wraki statków, nurkuje w ciepłych wodach Azji, a ostatnio zaczął się zajmować freedivingiem, nurkowaniem bez butli, na wstrzymanym oddechu. Lubię go za to, iż wierzy, że kiedyś odnajdzie pod wodą prawdziwy zatopiony skarb.

– Skrzynię pełną złota i diamentów?

– Dokładnie tak – odpowiada, a ja już czuję, że lubię tego Bartka.

– Powiedział, że teraz jest zajęty, ale w drodze powrotnej z długiego weekendu do Warszawy mógłby do nas zajrzeć. Ma przy sobie sprzęt do nurkowania. Nie uwierzysz, ale pojechał akurat do Krakowa na majówkowe szkolenie z kursantami, które odbywa się na Zakrzówku. Znasz ten zalew?

– Jasne. Jest tam bardzo pięknie. To teren dawnego kamieniołomu, który później został zalany wodą.

– Może wybierzemy się tam kiedyś?

– Chętnie. Może sami zaczniemy nurkować? – pytam, uśmiechając się.

To dziwne, ale kiedy byłam z Mariuszem, wciąż widziałam same problemy, niedociągnięcia, zagrożenia. Przy Adamie wszystko jest inne: prostsze, łatwiejsze. Coraz bardziej skupiam się na tym, co mogę osiągnąć, na przyjemnościach życia, problemy stają się jedynie wyzwaniem losu, zadaniami do rozwiązania. Łamigłówkami, które życie zsyła nam dla zabawy i comiesięcznej dawki rozrywki.

– Słuchaj, chciałbym poinformować ojca o naszych poszukiwaniach. Jeśli wypłyniemy na jezioro we trójkę, dobrze byłoby mieć jeszcze jedną osobę w zapasie. Ja prawdopodobnie zanurkuję razem z Bartkiem. – Widząc moje zaskoczone spojrzenie, dodaje: – Nie jestem tak doświadczony, jak Bartek, ale mam ukończony zaawansowany kurs PADI i ładnych parę razy schodziłem pod wodę. Wiesz, mając za przyjaciela Bartka, trudno nie zainteresować się tą tematyką. Zresztą sama zobaczysz.

– Czyli wy zeszlibyście pod wodę, a ja zostałabym na powierzchni razem z twoim tatą?

– Tak. Konieczne będzie wynajęcie większej łodzi albo wypłynięcie na jezioro w dwie łódki. Musimy być przygotowani na taką możliwość, że coś uda nam się wyłowić. W łódce potrzebujemy sporo wolnego miejsca, grube worki foliowe, aparat do robienia zdjęć w trakcie zanurzania się i w razie odnalezienia dowodów. Przy okazji zobaczysz, w jaki sposób zabezpieczać materiał dowodowy.

– Dowody z wody – mówię, dochodząc do przekonania, że chyba lubię gry słowne.

– Te z wody zabezpiecza się w nieco odmienny sposób niż te znalezione na powierzchni. Mój tata jest już na policyjnej emeryturze i brakuje mu emocji, adrenaliny. Jestem pewien, że chętnie by nam towarzyszył. Przy okazji mogłabyś się od niego sporo nauczyć. A drugim powodem, dla którego chciałbym, żeby uczestniczył w naszej akcji, jest fakt, że jeśli dowie się, że się odbyła, a nie został na nią zaproszony, to... mówiąc oględnie, raczej bym tego nie przeżył. Więc jeśli choć przez chwilę pomyślałaś o związku ze mną

na poważnie, to nie mamy wyjścia i musimy zabrać go ze sobą.

– Wspominałeś, że twój tata był mocno zaangażowany w sprawę zaginięcia mojego ojca, tak?

– Tak. Większość tego rodzaju spraw zamykała się w ciągu roku – ludzie zwykle odnajdywali się w innym mieście, w szpitalu lub też znajdowano ich ciała... Po twoim ojcu ślad zagał. Nikt go nie widział, nie spotkał przypadkiem, nie było żadnych plotek wśród znajomych... Nigdy się też nie odnalazł. Ojciec zachodził w głowę, co mogło się wydarzyć. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nie rozwiązać sprawy. Intuicja podpowiadała mu, że coś jest nie tak. Że coś nie gra, nie pasuje. Jednak nigdy nie udało mu się rozwikłać tej zagadki. Powiem ci, że sprawa zaginięcia twojego taty na tyle mocno zaszła mu za skórę, że po prostu nie potrafił odpuścić. Ma pewne koncepcje, o których na pewno będzie chciał ci opowiedzieć, kiedy się bliżej poznacie.

– OK. I to była też twoja pierwsza sprawa?

– Tak, jedna z pierwszych, zaraz po przydzieleniu mnie do służby na komisariacie u ojca. Cieszyłem się, że był tu wakat i że mogłem pracować razem z nim.

– A wtedy, na torach, czy potem, w szpitalu, poznałeś mnie? Wiedziałeś, że to ja?

– Z początku nie. Tak jak mówiłem, czułem, że jesteś mi bardzo bliska i że nie mogę cię zostawić. Twoja twarz wydawała mi się znajoma, ale miałaś inne nazwisko niż wtedy, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy.

– Ja ciebie nie kojarzyłam. Ale wiesz, wtedy, dawno, musiałam rozmawiać z kilkoma policjantami i starałam się nie przyglądać żadnemu z nich... To był dla mnie trudny okres. Powiem ci, że choć minęło już kilka lat od pogrzebu ojca, to jednak ta tragedia położyła się cieniem na naszej rodzinie. Do dziś staramy się nie poruszać tego tematu, zwłaszcza przy mamie. Powiem ci też, że po ostatnich wydarzeniach jestem przekonana, że tata na pewno nie żyje i że leży gdzieś tam, na dnie – zwiierzam się i czuję, jak przechodzi mnie dreszcz. Nie chcę nawet wyobrażać sobie, co zostaje z ciała po kilku latach leżenia w wodzie.

– Może będziemy mieli okazję się o tym przekonać – mówi, poklepując mnie po ramieniu, jakby tym gestem chciał dodać mi otuchy.



Nie wiem, jak to możliwe, że on traktuje tak poważne rzeczy w tak luźny sposób. Czy to nie chore?

– Chyba zapominasz, że nie jestem twoim kolegą po fachu, a twoją dziewczyną – zauważam z kwaśną miną, zrzucając jego rękę z mojego ramienia.

– Sorry, wiem. Ale właśnie wyobraziłem sobie ciebie w policyjnym uniformie i muszę przyznać, że w tym powiedzeniu o mundurach tkwi coś bardzo prawdziwego...

Uśmiecham się. Rozluźniam. Tak bardzo lubię z nim rozmawiać.

## 16.

Kolejne dni mijają na oczekiwaniu na piątek. Wtedy ma przyjechać do nas Bartek, wtedy wracają również rodzice Adama. Oczywiście zadzwonił już do ojca z informacją o naszych ostatnich odkryciach. Jego tata, choć wydał mi się bardzo konkretną osobą o konserwatywnych poglądach, zdaje się nie mieć obiekcji względem tego, że nasze poszlaki mają pochodzenie duchowo- ezoteryczne. Muszę przyznać, że pozytywnie mnie to zaskakuje.

Święta majowe upływają mi pod znakiem doszkalania się z tematu specyfiki ogłędzin zwłok ludzkich ujawnionych w wodzie. I wiecie co? Muszę przyznać, że bardzo mi się to podoba. Zdecydowanie jest to sto razy ciekawsze od uczenia się, jak uczyć dzieci. „Dlaczego ja wcześniej nie poznałam Adama?” – zastanawiam się, a potem przypominam sobie, że przecież poznałam, tylko nie dane nam było wykorzystać tej szansy. Poza tym on mieszkał w miasteczku, nie chciał się stąd ruszać. A ja robiłam wszystko, żeby uciec ze wsi: zostawić za sobą dom, rodzinę, nieprzyjemne wspomnienia. Kto by pomyślał, że teraz, po latach, nie miałabym nic przeciwko powrotowi w rodzinne strony. Przekonuje mnie do tego nie tylko Adam i jego miłość do naszych rodzinnych stron, ale też bliskość wody, lasu i radość dziewczynek, kiedy są tutaj – dawno nie widziałam ich tak zadowolonych. Wstają z samego rana same, nie trzeba ich budzić siłą i wołami zaciągać do mycia zębów. Nie muszę puszczać im bajki, żeby zjadły śniadanie. Tutaj wszystko toczy się samo, swoim własnym rytmem. Dziewczynki zbierają jaja od kur, potem z babcią robią jajecznicę ze szczypiorkiem, zaparzają herbatę. Biegają z psem po łąkach, z koleżankami bawią się lalkami na polu – a nie w domu, codziennie zażywają ruchu i świeżego powietrza. Czy można chcieć więcej?

Niestety pozostaje Mariusz, który nadal jest moim mężem i ojcem dziewczynek. Nie odzywałam się do niego przez cały pobyt tutaj. Raz posłałam mu zdjęcie bawiących się w ogrodzie dziewczynek. Nie odpisał. Czy zapisał gdzieś? Czy imprezował z kolegami? Czy miał jakieś problemy? Zaczynałam się łamać. Poczucie odpowiedzialności za niego dawało się we znaki. Na spokojnie tłumaczyłam sobie, że to minie, że to przejściowe, że on poradzi sobie – a jak nie, to jego sprawa. W takich chwilach zupełnie zapominałam o tym, jak źle mnie traktował. Chciałam zająć się nim, mieć go

pod kontrolą, wiedzieć, gdzie jest i co robi. Było to dla mnie dziwne, że nie odzywał się i nie powiedział tak naprawdę, dokąd właściwie jedzie. A że myślami byłam już wtedy przy Adamie – nie czepiałam się szczegółów. Teraz zaczynałam obawiać się, co on może knuć. Zadzwoić do niego, nie zadzwonić?

Sprawa, jak zwykle ostatnio, rozwiązała się sama – wieczorem dostałam od niego esemesa. Pisał w nim, że jest ze znajomymi na budowie, że sporo zarobią przez tydzień, że może zostanie nawet na dłużej. Zastanowiło mnie to, jak szybko potrafił z wielkiego pana adwokata przemienić się w zwykłego budowlańca. Może nie było to prawda? Tak czy inaczej, brałam tę wiadomość za dobrą kartę. Odpisałam, że wrócimy do domu w niedzielę wieczorem, że wszystko jest w porządku, że dziewczynki pozdrawiają. Nie odpisał więcej.

\*\*\*

– Cześć – odpowiadam chłopakowi, który dorównuje Adamowi nie tylko wiekiem, ale i wzrostem.

Potrząsam mocno jego dłoń, nie chcę wyjść na słabeusza. W końcu mam teraz, co prawda jeszcze na wpół oficjalnie, chłopaka policjanta. To zdecydowanie wyklucza omdlenia na widok krwi i otwartych złamań, niechęć do rozmów o bandytach, gangsterach i pościgach, a także delikatne, anemiczne uściski dłoni. Bartek okazuje się równie pozytywnie nastawionym do życia facetem, co Adam. Może to oznaczać, że jednak podobne przyciąga podobne.

Jest piątek. Mama zabiera dziewczynki na targ do Wolbromia. Mają kupić kilka sadzonek malin i jeżyn i zasadzić je potem w ogrodzie. Obiecuję wrócić następnego dnia, w sobotę. Nie zdradzam się słowem o naszych policyjnych planach związanych z wypadem nad jezioro. Pogoda nam dopisuje: jest pochmurno i chłodno, choć bez wiatru. To dobrze, majowi letnicy nie będą nam przeszkadzać.

Rano podjeżdżam przed dom Adama. Przytulam się do niego, zanim jeszcze przekroczę próg jego domu. Mam ochotę zaciągnąć go od razu na górę, ale on powstrzymuje mnie, ręką wskazując na kuchnię: okazuje się, że rodzice wrócili wcześniej, niż z początku zapowiadali.

– Tata po prostu nie mógł doczekać się dzisiejszego nurkowania. Namówił mamę, żeby przyjechali z samego rana. Chce najpierw pojechać sam nad

jezioro, żeby zrobić wstępne oględziny miejsca, które nam wskazałaś. Do nas dojedzie Bartek i jeśli pogoda i okoliczności będą nam sprzyjały, to zanurkujemy wczesnym popołudniem. A jeśli uda nam się coś znaleźć – wyłowimy to od razu.

Przełykam ślinę i przylizuję włosy. Poprawiam spódnicę, żeby nie podjeżdżała za wysoko. Mam ze sobą torbę z rzeczami na zmianę: czarnymi, obcisłymi getrami, strojem kąpielowym, dwoma dużymi ręcznikami.

Siadamy przy stole w kuchni, stół jest drewniany, zdobiony lnianym obrusem w prążki. Mama Adama robi nam herbatę. Mocną, z jedną łyżeczką cukru. W pokoju unosi się aromat earl greya, a ja zastanawiam się, czy dopytywać tatę Adama o jego podejrzenia, czy lepiej nie. Ciekawość bierze górę.

– Adam wspominał, że ma pan pewne podejrzenia dotyczące tego, co mogło się przydarzyć mojemu tacie – mówię spokojnie, wykorzystując sytuację, kiedy Adam pomaga mamie rozpakowywać przywiezione z biwaku rzeczy.

Tata Adama kiwa głową i zakłada nogę na nogę. Wygląda teraz, z tą poważną miną, jak szeryf z Dzikiego Zachodu w czarno-białym westernie. Leciwały kiedyś takie na Jedyńce, w sobotę czy w niedzielę, pamiętam, oglądałam te filmy razem z moją babcią, puszczano je zaraz po *Doktor Quinn*.

– Tak, tak jest. Jednak powstrzymałbym się przed wydawaniem jakichkolwiek osądów, dopóki nie odnajdziemy ciała – mówi, spojrzeniem sprawdzając, czy to sformułowanie użyte w kontekście mojego nieżyjącego taty nie razi mnie za bardzo, przynajmniej tak to odbieram.

Dla mnie tata umarł kilka lat temu – pogodziłam się z jego śmiercią i nie tęskniłam za nim przesadnie. Poza tym aspirowałam do roli dziewczyny jego syna – musiałam wykazać się chłodem emocjonalnym, czułam, że tego ode mnie oczekuje. No i pracowałam już w policji. Choćby nie wiem co, nie złapie mnie na mdłościach, wzruszeniu czy kobiecej delikatności. Chcę być twarda jak skała, odważna jak lew.

– W roku, w którym zaginął tata, sroga zima nie wypuszczała nas z domów. Szalały mrozy i śnieżyce. Ojciec dużo pił, więc najbardziej prawdopodobną opcję stanowiło dla nas to, że gdzieś zapił i zamarzł. Już nieraz szukałyśmy go z mamą po lesie. Nikt nie znalazł jego ciała, więc rozważaliśmy też, czy

nie utonął przypadkiem w jeziorze... Lubił chodzić sam do lasu. Jednak ciało powinno zostać odnalezione, to duże jezioro, ale nie znowu przesadnie wielkie. Na pewno są w nim jakieś pływy, które, zwłaszcza po roztopach, wyrzuciłyby zwłoki na brzeg – stwierdzam z zimną krwią i profesjonalnym chłodem w głosie. Mam nadzieję, że nie przerysowałam odgrywanej przeze mnie roli.

– W centralnej części jezioro jest bardzo głębokie. Jeśli ciało opadłoby na dno w tamtym miejscu, istnieje realna szansa, że osiadło w mule i nie przesunęło się. Panuje tam bardzo niska temperatura wody, więc jeśli uda nam się odnaleźć zwłoki, mogą one być w stanie pozwalającym na sekcję, a możliwe, że nawet na identyfikację.

– Jak to: identyfikację? Po tylu latach przebywania w wodzie?!

– Możliwe, że procesy gnilne zostały zahamowane przez przeobrażenia tłuszczowo-woskowe. Tego rodzaju zjawisko ma miejsce, gdy ciało topielca utknie na dnie głębokiego jeziora, gdzie występuje stała, bardzo niska temperatura, oscylująca w granicach czterech stopni Celsjusza. W takim środowisku bakterie gnilne prawie się nie rozmnażają. Procesy tłuszczowo-woskowe przeobrażają i zabezpieczają ciało w taki sposób, że nawet po kilku latach możliwa jest identyfikacja zwłok.

– To niesamowite! Nigdy bym nie przypuszczała, że jest to możliwe.

– A jednak.

– A jeśli uda nam się wyłowić ciało taty, to sądzi pan, że będzie można ocenić, czy utonął sam, czy to był wypadek, czy może...

– ...ktoś mu w tym pomógł? – kończy za mnie tata Adama.

– Tak. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja wiem, że jest to mało prawdopodobne, żeby ktoś miał targnąć się na jego życie. Ale zniknął tak nagle i wszelki ślad po nim zaginął... To sprawiło, że z mamą przez pewien czas brałyśmy pod uwagę taką możliwość, że ktoś mu właśnie pomógł. Wie pan – kontynuuję, widząc, że słucha mnie bardzo uważnie – pod koniec życia tata już bardzo dużo pił. Trudno było z nim wytrzymać, mama ciągle chodziła poobijana na twarzy. On nie panował nad sobą. Może wdał się w jakąś bójkę z jednym z kolegów? A może po prostu wyszedł do lasu, przespacerował się nad jeziorem, i nie zdołał już wrócić? Szukałyśmy go przez tak wiele miesięcy, że zdołałyśmy rozważyć wszystkie możliwe opcje.

– Na pewno nie wszystkie – stwierdza chłodno, zakładając nogę na nogę. Skrzyżowane dłonie opiera na udach.

– Jak to? – dopytuję.

Nie bardzo wiem, o co mu chodzi. Mam nadzieję, że Adam wróci wkrótce i uratuje mnie przed dalszą rozmową z jego ojcem. Czuję się coraz bardziej spięta tym tematem. Liczyłam, że łatwiej pójdzie mi udawanie tego, iż ta rozmowa nic mnie nie kosztuje emocjonalnie.

– Jeśli rozważy się i sprawdzi wszystkie możliwości, to rozwiązanie przychodzi samo. Odnajduje się. Nie ma zagadek bez rozwiązania.

– Ale przecież wiele jest spraw nierozwiązanych. Każdy komisariat ma swoje własne „Archiwum X”.

– Tak, ale dochodzenie w tych sprawach zostało przerwane z powodu braku dowodów lub środków na prowadzenie dalszych czynności dochodzeniowo-śledczych. Wiele starych spraw udałoby się dziś pozamykać ze względu na rozwój nowoczesnych technologii badawczych. Dzisiaj możemy przecież zbadać DNA pochodzące z zęba faraona, żyjącego dwa i pół tysiąca lat temu, i dowiedzieć się, na co chorował i co jadał na śniadanie... A w kwestii ciał znalezionych na dnie jezior, to jeśli był to klasyczny topielec, to jego płuca będą duże, nabrzmią, napęczniałe od wody. Mogą nie mieścić się w klatce piersiowej, to będzie wyglądało, jakby rozpierały ją od wewnątrz, uwidaczniając żebra... Widziałem to kilka razy w swojej karierze. Treść żołądka oraz jelita cienkiego będzie rozwodniona. Natomiast jeśli ten ktoś umarł wcześniej i w momencie wpadania do wody już nie żył, a zatem i nie oddychał, jego płuca nie napełnią się wodą tak bardzo, jak w przypadku kogoś, kto umierał pod wodą – kończy, a mnie ciarki przechodzą po plecach.

Zaczynam się obawiać, że jeśli faktycznie coś znajdziemy na dnie, to ogarną mnie tak potworne mdłości, że od razu stracę opinię dzielnej i odważnej kandydatki na dziewczynę dla jego syna. Zastanawiam się, czy ta praca w policji to był na pewno dobry pomysł.

– Tato, mam nadzieję, że nie męczyleś zbyt długo Marty – stwierdza wchodzący właśnie do pokoju Adam.

Siada obok i obejmuje mnie, uśmiechając się głupkowato.

– Skąd ten dobry nastrój u ciebie? – pytam.

– Szykuje się nurkowanie, a ja zawsze się cieszę, kiedy mogę zejść pod wodę – odpowiada, rozsiadając się jeszcze wygodniej. – Tato, jeśli znajdziemy jakieś... dowody, to powiadomimy od razu kogoś czy chcesz najpierw sam rzucić na nie okiem?

– Jeśli uda nam się wyłowić ciało, to będzie trzeba zawieźć je jak najszybciej do ekspertyzy. Przebywało przez wiele długich miesięcy w bardzo niskiej temperaturze. Jeśli wyłowimy je i narazimy na działanie ciepła, bakterie mogą szybko zadziałać i popsuć naszą pracę. Dlatego rzucimy wstępnie okiem na zwłoki, a potem od razu przewieziemy je do analizy. Trzeba zabrać grube worki foliowe, kilka par rękawiczek, mocne nożyce – mówi, a ja pocieram o siebie kciuki i palce wskazujące. To mnie zawsze uspokaja. – W razie gdyby ciało zahaczone było o glony albo przytwierdzone do czegoś.

– Zdajesz się mówić w taki sposób, jakbyś był pewien, że coś odnajdziemy – trafnie zauważa Adam.

– Bo tak właśnie jest, synu. Tak właśnie jest.

\*\*\*

Ku mojemu zdziwieniu Bartek też przyjeżdża wcześniej, niż to z początku zapowiedział. Zaczynam poważnie zastanawiać się, czy towarzystwo trzech policjantów, z których jeden jest na emeryturze, drugi jest nurkiem, a trzeci się we mnie kocha, jest dla mnie bezpieczne. Czuję dziwny ucisk w żołądku, taki z gatunku tych motywujących.

– Zwykle, kiedy ciało opada na dno, odwraca się plecami do góry – stwierdza jeden z nich.

– Tak. I dotyka dna czołem, łokciami i kolanami. Tam też powstają plamy opadowe.

Rozmawiają sobie, jak gdyby nigdy nic, w trakcie jazdy samochodem nad jezioro. Bagażnik mamy cały wypchany butlami z tlenem, piankami, płetwami i workami foliowymi. Najbardziej nie podobają mi się te wielkie, ostre nożyce. Tata Adama mówi, że one potrafią przeciąć nawet gruby stalowy łańcuch. Słabo mi się robi w kolanach i zaczynam się modlić, żebyśmy może jednak niczego nie odnaleźli.

Przychodzi mi na myśl najpierw mój ojciec, a potem siostra Stella. Nie

widziałam ich od kilku dni, nie kontaktowali się ze mną. Ja starałam się kilka razy „przywołać” ich do siebie myślami, ale nie udało się.

– Zbiera się na burzę – stwierdza Bartek. – Myślę, że mamy jakąś godzinę, zanim zacznie padać. Chyba że chmura przejdzie bokiem – zastanawia się głośno, a my wyglądamy przez okno. – Słuchajcie, nie wiem, na co liczycie, ale jeśli na spektakularne i natychmiastowe rozwiązanie tej sprawy, to muszę was rozczarować. Znam to jezioro, nurkowałem w nim nieraz z Adasiem. Woda na dole jest bardzo zimna, nieprzejrzysta, niebezpieczna. Zrobimy tak, że obaj zejdziemy pod wodę na grubych linach, do których przypniemy się dla bezpieczeństwa. Zabierzemy ze sobą latarki i wodoodporne czołówki. Mam jedną, która daje całkiem niezłe światło, nawet w bardzo mętnej wodzie. Tak czy inaczej, nie liczyłbym, że cokolwiek uda nam się dziś zdziałać. – Widząc nasze zniechęcone miny, dodaje: – Bądźcie realistami, proszę was. Nie traktujcie tej sprawy emocjonalnie, bo to zawsze negatywnie wpływa na wyniki działań. Może być tak – mówi, jakby jednak chciał dodać nam otuchy – że coś uda się odnaleźć. Może nawet zwłoki. Wtedy obejrzymy, czy i w jaki sposób przytwierdzone są do dna. Może zaczepiły się o rośliny? Może jest coś jeszcze, coś innego, co sprawia, że nie wypłynęły dotąd na powierzchnię? Sprawdzimy to, zbadamy, a potem zadzwonimy po oddział. Sami, we dwojkę, nie wyciągniemy ciała. To byłoby zbyt trudne. Wiem, że liczyliście na laury i sławę zwycięzców, ale zdecydowanie rozsądniejszym rozwiązaniem będzie zatelefonowanie po posiłki. Przyda się pomoc kilku osób, przeszkolonych do tego rodzaju działań. Takie akcje przeprowadza się szybko i sprawnie, o ile ma się odpowiednich ludzi pod sobą. – Widząc spojrzenie przyjaciela, dodaje szybko: – No, nie patrz tak na mnie, Adaś. Przecież wiesz, że bardzo cię lubię i cenię, ale jeśli faktycznie coś utkwilo na dnie, muszą zająć się tym specjaliści, osoby takie jak ja, które na co dzień zajmują się nurkowaniem i wyławianiem topielców.

– Mamy w miasteczku całkiem niezły oddział straży pożarnej.

– O, widzisz, zaczynasz myśleć logicznie. Przedzwoń do nich od razu i sprawdź, czy mają kogoś przeszkolonego do odławiania zwłok. Macie tu kilka jezior w okolicy, więc sędzę, że ktoś na pewno się znajdzie.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, wokół jeziora nie ma żadnych ludzi – pogoda nadal nam sprzyja. Ciemne chmury rozrzedziły się, ale naszło całe stado mniejszych, jasnoszarych. Burzy raczej już nie będzie, ale zanoszą się na



deszcz.

– Można nurkować w czasie deszczu? – pytam, z zaciekawieniem przyglądając się, jak Adam i Bartek wciągają na siebie czarne pianki do nurkowania.

Wkładają buty-skarpety, zakładają rękawiczki, kaptury, *jackety* – specjalne kamizelki, do których doczepia się napelnione powietrzem butle. Zakładają na siebie pasy z balastem, żeby szybciej zejść na dno. Ja przebieram się w getry i ciepły sweter, pożyczyłam też od Adama jego czarną bluzę z kapturem.

– Jak najbardziej. Dopóki nie ma burzy albo bardzo silnego wiatru, możemy schodzić pod powierzchnię.

Ostatecznie zdecydowaliśmy się na wypożyczenie jednej, większej łodzi. Ma nawet silnik, nie musimy wiosłować, tak jak ostatnio, kiedy byliśmy tu tylko z Adamem. Trochę boję się zobaczyć znowu ducha ojca. Czy i tym razem będzie mnie nawiedzał? Czy ponownie wskaże mi miejsce, w którym prawdopodobnie znajduje się jego ciało?

– Wiemy dokładnie, gdzie trzeba szukać – mówi Adam, tak jakby czytał w moich myślach. – Ostatnim razem, gdy tu przyплыliśmy, zrobiłem zdjęcie tego miejsca, które oświetlało słońce, włączając dane GPS. Mamy dokładną lokalizację wskazanego obszaru i tam właśnie rozpoczniemy poszukiwania.

Tuż przed zanurzeniem, kiedy chłopcy siedzą na burcie łodzi, całuję Adama, modląc się w duchu, żeby wrócił bezpiecznie spod wody. Boję się o niego i o to, żeby duch ojca nie zaatakował go, tak jak wcześniej mnie. Najróżniejsze scenariusze przychodzą mi do głowy.

Adam spogląda na Bartka i prawie niezauważalnie kiwa głową i w tym samym momencie, jak na komendę przechylają się, wykonując synchroniczny przewrót w tył. Słysząc plusk wody, kilka bąbelków wynurza się ponad powierzchnię, a potem nastaje cisza. Martwa, złowroga i bezszelestna.

– Długo będą pod wodą? – pytam, żeby zagłuszyć tę ciszę. Czy to nie paradoks?

– Bartek mówił, że powietrza mają na godzinę, natomiast postarają się być pod wodą maksymalnie do czterdziestu minut. Jeśli woda okaże się bardzo mętna lub zimna, zostaną w zanurzeniu tylko dwadzieścia minut. Co dziesięć

minut będą potrząsać linką na znak, że wszystko jest w porządku.

– To brzmi pocieszająco. To jezioro jest chyba naprawdę głębokie.

– Tak sędzę. Nikt nigdy nie badał go dokładnie, choć chłopcy nurkowali w nim parę razy, trenując przed egzaminami.

Tak jak obiecali, ciągną za sznurek po równych dziesięciu minutach. Tata Adama sprawdza to ze stoperem w ręku. Nie rozmawiamy – oczekujemy w ciszy, w napięciu, co jakiś czas spoglądając w niebo, w poszukiwaniu burzy.

W pewnym momencie wydarza się coś, czego nie przewidzieliśmy: linka porusza się mocno, na trzy minuty przed czwartym, ostatnim znakiem życia, który mieli dać chłopcy. Ciągną za linę mocno i gwałtownie, oboje gorączkowo zastanawiamy się, co to może oznaczać: z pewnością nie wróży to nic dobrego. Ojciec Adama zaczyna ściągać linę na kołowrotku. Czujemy spory opór, chłopcy musieli zejść pod wodę naprawdę głęboko. Po kilku minutach najpierw wynurza się duże, ciemne, mulaste coś. Chwilę potem wynurzają się głowy Adama i Bartka. Wyjmują aparaty oddechowe z ust, ściągają maski i trzęsąc się z zimna, a może z przejęcia, mówią, dławiąc się jeszcze wodą:

– Mamy go, to musi być on – stwierdza Bartek.

Z obrzydzeniem spoglądam na coś, co może stanowić zarys ludzkiej sylwetki. Ściemniały, pokryty glonem materiał przykrywa zgarbione od zimna i ciężaru wody plecy. Podkurczone ręce i nogi są niewidoczne, schowane pod powierzchnią wody. W momencie wpadam w panikę, zdając sobie sprawę z tego, że mamy tylko jedną łódkę i że pewnie będą chcieli wyłowić ciało i przetransportować na brzeg. Robi mi się słabo i muszę odwrócić wzrok.

Marynarka, w którą ubrany jest trup, jest koloru musztardowego.

– Ojciec nigdy takiej nie nosił – stwierdzam, a łzy napływają mi do oczu.

Na co ja liczyłam? Czego oczekiwałam? Że nic nie odnajdziemy albo że ojciec odnajdzie się cały i zdrowy?! Jestem głupia, naiwna i tyle. Szkoda słów.

Ostatecznie ustalamy, że Bartek popłynie do brzegu i wróci z dodatkową łódką, na którą przerwucą ciało zmarłego. Staram się nie patrzeć, kiedy to

robią, ale ciekawość bierze górę: nie widać głowy topielca, bo cała jest szczelnie obwinięta grubym czarnym workiem na śmieci. Ręce związane są z przodu, a spodnie mają podwinięte nogawki.

– Nie miał na sobie kurtki. Jeśli to był twój ojciec, a przecież zaginął w zimie, to albo to nie on, albo nie był to wypadek.

Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale mam już szczerze dość. Marzę o gorącej kąpieli, o zupie pomidorowej z białym ryżem i herbacie z cytryną, bardzo słodkiej i gorącej.

Dopiero po mniej więcej pół godzinie dobijamy do brzegu. Chłopcy przebierają się, zrzucają na ziemię mokre, nasiąknięte wodą pianki. Tata Adama pilnuje zwłok. Robię wszystko, żeby odwrócić wzrok, żeby nie patrzeć w ich kierunku, ale nie jest to łatwe zadanie. Coś ciągnie mnie, kusi, żeby spojrzeć i przekonać się, czy to jest on. Deszcz zaczyna siąpić, zakładam na głowę kaptur czarnej bluzy Adama i chowam się w samochodzie. Musimy jeszcze poczekać, aż przyjedzie karetka, która przetransportuje ciało do kostnicy w szpitalu w miasteczku. Stamtąd odbiorą je specjaliści od sądowych sekcji zwłok.

– Tym samym sprawa zaginięcia mojego ojca zostanie ponownie otwarta? – pytam tatę Adama, kiedy samochodem odwożą mnie do domu.

Mieliśmy spędzić noc wspólnie z Adamem, ale ze względu na powrót jego rodziców nie jest to najlepszy pomysł.

– Niekoniecznie. To zależy, czyje ciało dziś wyłowiliśmy.

– To może być ktoś inny?

– Nawet nie wiesz, jak wielu ludzi ginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Może to twój ojciec, a może nie. Czas pokaże. Teraz musimy uzbroić się w cierpliwość.

– A co z pańską teorią? Zdradzi mi ją pan teraz? – pytam.

Chwilę waha się, zanim odpowie. Spogląda w kierunku horyzontu, nogą kopie w wilgotny piasek.

– Wolałbym poczekać na ostateczne rozstrzygnięcie, to znaczy na wyniki sekcji. Możliwe, że ciało topielca jest dosyć dobrze zakonserwowane, a to ułatwi rekonstrukcję zdarzeń i identyfikację zwłok.

– Czy ja lub mama będziemy wzywane, żeby... je obejrzeć?

– Możliwe, że tak. Jeśli zaistnieje podejrzenie, że to ciało twojego ojca i jeżeli stan zwłok pozwoli na identyfikację, wtedy na pewno ktoś z najbliższej rodziny zostanie wezwany.

Wzdrygam się na samą myśl o tym. Mam nadzieję, że mama zgodzi się to zrobić, jeśli zaistnieje taka konieczność.

Tuż przed domem Adam całuje mnie w przelocie. Żegnam się z Bartkiem i tatą Adama. Mamy zadzwonić się jutro, z samego rana. Pozostały jeszcze dwa dni do powrotu do Krakowa. Mówiąc szczerze, wcale nie chce mi się tam wracać.

## 17.

Mama cieszy się, że będę spała w domu, dziewczynki również. Robię sobie wymarzoną gorącą kąpiel, do wody dodaję kilka łyżek różowej soli himalajskiej i świeżo pokrojonych plasterków cytryny. Ciepło i zapach działają na mnie kojąco, rozluźniają spięte mięśnie. Przemykam oczy i czuję zbliżającą się do mnie falę przyjemnej senności.

Z błógiego stanu wyrywa mnie krzyk mamy. Wyskakuję z wanny, jak oparzona, zarzucam na siebie ręcznik i wbiegam do pokoju. Scena, jaką zastaję, sprawia, że zamierzam w sobie, mało nie mdleję: widzę Mariusza, zupełnie pijanego, ledwo trzymającego się na nogach. Jedną ręką przytrzymuje Julkę, w drugiej trzyma siekierę. Jest zły, rozwścieczony, boję się poruszyć choćby o milimetr. Boże, żeby on tylko nic nie zrobił Julci.

Mamie udaje się zgarnąć Wikusię i chowają się obie za stołem w kuchni. Zdesperowana, starając się jednak nie wpadać w panikę, stawiam kolejne chwiejne kroki. Idę przed siebie, zbierając się na odwagę, żeby odezwać się do Mariusza. W głowie upominam się, żeby głos nie brzmiał zbyt słodko lub moralizatorsko – to go zawsze ogromnie denerwuje.

– Puść Julkę. Przecież widzisz, że się boi – stwierdzam obojętnie, nie nakazująco.

Jestem spięta, kątem oka dostrzegam, że woda z czajnika paruje, pewnie dopiero co mama nastawiła wodę na herbatę. Szkoda, że nie zdążyły wypić jej w spokoju.

On jednak nie patrzy na Julkę. Patrzy na mnie, to ja jestem obiektem jego zainteresowania. To mnie chce ukarać, zemścić się za to, kim nie jestem, a kim mogłam dla niego się stać. W jego rozwścieczonych, rozbieganych oczach dostrzegam strach i nienawiść. Wcale nie obchodzą go nasze dzieci – liczy się tylko on sam. Odkąd przestał być na piedestale, jego świat zaczął się walić.

– A dlaczego mam ją puścić? Bo co? Bo to twoja ukochana córeczka?! – prowokuje mnie.

Jego głos wwierca mi się w głowę. Zaciskam pięści i robię wszystko, żeby nie wdać się z nim w sprzeczkę, chowam budzące się słowa, upycham je po policzkach. Głosowi nakazuję zawrócić tam, skąd przybył. Do gardła, krtani,

gdziekolwiek.

– Puść ją, proszę cię. Jest przestraszona. Po co trzymasz ją tak mocno?

– Wcale nie trzymam jej mocno!!! – krzyczy, przyciągając ją do siebie jeszcze gwałtowniej.

Julka zaczyna płakać i wołać o pomoc. Jej głos sprawia, że zaraz zabiję się. Siebie albo jego. Dłużej tego nie wytrzymam.

– Mamusiu, boję się! Pomóż mi, proszę! Uratuj mnie! – krzyczy, a mnie serce zaciska się z rozpacz.

Co mam zrobić, rzucić się na niego?

– Tak bardzo się boję!

Dziecko nadal płacze, a ja wciąż nie wiem, co robić. Boję się, że jeśli podejść do nich, on zrobi jej albo mnie krzywdę. Jest zupełnie pijany i niepoczytalny – dobrze wiem, że w takim stanie zdolny jest zrobić wszystko. Przede wszystkim muszę myśleć o bezpieczeństwie Julki. Lepiej nie działać pochopnie, tylko....

Moje gorączkowe rozmyślenia przerywa głośny stuk. To mama zaszła Mariusza od tyłu i z całej siły uderzyła go w głowę starą żeliwną patelnią. Mariusz w momencie traci przytomność, upada, równocześnie wypuszczając z ręki siekiere. Uwolniona z objęć ojca Julka z krzykiem podbiega do mnie i wczepia się we mnie tak mocno, że aż mnie to boli.

– W takich sytuacjach rozmyślenia i pozostawianie losu samego sobie nie jest wskazane. Jeśli psychopacie zostawi się czas do działania, uwierz mi, on znajdzie doskonały sposób na to, żeby go wykorzystać – stwierdza chłodno, a ja spoglądam na nią innymi niż dotychczas oczami.

– Uratowałaś nas – szepczę, czując przenikającą mnie wdzięczność, szczególnie ze względu na Julkę. – Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby...

– To nie myśl, tylko działaj. Działaj szybko, bo on może w każdej chwili się obudzić. – Zadzwoń po niego. Niech przyjedzie z patrolem. Trzeba go stąd jak najszybciej zabrać.

Przekazuję dziewczynki mamie i każę im zamknąć się w pokoju na górze na klucz. Moje córki są roztrzęsione, płaczą i babci trudno je będzie uspokoić.

Po paru minutach zanoszę im pod drzwi gorącą herbatę i proszę, żeby włączyły sobie kucyki Pony na laptopie. Nie chcę, żeby słyszały i widziały, jak przyjeżdża policja i zabiera ich nieprzytomnego ojca do szpitala.

– Adam? Przyjedź szybko, proszę. Był Mariusz, kompletnie pijany. Zaatakował Julcię, miał przy sobie siekierę... Nie, wszystko w porządku, nikomu nic się nie stało.

– Zaraz będę – odpowiada i rozłącza się.

„Przyjedź szybko” – proszę go w duchu.

Mija może z pięć minut i Adam jest już na miejscu, razem ze swoim ojcem.

– Po drodze zadzwoniliśmy po patrol. Zaraz przyjadą po niego samochodem – informuje ojciec.

Adam podchodzi do mnie i przytula mnie, jednocześnie patrząc na leżącego na ziemi Mariusza.

– Nieźle mu odwaliło – stwierdza z pogardą. – Mam nadzieję, że się prędko nie obudzi.

– Adam! – strofuje go ojciec.

– No co? Wolałbyś, żeby je tu wszystkie pozabijał? – Tym pytaniem zamyka ojcu usta.

Mariusz na szczęście nie odzyskuje przytomności. W kilka minut przyjeżdżają policjanci w mundurach, postanawiają jednak zadzwonić po karetkę.

– Najpierw musi obejrzeć go lekarz. Nieprzytomnego i tak nie przesłuchamy – stwierdza jeden z nich.

– Musisz pojechać teraz z nimi. Złożysz zeznania – mówi Adam.

– Nie ma mowy, nie mogę teraz zostawić dziewczynek samych z mamą. Są za bardzo przestraszone.

Policjanci chwilę myślą, co zrobić. Ostatecznie zgadzają się zabrać na komisariat moją mamę, która złoży doniesienie i opowie o zaszłej sytuacji. Zresztą widziała więcej ode mnie. Ja zostanę wezwana w najbliższych dniach do złożenia wyjaśnień, jako świadek.

– Co będzie, jak Mariusz się obudzi?

– W szpitalu będzie pilnowany przez policjantów. Kiedy się obudzi i lekarz uzna, że można go przesłuchać, zbierzemy od niego zeznania. Przypuszczam, że zostanie mu postawiony zarzut napaści z bronią i stosowania gróźb karalnych. Jeśli śledczy oceni, że istnieje jakiekolwiek ryzyko powtórzenia się czynu, wtedy zostanie zatrzymany w areszcie. – Widząc moje błagalne spojrzenie, dodaje: – Zrobię wszystko, co mogę, żeby tak właśnie się stało.

Jego głos jest spokojny i pocieszający. Nie gani mnie za to, że już kiedyś sam zawoził go na komisariat i że potem sama wycofałam zeznania, przez co Mariusz wyszedł na wolność i nie było podstaw, żeby zapobiec temu, co się dziś wydarzyło. Wiem, że nie mogę popełnić tego błędu po raz kolejny. Trzeba nauczyć się przewidywać i dmuchać na zimne.

– Zrobię, co trzeba – stwierdzam, kierując się na górę. Chcę zmienić mamę w opiece nad dziewczynkami.

– Naszczęście już się nieco uspokoiły – oznajmia zmęczonym głosem, schodząc po schodach. – Dobry wieczór – mówi do policjantów.

– Dobry wieczór – odpowiadają.

Zauważam, że ojciec Adama bacznie się mamie przygląda.

– To musiało być dla pani trudne popołudnie – stwierdza.

– Nawet nie wie pan, jak bardzo – wzdycha mama, nie uśmiechając się wcale. – Pojedźmy od razu na komisariat. Chcę mieć to jak najszybciej z głowy.

– Adam, zostań tutaj. Zaopiekujesz się dziewczynami – nakazuje mu ojciec.

Adam kiwa głową. Obejmuje mnie, kiedy wszyscy już wychodzą.

Mama spędza na komisariacie kilka godzin. Wraca koło północy, roztrzęsiona. Robię jej herbatę z cytryną, siadamy do stołu w kuchni, żeby jeszcze porozmawiać przed snem. Adam jest na górze, pilnuje śpiących dziewczynek. Jestem mu ogromnie wdzięczna za to, że został z nami. Że nie musiałam być z tym wszystkim sama. Że przyjechał tu w pięć minut. A co, jeśliby nie przyjechał? Jeśli doszłoby do najgorszego? Chybabym sobie w życiu tego nie wybaczyła. W duchu dziękuję Bogu za to, że wszystko dobrze się potoczyło.

Herbatę wypijamy w milczeniu. Żadna z nas nie ma siły na rozmowę. Wkładam puste kubki do zlewu i na palcach wdrapuję się na górę. Jestem



potwornie zmęczona, bołą mnie ręce i nogi, głowa dziwnie pulsuje w okolicach środka czoła. Pomimo tego nie potrafię zasnąć. Dziewczynki leżą razem, w jednym łóżku, Adam siedzi obok nich, przypatrując się raz im, raz mnie. Nie wiem czemu, ale nie cieszą mnie jego przekrwione oczy, zmartwione spojrzenie.

Siadam na podłodze i krzyżuję nogi, głowę chowam w dłoniach. Ciało zaczyna się kiwać, raz w przód i w tył, raz na boki. Niedobrze mi.

– Dlaczego nie mogę zasnąć? Czemu wciąż nie potrafię? – pytam siebie szeptem.

Słyszę, że Adam wstaje i podchodzi do mnie po cichu. Siada przede mną, kładąc mi dłonie na kolanach.

– Marta? – pyta przejętym głosem.

Nie mam siły odpowiadać. Nie mogę. Nie potrafię. Jeszcze chwila i wyrzucę go z domu. Jeszcze minuta i każę mu wynosić się z mojego życia. To przez niego wszystko się stało. Gdyby nie on, nie odeszłabym od Mariusza. Nie zostawiłabym go i wtedy nie wydarzyłoby się coś tak tragicznego, jak dziś. Boże mój, nigdy sobie tego nie wybaczę. Przecież to spowoduje dożywotnią skazę w psychice dziewczynek! Boże święty, dlaczego byłam tak głupia, tak nierozsądna, dlaczego? Jakim prawem odeszłam od męża, postawiłam siebie, swoje własne, niemoralne i zupełnie zbędne potrzeby ponad własne dzieci? Jak mogłam tak zrobić?! Odpowiedź nie nadchodzi.

Adam nadal trzyma dłonie na moich kolanach. Nienawidzę tych dłoni. Nie cierpię ich. Chciałabym, żeby zniknął, żeby sam odszedł, żeby nigdy nie pojawił się w moim życiu. Mimo to nie potrafię zrzucić jego dłoni. To jest dla mnie po prostu niemożliwe. Nie odpycham go, nie odtrącam, choć nadal obwiniam za to, co się dzisiaj stało. Jego i siebie, oboje jesteśmy winni tej zbrodni na dzieciach. Jest mi niedobrze, pochylam się do przodu i opadam na jego kolana. W ciszy przytula mnie, ustami dotykając włosów na czubku mojej głowy. Nie mówi nic... Nic nie mówi... Jakby rozumiał, jakby czuł, że teraz nie powinien. Jakby sam siebie również obwiniął za to, co się dzisiaj stało.

\*\*\*

Poranek jest trudny. Oboje jesteśmy niewyspani. Ja zasnęłam w okolicach

piątej rano, było już wtedy jasno. Przypuszczam, że Adam nie spał wcale, choć zarzeka się, że zdrzemnął się tuż po tym, jak sama zasnęłam.

Całą noc leżeliśmy obok siebie, czułam jego oddech na szyi. Przez uchylone okno do pokoju wleciała cała chmara ciem. Jedna przycupnęła tuż obok mojej głowy, długo przyglądałam się jej na wpół rozłożonym skrzydłom. Z zewnątrz białym, a w środku błękitnym. Błękitna ćma, jak błękitny ptak, stała się świadkiem moich wieczornych uczuć. Niestety, czułam się okropnie. Wolałabym chyba już być smutna, niż mieć na sobie potworny ciężar poczucia winy: z powodu dziewczynek (ponieważ musiały wziąć udział w tej scenie), z powodu mamy (że naraziłam jej życie i zdrowie), z powodu Adama (że skazałam go na siebie, a przecież mógł znaleźć sobie inną, wolną i bez obciążeń) i wreszcie z powodu samej siebie i mojej własnej głupoty, a na koniec z powodu Mariusza, bo to z mojej winy dopuścił się tak potwornego czynu. On tylko zrobił to, co musiał, żeby nie oszaleć, wiem to. Rozumiem i usprawiedliwiam. Walczył o mnie, walczył zawzięcie.

Czemu więc nie potrafię usprawiedliwić samej siebie? Czemu wciąż coś sobie zarzucam? Czy dlatego, iż wiem, że faktycznie jestem sprawcą tego całego zamieszania? Czy atak na własne dziecko z siekierą w obecności żony i teściowej można nazwać zamieszaniem? Czy raczej tragedią rodzinną? Ekscesem, burdą, niewypałem?

Cóż, prawda jest jedna, a jestem nią ja – brudny, szary i głupi niewypał. Nienawidzę siebie i swojej własnej głupoty. Mariusz miał rację, twierdząc, że jestem idiotką... Nadal ją zresztą ma.

\*\*\*

Jemy wspólne śniadanie. Jest cicho i ponuro, nikt nie ma ochoty na rozmowę. Powoli przeżuwam kęsy żytniego chleba, pomidora gryzę na piętnaście osobnych kawałków, zanim go w końcu połknę, popijam to wszystko herbatą z miodem i liśćmi mięty, żeby przepchała zawartość jamy ustnej do żołądka. Chcę go zapchać, zapełnić, po to, żeby się w końcu uciszył.

Mama jako pierwsza wstaje od stołu, od razu bierze się za sprzątanie. Adam jedzie na chwilę do siebie, ale ma wrócić niebawem. Może sam, może z ojcem. W sumie wolałabym, żeby nie przyjeżdżał. Czy chcę się ukarać, czy mam go naprawdę dość?

Po skończonym śniadaniu dziewczynki idą na górę, bawić się lalkami i kucykami Pony. Ja zbieram po nich talerze, wkładam do zlewu, odkręcam gorącą wodę, czekam, aż sama zmyje pierwszy brud. Wcześniej pytają, dlaczego „pan Adam” jest u nas na śniadaniu, ale odpowiadam wymijająco, że akurat był w okolicy, i to im wystarcza. Nie dopytują o więcej. Nadal muszą być zestresowane wczorajszym wybrykiem Mariusza, choć nie wspominają o tym zajściu nawet jednym słowem. Żal mi ich, ale co mogę na to poradzić? Chyba tylko schować się jak najgłębiej pod ziemię.

Odmawiam, oficjalnie odmawiam sobie prawa do szczęścia. Po tym, co zrobiłam, nie należy mi się już ani jeden ciepły i uśmiechnięty dzień. Koniec, skończyło się. Przełało, wylało i basta.

– Wczoraj odnaleźliśmy ciało – stwierdzam rzeczowo, kiedy mama przelatuje tuż za mną, podróżując energicznie ze szczotką z jednego kąta kuchni w drugi.

Zawsze miała niezłe tempo sprzątania, ale ostatnio przechodzi samą siebie, dosłownie jakby ktoś wstawił w nią dodatkowe konie mechaniczne.

Spogląda na mnie pytająco.

– W jeziorze. Adam razem z kolegą zanurkowali i odnaleźli ciało... Nie wiadomo czyje, muszą je oddać do analizy. To zajmie trochę czasu – kontynuuję spokojnym głosem.

Mama nadal milczy, nie odzywa się wcale, pewnie myślami jest jeszcze zatopiona we wczorajszych przykrych wydarzeniach.

– Myślisz, że to może być ciało taty? – pytam w końcu.

Zanim odpowie, schyla się po niewidoczną gołym okiem okruszynkę i wrzuca ją do przepełnionego kosza na śmieci.

– Nie wiem, dziecko. Skąd mogę to wiedzieć? – pyta retorycznie.

– No, sama nie wiem. Powiedz mi, jak czujesz. Nie pytam cię przecież o fakty, tylko o przypuszczenia. O domysły. O przeczucia.

– Może to on, może nie on – odpowiada wymijająco. – Obie dobrze wiemy, że lubił chodzić do lasu, właśnie tam, nad jezioro – dodaje, podnosząc się i wycierając ręce o biały fartuch, obszyty zieloną lamówką, który założyła na siebie do zmywania naczyń.

Już tyle razy prosiłam ją, żeby kupiła sobie zmywarke, ale w tej kwestii pozostaje nieugięta.

– A ja jednak myślę, że to on – wyznaję prowokująco, robiąc wszystko, żeby odciągnąć moje myśli od wczorajszego zajścia.

Mama zatrzymuje się w pół kroku i zamiera. Jej ciało tężeje, oczy powiększają się, a dłonie drżą nerwowo, sztywniejące palce szukają czegoś, na czym mogłyby się zacisnąć.

– Teraz to już i tak nie ma znaczenia – wzdycha, nie spoglądając na mnie. Z trudem wyciera w fartuch ręce i odwiesza go na haczyk wbity w stare drewniane drzwi. – Na obiad zrobię pomidorową, może być? Idź już na górę, do dziewczynek – dodaje, nie czekając na moją odpowiedź. – Nie powinny być teraz same.

– Jasne. – Zbieram się, ale z ociąganiem.

Po schodach stąpam powoli, ważąc każdy krok, każde słowo mojej mamy.

## 18.

– Mariusz jest nadal nieprzytomny. – Głos Adama w słuchawce słycać bardzo niewyraźnie, muszę przyłożyć ją mocniej do ucha, żeby zrozumieć cokolwiek z tego, co on do mnie mówi.

– Byłeś w szpitalu? – pytam.

Chyba muszę zaakceptować to, że oni dwaj już się ze sobą znają. Szkoda tylko, że poznali się w tak tragicznych okolicznościach.

– Ja nie, ojciec był. W zasadzie jest tam od samego rana. Na szczęście nadal przyjaźni się z obecnym komendantem z miasteczka. Zarządził stałą obecność strażnika w szpitalu, choć zważając na stan Mariusza, chyba nie ma to większego sensu.

– Na razie.

– Tak, pewnie się w końcu obudzi.

– I co wtedy?

– Kiedy będzie w stanie wyjść ze szpitala, zostanie przewieziony do aresztu. Sprawa jest już zgłoszona do prokuratury, wątpię, żeby prokurator pozwolił mu zeznawać z wolnej stopy.

– Ale jest na to szansa? – pytam, a Adam przez chwilę milczy.

– Bardzo niewielka.

– Ale jest! – odpowiadam podniesionym tonem. – Nawet nie chcę wyobrażać sobie, że wczorajsze zajście mogłoby się powtórzyć! Adam, ja tego nie wytrzymam psychicznie – stwierdzam, ale on milczy. Nie słyszę jego głosu w słuchawce, nie słyszę nawet oddechu. – Adam, jesteś tam?

– Jestem. Ale to nie jest rozmowa na telefon. Pogadamy, jak przyjadę do ciebie.

– OK. A co z ciałem?

– Dziś będzie przewiezione z kostnicy do ośrodka analiz sądowych, w którym specjaliści przeprowadzą sekcję, najprawdopodobniej jeszcze dziś lub jutro.

– To bardzo szybko. Myślisz, że będą mogli ustalić tożsamość po tak wielu

latach?

– Biorąc pod uwagę badania genetyczne, myślę, że tak. Ale pamiętaj, że tak naprawdę nie mamy pewności, czyje to ciało. Może ktoś zatonął przypadkiem w zeszłe wakacje...

– No, wiem, wiem. A jeśli nabiorą podejrzeń, że to może być jednak tata, to pobiorą ode mnie jakieś próbki? Krew?

– Możliwe.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Z mojej strony zalega cisza. W sekundzie uświadamiam sobie, jak wiele wydarzyło się przez ostatnie dwa dni: seks z Adamem, poznanie jego rodziców, odnalezienie ciała w jeziorze, spotkanie z duchem ojca, z siostrą Stellą, napaść Mariusza, policja... Jezu święty, czy to możliwe, że to wszystko mi się przytrafiło? I to w tak krótkim czasie? Jak ja to wytrzymuję? Dlaczego jeszcze nie opadłam z sił, nie oszalałam? Czy ja rozsądnie robię, brnąc w to wszystko?

Kątem oka spoglądam na dziewczynki. Bawią się cicho w kąciku, nie rozmawiają ze sobą przesadnie dużo. Są oswiałe. Ale są. Są i zawsze będą najważniejsze. Muszę postawić je na pierwszym miejscu. Są małe, kocham je i nie mogę z nich zrezygnować.

Palcami stukam o podłogę, siadam pod ścianą.

– Oddzwonię za chwilę – mówię do Adama i naciskam kciukiem ikonkę czerwonej słuchawki.

Momentalnie powracam do ułożenia sobie w głowie priorytetów. Zatem: najpierw dziewczynki. Bezapelacyjnie i niezaprzeczalnie. To raz. Dwa: Adam. Kocham go i chciałabym mieć szansę ułożyć sobie z nim życie. Oczywiście, o ile pozwoli mi na to punkt numer jeden. Trzy: mama jest dorosła, zajmie się sama sobą. Nie mogę teraz przejmować się jej losem, jej problemami. Nie powinnam brać na siebie odpowiedzialności za to, co ona czuje i myśli. Cztery: sprawa ojca. Przecież to jest jakiś horror kręcony na żywo! Nie wiem w ogóle, czy dobrze zrobiłam, przyjmując ofertę Adama. Ja i praca w policji? Czy to mi się w ogóle podoba? „Tak, i to bardzo” – odpowiada wewnętrzny głos. Ale czy ta praca jest dla mnie korzystna? Czy mi służy? Czy dobrze mi robi? Drażę, chcąc choć raz spokojnie spojrzeć na własne sprawy z góry, z boku, z dystansu.

Mariusz leży nieprzytomny w szpitalu. Nadal pozostaje moim mężem, jednak decyzja o rozstaniu została już podjęta. Nie zmienię jej, choćby nie wiem co. Czy po tym, co zrobił, powinnam go odwiedzić, zaopiekować się nim? Czy mogę raz na zawsze zerwać z nim kontakt, pomimo że jest ojcem moich, naszych córek? Czy akt małżeństwa, złożony przed księdzem, Bogiem i panią urzędniczką, zobowiązuje mnie do tego, aby być przy nim w zdrowiu i chorobie? Na złe i na dobre? A nawet jeśli, to czy mogę się temu przeciwstawić, równorzędnie decydując się na złamanie świętego słowa, co jednoznacznie wiąże się z piekłem, grzechem, poczuciem winy, karą Bożą za życia i po śmierci?

Tak wiele myśli, tak wiele dylematów. Jednak nie ma wyjścia, muszę z czegoś zrezygnować. Teraz jeszcze jako tako funkcjonuję, spycham uczucia na bok, chowam je po kieszeniach, ale kiedy te wszystkie wydarzenia dotrą do mnie w sposób uświadomiony, wiem, czuję, że zwałą mnie z nóg. Że to będzie dla mnie zbyt wiele, żeby to udźwignąć. Dlatego też muszę z czegoś zrezygnować. Dla siebie, dla dziewczynek.

Wróćmy do początku. Numer jeden musi zostać. Numer dwa również. Nie pozostaje mi nic innego, jak odłożyć na bok temat topielca i spotkań z ojcem i raz na zawsze zerwać kontakt z Mariuszem. Pewnie spotkamy się jeszcze nieraz w sądzie, ale na razie nie zamierzam go odwiedzać. Zajmować się nim. Myśleć o nim.

Życie jest jedno, jest stosunkowo krótkie, choć pewnie inaczej widzi tę kwestię motyl, który żyje około tygodnia. Ważki też żyją krótko, niektóre tylko parę dni. Choć ich larwy potrafią przetrwać nawet dwie srogie zimy.

Ja jednak wiem, że mam już prawie trzydzieści lat, a jak dotąd nie spełniłam jeszcze żadnych swoich marzeń. Nie zaczęłam nawet jeszcze marzyć. Bo i po co?

\*\*\*

Pierwsze kroki są trudne. Zdobywam się na czyn, o który nigdy w życiu bym sama siebie nie posądzała. Uwierzcie mi, wiem, że skończę w piekle i że pewnie jeszcze za życia spotka mnie okrutna kara, ale mimo to jeszcze tego samego dnia proszę Adama, żeby wrócił ze mną do Krakowa. Znów zostawiam dziewczynki pod opieką mamy, wiedząc, że tam będą najbezpieczniejsze, jako że Mariusz leży w szpitalu, pod nadzorem policji. „Mam nadzieję, że nadal nieprzytomny” – dodaję w duchu.

Wyjeżdżamy po zmroku. Dochodzi wpół do dziewiątej. Uchylam okno, bo jest chłodno i szyby parują. Adam włącza ogrzewanie na jedynekę, kierownicę trzyma lewą ręką, a prawą kładzie mi na kolanie. Ścisza je, jakby chciał dodać mi otuchy. Jest cichy i wspierający. Nie ma o nic pretensji.

Odwracam głowę i wyglądam przez okno. Oddechem staram się uspokoić nachodzące mnie od wewnątrz lęki. Na próżno – gdy tylko poradzę sobie z jednym, zaraz dopada mnie kolejny. Inny, trudniejszy, jeszcze bardziej przerażający. Zastraszają mnie jeden po drugim, po kolei, mam ochotę krzyknąć głośno i rozwalić tę pierdoloną szybę w aucie.

Wszystko jest nie tak. Wszystko jest na odwrót. Jest do dupy!

\*\*\*

Chciałam spać u Adama, zobaczyć jego mieszkanie, poczuć się ciepło, miło i bezpiecznie. Komfortowo, schowana w silnych, szerokich ramionach policjanta. Wiem jednak, że nie jest teraz na to pora. Teraz to ja muszę założyć spodnie, przywdziać męski, policyjny uniform i dokonać bardzo precyzyjnych i konkretnych ruchów w moim życiu.

Wpadam do mieszkania, jak oparzona. Desperacja pcha mnie do przodu, kopie w tyłek i zachęca do pójsicia o krok dalej. Najpierw z szafy wyciągam nasze walizki. Tak jak przed wyjazdem na weekend majowy spakowałam siebie i dziewczynki, tak teraz pakuję jego. Wrzucam byle jak wszystkie jego ciuchy, kosmetyki, książki, szpargały. Robię dokładnie to, czego od zawsze się obawiał. Postępuję tak, by w końcu spełniły się słowa jego obelżywych przepowiedni – staję się małomiasteczkową, okrutną... Zaraz, zaraz... Wcale nie chcę tak siebie nazywać. Może i jestem zła, zimna i wyrachowana, ale na pewno nie jestem...

Walizki kończą się. Wyjmuję granatowe torby z Ikei i żółte z Castoramy. Upycham do nich garnki i talerze, które i tak on wybierał, dokładam kubki, sztućce. Na koniec dociskam wszystko kolanem i przykrywam beżowym kocem, który przywiózł z domu swojej matki. Teraz koc wróci do niej, razem z jego pozostałymi rzeczami.

Torby i walizki pakujemy od razu do samochodu Adama, ogromnie się cieszę, że przyjechał tu ze mną. Dzięki jego obecności jestem pewniejsza siebie, choć on sam pewnie nie czuje się w pełni komfortowo, przyglądając się temu wszystkiemu.



Dochodzi pierwsza w nocy. Przez moment zastanawiam się, co robić, ale nie mam wyjścia: nie chcę pozostawiać nic, co przypominałoby mi Mariusza.

– Nie będziemy dzisiaj spali – mówię do Adama.

Z jednej strony jest mi trochę głupio: wiem, że liczył na spokojny, relaksujący weekend, spędzony ze mną w łóżku i nad jeziorem. A ja zgotowałam mu połów trupa, męża psychopatę i nocne pakowanie jego szafy... Ale z drugiej strony wiem też, że jeśli przetrwa to wszystko, będzie to oznaczało, że choć trochę mu na mnie zależy. Że bierze mnie z całym: obecnym i przyszłym bagażem.

– Jedziemy na Zabłocie. Zaraz za tym nowym mostem trzeba skrócić w prawo, jak pod MOCAK. Zresztą pokażę ci po drodze – mówię, wkładając ostatnią torbę do bagażnika jego czarnego volvo.

Dojeżdżamy bardzo szybko – jest środek nocy i zupełnie pusto na ulicach. Nie dzwonię domofonem, używam zapasowych kluczy, które wyjęłam ze szklanego naczynia, w którym je dotąd trzymaliśmy.

– Będziesz wchodzić do mieszkania? – pyta. W jego oczach dostrzegam niepokój. – Jestem funkcjonariuszem na stanowisku, nie mogę włamywać się po nocy do czyjegoś mieszkania, zwłaszcza...

– Spokojnie, nie zamierzam wystawiać na niebezpieczeństwo ani twojej, ani mojej kariery – uspokajam go, nie dając mu dokończyć zdania.

Adam parkuje samochód przed wskazanym przeze mnie blokiem, a mój umysł przetwarza dane na najwyższych obrotach. W głowie obmyśliłam już plan: rzeczy Mariusza zostawię w piwnicy, do której, dzięki Bogu, również mamy klucze. Jednocześnie napiszę kartkę z informacją do matki Mariusza, doczepiając do niej klucze od mieszkania, tak żeby w przyszłości nie wynikły z tego powodu żadne nieporozumienia. Liścik wraz z kluczem wrzucę do skrzynki pocztowej.

– Wiem, że uważasz, że rozsądniej byłoby zrobić to wszystko oficjalnie i za dnia, ale boję się, że do rana nie starczyłoby mi odwagi. Chcę wykorzystać wysoki poziom desperacji, który się we mnie dziś narodził.

\*\*\*

Jest trzecia, kiedy wracamy z powrotem do mieszkania. Biorę prysznic i przygotowuję nam herbatę. Dobrze, że chociaż czajnik sobie zostawiłam.

- Jutro będę chciała zmienić zamki w mieszkaniu.
  - Wiesz, że Mariusz, jeśli zostałby wypuszczony na wolność, będzie miał prawo, żeby tutaj przebywać?
  - Wiem, to nasze wspólne mieszkanie. Kredyt mieliśmy spłacać przez najbliższe dwadzieścia lat. Chciałabym wystawić je na sprzedaż...
  - Sama nie możesz tego zrobić. Będziesz potrzebowała do tego zgody Mariusza. Niestety, nie wiadomo, jak długo potrwa sprawa w sądzie.
  - Liczyłam, że zmienię zamki i po prostu więcej go tu nie wpuszczę.
  - Możecie zamieszkać u mnie... – proponuje, spuszczać wzrok, po chwili podnosząc go jednak na mnie.
- Jego spojrzenie jest ciepłe, delikatne i pełne nadziei. Ma takie męskie oczy sarenki, wicie, o czym mówię?
- Nie marzę o niczym innym, Adam, ale mam dzieci. Wiesz przecież. Dziewczynki są małe, potrzebują stałości. Nie mogę się teraz do ciebie wprowadzić. To wyróciłoby ich świat do góry nogami. Choć, uwierz mi, niczego teraz nie pragnę tak bardzo, jak tego, żebyśmy każdego dnia budzili się obok siebie.
  - Dziewczynki muszą mnie zatem najpierw dobrze poznać.
  - Tak. Dopiero potem będziemy mogli pomyśleć o wspólnym zamieszkanu. Nie wiem, czy to by ci w ogóle odpowiadało? – pytam, wstrzymując oddech.
  - Chyba nie mam innego wyjścia – odpowiada, uśmiechając się.
- Kamień spada mi z serca, bardzo się bałam, że on nie udźwignie tego ciężaru. Co innego wiązać się z wolną, młodą dziewczyną, a co innego z kobietą po przejściach.
- Chciałabym, żeby było inaczej, żeby to wszystko było prostsze – wyznaję z żalem. Gardło mi się ściska i czuję, że zaraz zacznę płakać.
  - Nie przesadzaj, poradzimy sobie – odpowiada, przytulając mnie i przyciągając do siebie.
- Wtulam się w niego i czuję, jak schodzi ze mnie napięcie po trudnym, potwornym, pełnym absurdów dniu. Oczyszczających absurdów, dodajmy.

Lęki jeszcze mnie nie nachodzą, jest późno, w nocy pewnie zaatakują, dopiero gdy przyłożę głowę do poduszki.

Kładziemy się na sofie, którą od pewnego czasu przejęłam na okres nocy. Pierwszych nocy bez Mariusza. Nie chcę, żebyśmy razem z Adamem spali na łóżku, które dotąd stanowiło symbol mojego walącego się w tej właśnie chwili małżeństwa. Przynoszę świeże poszewki, zakładam je na kołdry, prześcieradłem przykrywam zagięcia i plamy na sofie. Jedna jest moja, po coli, druga po soku kaktusowym, który rozlała kiedyś Wiktoria. Ale co się dziwię, przecież Mariusz uprzedzał mnie, że to idiotyczny pomysł kupować białą sofę do salonu, ja jednak uparłam się...

– Będę się bała mieszkać tu sama – stwierdzam, kiedy leżymy już, światło jest zgaszone.

Nerwowo rozglądam się po pokoju. Zanim zamknę oczy, zawsze sprawdzam wzrokiem drzwi, okna i te przestrzenie tuż pod sufitem, czy nie zawiesił się pod nimi jakiś duch albo – nie daj Boże – trup. Czy raczej duch trupa. Jest w ogóle coś takiego?

– Coś wymyślimy. Śpijmy teraz, rano rozważymy, jakie mamy opcje – mówi szeptem, obejmując mnie i dociskając biodra do moich pośladków.

Jest taki ciepły, męski i bezpieczny. Taki kochany i seksowny zarazem.

– OK – zgadzam się na jego propozycję, choć nadal czuję się jak w sytuacji bez wyjścia.

Nie wiem, co Adam chce rozważać, ale mam ogromną ochotę zaufać mu i mam nadzieję, że kolejny dzień przyniesie ze sobą nowe możliwości, których teraz za nic, ale to za nic nie dostrzegam.

\*\*\*

Budzę się w okolicach godziny ósmej. Adam jest już na nogach, przygotował kawę, wziął prysznic. Podaje mi najpierw kubek, a potem miseczkę z...

– Budyń czekoladowy?

– Znalazłem w szafce – mówi, siadając obok mnie. – To było jedyne, co nadawało się na śniadanie, nie licząc kostek rosółowych, maggi i różowej soli himalajskiej – odpowiada poważnym tonem, jaki znam z „kape trzy”.

Odkrywam nogi, jednak nie chce mi się podnosić z łóżka. Wyglądam przez okno, sprawdzając dzisiejszą pogodę. Zawsze tak robię zaraz po przebudzeniu się. Chcę wiedzieć, czy jest dziś pochmurno, słonecznie czy może deszczowo. Jeszcze w łóżku planuję, co na siebie założę i jak będzie wyglądał mój dzień.

Nastrój mam poważny, nawet grobowy, rzekłabym, siląc się na odrobinę poczucia humoru w tej smętnej i ponurej sytuacji. Jednocześnie dochodzę do wniosku, że gorzej już nie będzie. A zatem może być już tylko lepiej. Tak bardzo chciałabym w to wierzyć.

Siedzimy naprzeciw siebie, dotykamy się bosymi stopami. Patrzymy sobie w oczy, nie odzywając się wcale do siebie. W następnym ułamku sekundy jestem już pod nim, a on jest nade mną. Nie wiem, kto wykonał pierwszy ruch, ale czy ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Zamykam oczy, czując, jak mnie całuje, z lekkością opadam z powrotem na łóżko. Adam jest wysoki i mocno zbudowany, to takie miłe czuć jego ciężar na sobie. Wplata palce w moje włosy, głaszcze mnie po ramieniu, liże po szyi. Wbijam biodra w sofę, przyciągając go jeszcze bliżej siebie. Kochamy się dość długo, zważając na porę i niewyspanie: dobrych kilkanaście minut. Adam kończy, nie wychodząc ze mnie, jeszcze na chwilę zasypiamy.

Kiedy budzę się ponownie, zegar wskazuje dziewiątą. Zbieram się do łazienki, licząc, że został w szafce choć jeden czysty ręcznik. Mam nadzieję, że w nocnym szale nie spakowałam wszystkich Mariuszowi.

Mam mydło o zapachu fig i werbeny, odnajduję duży ręcznik w kolorze chłodnej mięty.

– To będzie dobry dzień – mówię do siebie cicho. – Zdecydowanie dobry dzień.

## 19.

Zmiana, która we mnie ostatnio zaszła, jest znacząca. Poznają to po tym, że wzrósł we mnie poziom desperacji. Zdecydowania. Buntuję się przeciw temu, na co się dotychczas zgadzałam. Nie chcę już więcej dawać przyzwolenia osobom ani sytuacjom, które sprawiają mi ból i smutek. Nie chcę, nie chcę nigdy więcej tego robić. Zgadzać się na coś, co mi nie leży i nie pasuje, dostosowywać się. Dość tego, koniec, basta. Teraz wystarczy tylko znaleźć w sobie odwagę i utrzymywać jej poziom na stałym, wysokim poziomie.

Kto ma rację? Ja, inni ludzie, poglądy? Wiara, obyczaje czy konwenanse? Serce, rozum czy rozsądek? Kogo słuchać? „Siebie” – powiecie pewnie. I ja to wiem. Ale który głos jest tym moim, tym jedynym i prawdziwym? Głośno słyszalnym i wymarzonym?

Tak, chcę jak najszybciej zamieszkać z Adamem, wiem to. Zdaję sobie również sprawę z tego, że nie byłoby to korzystne dla dziewczynek. Czy tak faktycznie jest, czy to tylko moje domysły, przypuszczenia, oparte na kulturowo-psychologicznych przesłankach? Czego tak naprawdę chcę i jak wiele pretekstów znajdę, aby uniemożliwić sobie osiągnięcie zamierzonego zawczasu celu?

Woda rozbryzguje się na wszystkie strony, kiedy myję kubki po kawie. Zatraskuję okna i zamykam mieszkanie na oba zamki. Przy okazji zabieram z kuchennej szafki zapasowy komplet kluczy i wręczam go Adamowi. Poczuję się bezpieczniej, jeśli będzie nosił je przy sobie. Bez komentarza odbiera ode mnie pęk kluczy.

Rozsiadam się wygodnie w fotelu czarnego volvo, niestety Adam bardzo chce zajeżdżać jeszcze na posterunek.

– Przecież jest niedziela – zauważam z wyrzutem.

– Wiem, ale sporo spraw mi się uzbierało po urlopie, koniecznie muszę do nich zajrzeć.

– A nie będziemy wracali dziś na wieś?

– Jutro z samego rana miałem być w pracy, ale wezmę jeszcze jeden dzień wolnego. Dlatego dzisiaj chciałbym na chwilę podskoczyć do biura. – Widząc moją niezadowoloną minę, dodaje: – Marta, nie dąsaj się, przecież wiesz,

jakie to dla mnie ważne.

Wiem i zgadzam się. Co robić, mam inne wyjście? Wcale mnie to nie cieszy, ale przecież nie mogę ograniczać jego wolności, niezależności. Poza tym to przede mną będzie brał to wolne.

I co teraz powiecie? Czy znowu uległam? Czy dostosowałam się? Czy po prostu rozsądek i zrozumienie drugiego człowieka wzięło górę nad emocjami? Nie wiem i nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Boję się usłyszeć odpowiedź.

Wspólnie jedziemy na komisariat, a potem zabieram auto i sama udaję się do nowo otwartej Serenady. Parkuję samochód na podziemnym parkingu, na który wjeżdża się na tyle niską i krętą trasą, że trzeba uważać, żeby nie porysować karoserii.

Zaraz po przekroczeniu ruchomych drzwi, po lewej stronie, tuż obok biura podróży, dostrzegam nowo otwarty salon fryzjerski. Jaskrawy napis na szybie głosi: „Cięcie z myciem i modelowaniem 50 zł. Bez zapisów. Zapraszamy”. W momencie czuję wewnętrzny impuls i postanawiam skorzystać z okazji. Nieśmiało przekraczam próg salonu. Szczupła, młoda dziewczyna z mysim ogonkiem zauważa mnie zaraz i woła, podchodząc do mnie:

– Dzień dobry, zapraszam do mycia włosów. Co dziś będziemy robić?

Gorączkowo rozglądam się, wzrokiem szukając rozwieszonych zdjęć modelek. Niestety – ściany są puste, zdobią je tylko lustra i fioletowo-buraczany kolor.

– Sama nie wiem... Ostatnio skracałam włosy i obecna fryzura dosyć mi odpowiada. Możemy ewentualnie podciąć końcówki, ale, mówiąc szczerze, skłaniam się bardziej ku zmianie koloru.

– Wolałaby pani przyciemnić czy rozjaśnić włosy? – pyta, wystukując na brzegu umywalki rytm tylko jej znanej piosenki. Nadal się uśmiecha.

W duchu postanawiam zostawić jej napiwek. Fotel, na którym właśnie siadam, obity jest ciemnobrązową skórą. Odchylając głowę do tyłu, zamykam oczy, a fryzjerka włącza wodę i zaczyna polewać mi nią włosy. Stara się, żeby żadna kropla nie dostała mi się do oczu.

– Czy nie za ciepła?

– Nie. Jest w sam raz – odpowiadam, zbierając się w środku na odwagę,

żeby powiedzieć jej, że tak naprawdę to skrycie marzę o blondzie. – Wie pani, a jak bardzo można by rozjaśnić moje włosy? – pytam, powoli okrążając temat i badając dostępne możliwości.

– A ma pani farbowane włosy?

– Odrobinę rozjaśnione farbą. Mój naturalny jest bardzo podobny do tego, który teraz mam.

– Zatem wyjściowy kolor mamy bardzo dobry do tego, żeby je utleniać. Włosy są zdrowe, niezniszczone i dosyć jasne, powiedziałabym, że to bardziej ciemny blond niż jasny brąz. Dlatego też spokojnie za jednym razem utlenimy do jasnego blondu. Zaraz pokażę pani folder z odcieniami – mówi, nalewając mi na głowę przyjemnie chłodny balsam.

Fryzjerka masuje mi skórę głowy czubkami palców, a ja czuję, jak moje ciało rozluźnia się i cieszy z powodu usłyszanej informacji. Wszystko wskazuje na to, że wyjdę stąd jako blondynka. Dawno nie cieszyłam się tak jak teraz. Jak dziecko. Adam to mnie chyba nie pozna.

Po chwili przechodzimy na inny fotel: jest czarny i twardszy. Spoglądam na siebie w lustrze i staram się uśmiechnąć, ale nie chcę już być dawną sobą. Starą Martą, której oczy widziały tragedię. Chcę być kimś nowym, kimś świeżym, kimś dla mnie nieznanym.

Fryzjerka podaje mi sztywny tekturowy katalog, do którego przyklejone są zafarbowane w różnych odcieniach niewielkie pukle włosów. Bez zastanowienia palcem wskazuję ten, który najbardziej przypadł mi do gustu.

– *Rose blond* – fryzjerka głośno czyta nazwę. – Różany blond – potwierdza. – Dobry wybór. Będzie idealnie pasował do pani jasnej karnacji.

Bez przedłużania i ociągania się dziewczyna odchodzi na moment na bok i w plastikowych miseczkach miesza ze sobą odpowiednie farby.

– Najpierw nałożymy utleniacz. Zostawimy go na trzydzieści minut i po tym czasie sprawdzimy, czy uzyskany kolor jest już odpowiedni. Jeśli nie, to zostawimy go na dziesięć minut dłużej. Tymczasem może zaproponuję pani kawę? – pyta.

Rozsiadam się wygodniej w czarnym fotelu. Splatam palce pod jasną pelerynką, którą fryzjerka przykryła mi ramiona. Jest mi ciepło i dobrze, komfortowo.

Całość zabiegów fryzjerskich zajmuje nieco ponad dwie godziny. Kiedy przeglądałam się w lustrze po raz pierwszy, nie mogę uwierzyć własnym oczom: zielone tęczówki wybijają się na pierwszy plan na tle jasnej cery i ciepłych, różanych włosów. Jestem blondynką, w końcu mam to, o czym marzyłam! I mama, i Mariusz od zawsze powtarzali mi, że jestem głupia i niemądra, nierozsądna. Teraz mój kolor włosów będzie mówił sam za siebie. Już nie muszę nigdy więcej udawać intelektualistki. Mogę w końcu stać się tym, kim od zawsze w głębi duszy byłam: głupiotką i naiwną, postrzeloną tlenioną Martą ze wsi.

Uśmiecham się szeroko do swojego odbicia, a potem do fryzjerki.

– Zrobiła dziś pani ze mną coś cudownego. Dziękuję – mówię jej zupełnie szczerze.

Wydaje się zadowolona z pochwały, jej policzki lekko się rumienia.

Idąc korytarzem Serenady, stąпам po ziemi lekko, dużo lżej niż przed przemianą. Różana metamorfoza zdecydowanie wyszła mi na dobre: czuję się młodsza, piękniejsza, pełna życia. Już nie pamiętam o tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Nie myślę więcej o Mariuszu, nie zamartwiam, jak ułoży się moja przyszłość. Jestem teraz sama z sobą i dobrze mi z tym. Mam włosy w kolorze różanego blondu i koniecznie muszę iść teraz na lody!

Kiedy zamawiam po jednej porcji słonego karmelu i sorbetu z guavy, w torebce rozlega się skoczna melodia z telefonu. Przez moment przebiega mi przez głowę stresująca myśl, że to dzwoni mama z informacją, że Mariusz się przebudził i znowu na nich napadł. Jednak dźwięcząca coraz głośniej melodyjka sugeruje, że to jednak dzwoni Adam.

– No hej – witam go, przekładając telefon do lewej, a lody do prawej ręki. – Co nowego na komisariacie?

– Pozałatwialem najważniejsze sprawy i mogę wziąć jutro wolne. Jeszcze ten jeden dzień, na dłużej po prostu nie dam rady się wyrwać.

– OK. Będziemy mieli trochę czasu, żeby zastanowić się co dalej – odpowiadam, starając się nie popadać zbyt wcześnie w stan paniki.

– Przydałoby się, żebyś też wróciła do Krakowa.

– Nie chcę mieszkać u siebie. Boję się tego miejsca.

– To zamieszkaj ze mną. Od teraz, od dziś. Możemy od razu do mnie



pojechać.

– Nie kuś, Adam. Przecież wiesz, że są dziewczynki. Nie mogę ot tak, po prostu z tobą zamieszkać, to niemożliwe. Muszą cię najpierw poznać, polubić, poza tym nadal jestem mężatką...

– To mi akurat wcale nie przeszkadza.

– Tobie może nie, ale mnie trochę tak. Mojej mamie pewnie też, nie mówiąc już o twoich rodzicach.

– Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, nie bądźmy tacy pruderyjni.

– Ale ja pochodzę ze wsi, u nas nie ma rozwodów. Jest się ze sobą na dobre i na złe, aż po grób.

– No to będziemy ze sobą na dobre i na złe, aż po grób – zapewnia, a mnie się miękko robi pod stopami.

Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się zakocham, że będę miała szansę ułożyć sobie życie na nowo.

– Odważny jesteś.

– To ci się chyba we mnie podobało?

– Zdecydowanie tak. Chcę brać z ciebie przykład.

– To przyjedź na komisariat, a potem pojedziemy do mnie. Omówimy wszystko na spokojnie. – Mówi takim słodkim, męskim, kuszącym głosem.

– Mmm... – mruczę.

Nie chce mi się szukać słów, żeby wyrazić to, co teraz czuję. Usta mam ciepłe, lody topią się szybko na języku i na wargach. Marzę o tym, żeby mnie przytulił. Żebym zapomniała o troskach, o dniu codziennym, chcę cała w nim zatonać.

– Będę za piętnaście minut.

Faktycznie, droga zajmuje mi równy kwadrans. Kiedy dojeżdżam na niewielki parking pod „kape trzy”, Adam czeka już na mnie przed wejściem. Niestety, nie jest w mundurze, ale mam nadzieję, że kiedyś uda mi się go zobaczyć w pełnym rynsztunku. Wychodzę z auta i podbiegam do niego, jednak nie rzucam mu się na szyję ani nawet nie całuję go. Jesteśmy teraz w pracy: cały teren przed komisariatem znajduje się pod ścisłym

monitoringiem.

Kiedy jednak wsiadamy do samochodu i zamykamy za sobą drzwi, wszystkie hamulce puszczaają. Mimo iż ktoś mógłby nas jeszcze zobaczyć, nie przejmujemy się tym. Rzucam mu się na szyję i pozwalam, żeby całował mnie, gdzie tylko chce. Adam jest zawzięty i bardzo zaborczy, chwytam mnie w pasie i chce ściągnąć ze mnie spodnie. Nie pozwalam na to, chwytając go za nadgarstek i zdecydowanym ruchem wykręcając jego dłonie na zewnątrz.

– Jedźmy już do ciebie – szeptam, jednocześnie przylegając do niego jeszcze mocniej niż dotychczas.

Nie chcę, nie potrafię się od niego oddalić. Pomimo iż chciałabym, żebyśmy już stąd odjechali, wplatam palce w jego włosy i całuję go po szyi.

– Marta...

– Tak?

– Ślicznie wyglądasz.

– Dzięki. Podoba ci się mój nowy kolor?

– Jest super. Pasuje do ciebie. Do twojego charakteru.

Uśmiecham się na te słowa i bez dalszego ociągania wracam na swój fotel. Oddaję kluczyki Adamowi i nie marzę już o niczym innym, niż tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w jego mieszkaniu.

\*\*\*

Biorę jeszcze szybki prysznic przed powrotem na wieś. Zamówiliśmy jedzenie do domu, żeby nie tracić cennego czasu tylko we dwoje. Ze smutkiem i tęsknotą spoglądam w kierunku Adama, który siedzi teraz przed komputerem, robiąc notatki z tego, czego się dzisiaj dowiedział na komisariacie. W jego mieszkaniu pachnie nowością. Nic dziwnego, skoro deweloper oddał je do użytku dopiero parę miesięcy temu.

Z okien rozciąga się przepiękny widok na miasto. W naszym najbliższym sąsiedztwie znajduje się sąd okręgowy, Rondo Mogilskie i Grzegórzeckie. Widać też Szkieletora, w obrębie którego toczą się prace remontowe, przekładane przez tak wiele lat. Kraków jest dziś szary i ponury. Jesienny i melancholijny. Kocham go takim najbardziej.

Ręcznikiem wycieram stopy, nogi, brzuch. To przyjemne czuć na skórze

delikatne drapanie tkaniny. Jest w kolorze jasnej, seledynowej zieleni, a ja spodziewałam się po Adamie czerni i granatów.

W progu mieszkania całujemy się jeszcze, a potem zjeżdżamy windą z szóstego piętra. To znaczy ja zjeżdżam, Adam zbiega po schodach. Uważa, że windy są dla starszków, kobiet w ciąży i niepełnosprawnych. Ja co prawda nie zaliczam się obecnie do żadnej z tych kategorii, ale nie chce mi się schodzić aż z szóstego piętra. Robimy wyścigi: Adam chce koniecznie udowodnić mi, że będzie pierwszy na dole. I jak się pewnie domyślacie, udaje mu się to.

– Najbardziej w twoim mieszkaniu podoba mi się widok, jaki się z niego rozciąga. I taras. Jest ogromny.

– Tak, mnie też urzekł. Między innymi dlatego zdecydowałam się na kupno tego mieszkania, choć z początku miałem coś tylko wynająć.

Taras, czy raczej długi balkon, okala prawie całe narożne mieszkanie, na które składają się dwie sypialnie, duży salon połączony z aneksem kuchennym, łazienka oraz toaleta. Kwadratowy przedpokój jest niewielkich rozmiarów, ale znalazło się w nim miejsce na wieszak na kurtki i szafkę na buty. Całość utrzymana jest w bieli i jasnych kolorach, co również przypadło mi do gustu.

– Jak widzisz, wciąż się jeszcze urządzam. Mebli jest niewiele, bo też i po co mi więcej?

Nie odpowiadam. Aluzja ze strony Adama jest dosyć oczywista. Chciałabym odpowiedzieć mu to, na co liczy, to, czego pragnę również ja sama. Nie mogę jednak, nie potrafię, nie umiem. Nie powinnam ze względu na dziewczynki i chyba oboje zdajemy sobie z tego sprawę, bo żadne z nas nie kontynuuje więcej tego tematu.

\*\*\*

Wczesnym wieczorem wyjeżdżamy z Krakowa. Opuszczamy miasto gołębi, poetów i obwarzanków, udając się do miejsca, które można by określić poprzez takie słowa, jak: wieś, łąki, pola, zboże, żniwa, jezioro, las i woda. Ściółka i podszyt, komary i kleszcze, żuki, bociany, żołędzie. Mech i rozwielitki, trawy i szuwały, szczupaki i meszki, mirabelki, marchewki, zielone pomidory. Ile jeszcze znam słów, które kojarzą mi się z domem? I czemu na miejsce życia wybrałam to, które nasuwa mi na myśl tylko trzy

banalne skojarzenia?

Może spróbuję jeszcze raz. A jeśli jest coś więcej, coś głębiej ukrytego? Może nie wszystko widoczne jest na pierwszy rzut oka?

Kraków. Przyjemnie pachnie spalinami i mrozem, kiedy w ciemny grudniowy poranek wyskakuję w piżamie po bułki. Wiatr podwiewa mi dolną część kożucha w kolorze ciemnej czekolady, który odziedziczyłam po babci. Rynek, usłany kocimi łbami, jest dobrze znany wszystkim. Ale wystarczy pójść o krok dalej, skręcić raz w lewo, potem w prawo i odkryć urokliwe zakamarki najstarszej ulicy w mieście – Kanoniczej, dostrzec fragment habitu schowanej za murami klasztoru siostry wizytki, przespacerować się Drogą Królewską, trasą, którą kiedyś, kilkaset lat temu, przemierzali królowie Polski. Poczuć zapach rynku i jego podziemi, które pachną tak, jak nic innego na świecie. Nie da się – do takiego dochodzę wniosku – oddać magii tego miasta. Składają się na nią nie tyle ludzie i miejsca, co całe sytuacje, odgrywane jak teatralne sceny, w których sprzedawca podaje precla dziecku, ono w wyciągniętej dłoni trzyma dwuzłotową monetę, w tym samym momencie zza pleców rozlega się hejnał, a niebo zasnuwa romantyczna i melancholijna zasłona z chmur. Te sceny, tak mocno pachnące i dźwięczące, jakby odgrywany przez nas wspólny sen – to właśnie składa się na urok tego miasta.

Na wsi jest inaczej. Nie ma ludzi, nie ma tylu świadków. Jest się bardziej izolowanym, to natura jest tutaj głównym obserwatorem. Kiedy idę sama do lasu i wiem, że jest cicho i pusto, czuję, że las patrzy na mnie, że drzewa do mnie mówią, przemawiają w swoim własnym języku. Czuję się wtedy samotna i utulona zarazem. Nie podoba mi się to, ale też kusi i wciąga, nie chce mi się stamtąd wychodzić. Boję się siebie, boję się siebie w lesie. Jestem wtedy groźna i zdolna do wszystkiego – tak przynajmniej to odbieram. Może w jakiś sposób łączę się z naturą, a ta bywa przecież okrutna i brutalna?

Droga zajmuje nam niecałe półtorej godziny. Adam odwozi mnie przed dom i wraca do siebie, do miasteczka. Zapraszam go na kolację, ale wymawia się natłokiem pracy i raportów, które obiecał jeszcze dziś przesłać na komisariat. Nie nalegam, zostawiam go samego ze swoimi myślami. Ma do nich prawo, choć czuję, że nie są do końca pozytywne. Przypuszczam, że chciałby więcej i na już.

Dziewczynki oglądają bajkę, kiedy wchodzę do pokoju. Śmieją się na

widok mojego nowego koloru włosów: podoba im się; mówią, że wyglądam jak jakaś księżniczka albo wróżka z jednej z ich bajek. Przytakuje i siadam obok nich. Wikusię obejmuję jedną ręką, drugą chcę przytulić Julkę, ale ta ku mojemu zaskoczeniu jest szybsza ode mnie: wskakuje mi na kolana, a potem kładzie na nich głowę. Przyciska się mocno do moich nóg, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko głaskać ją delikatnie po głowie.

Czy zaniedbałam je ostatnio? Na pewno tak. Czy poświęcam im teraz mniej czasu niż dawniej? Drugie „tak”. Czy powinnam więcej się z nimi bawić, rozmawiać? Trzecie „tak”. A czy mam prawo ułożyć sobie życie na nowo z mężczyzną, który nie jest ich ojcem? Czy przez pewien czas mogę być mniej skupiona na dzieciach? Czy one już zawsze mają stać na pierwszym miejscu i wreszcie czy powinnam obwinać się o to, że przed snem myślę nie o nich, a o Adamie?

Dzieci są już na świecie, nie znikną nagle, nie wyparują, są małe i wymagają mojej stałej opieki. Czułości i serdeczności. Czasem stanowczości. Z Adama nie chcę rezygnować, wiem to na pewno. Bez niego nie będę szczęśliwa, a przynajmniej nie tak bardzo, jak mogłabym być razem z nim. Pozostaje więc tylko jedno rozwiązanie: poznać ich ze sobą. Zapoznać je z nim, jego z nimi, w duchu modląc się do świętego Antoniego o to, żeby się polubili. I stworzyć coś nowego, coś wspólnego, nową wartość. Mój związek z samym Adamem nie wyjdzie, musiałyby odbyć się to kosztem dziewczynek albo być nastawione na tymczasowość. A tego nie chcę.

Postanowione więc.

## 20.

Jest już sporo po dziewiątej, właśnie skończyłyśmy oglądać kolejne niesamowite przygody Pinkie Pie i Fluttershy. Ta bajka chyba nigdy nie znudzi się moim córkom. Mama położyła się już do łóżka, mówiła, że coś słabo się czuje. Trochę ją głowa boli, w gardle coś drapie i odczuwa ogólne osłabienie. Mam nadzieję, że nie rozkłada jej teraz grypa czy angina.

Jest już późno, to nasza zwyczajowa pora na mycie zębów i spanie, ale mimo to siadamy jeszcze we trójkę przy wspólnym stole. W kuchni jest cicho i trochę pusto, słysząc świerszcze zza uchylonego okna. Zasłaniam je szczelnie zasłoną, żeby komary nie wlatywały do środka. Okrągłe wafle ryżowe i kukurydziane smaruję cienką warstwą dżemu truskawkowego. Obok talerza kładę rzodkiewkę, pokrojony w plastry ogórek, trochę natki pietruszki. Już nie mogę doczekać się na tegoroczne pomidory. Coś czuję, że obrodzą obficie.

Dziewczynki są zaskoczone tym, że pozwoliłam im jeść o tak późnej porze. Chyba były głodne, bo ze stołu znika wszystko, nawet ta na wpół zwiędła natka pietruszki. Cóż, na wsi zawsze jest się bardziej głodnym i wszystko smakuje dużo lepiej niż w mieście.

Zęby, o dziwo, idziemy wmyć w ciszy i bez protestów. Dziwi mnie to i zaskakuje. Czy to dlatego, że poświęciłam im swoją uwagę? Czy przełamanie typowego schematu pozytywnie na nie wpłynęło? Dziwi mnie to i zaskakuje, ale też cieszy. To tak przyjemnie nie musieć zmuszać ich do szorowania zębów!

Kładziemy się do łóżek razem, o jednej porze. Opowiadam im bajkę o sierotce Marysi, która zabłądziła w lesie i nie wiedziała, jak wrócić do domu. Nadeszła noc, zrobiło się ciemno i zimno i... wtedy spostrzegam, że obie już śpią. Julia lekko rozchyliła usta, Wiktoria wtuliła się mocno w poduszkę, prawie jej buzi nie widać. Są takie kochane, kiedy śpią, moje słodkie aniołeczki.

Chciałabym traktować je poważniej, rozmawiać z nimi o ojcu, o Adamie, ale są na to jeszcze za małe. To dzieci, nie rozumieją tego. Co robić, ach, co robić? „Wyspać się” – odpowiada wewnętrzny głos. Chciałam napisać: MÓJ wewnętrzny głos, ale tak naprawdę, jaką mam pewność, że jest mój? Że nie

są to podszepty kogoś innego? Rozumu, głosu matki czy może urywki z oglądanych w dzieciństwie filmów?

Kiedy podnoszę się z łóżka, podłoga dźwięcznie skrzypi. Odruchowo odwracam się za siebie, sprawdzając, czy to nie Mariusz. Drzwi jednak pozostają zamknięte, na wszelki wypadek przekręcam w zamku klucz. Stąпам boso, deski są przyjemnie ciepłe w dotyku, w pokoju pachnie wiosennym zmrokiem i konwaliami. Przypomina mi się noc spędzona tutaj z Mariuszem, jedna z naszych pierwszych. Wtedy również był maj i nie potrafiłam zasnąć. Czułam, że świat mnie woła, wzywa, że chciałby, abym zwiedziła go w całości, poznała jego najdalsze i najgłębsze zakamarki...

Moje rozmyślania pryskają nagle jak bańka, w jednej chwili wszystko zanika, a przed oczami staje ubrana na ciemno sylwetka, która w popłochu opuszcza nasz dom. „Mama? Czy to może być ona?” – zastanawiam się, nie mam jednak odwagi krzyknąć. Otwieram okno szerzej, wysuwam się, ponownie szukam jej wzrokiem. Niestety, na to jest już za późno. Postać chyłkiem przebiega przez podwórko, a ulicy nie widać z okna na piętrze. Na dodatek noc jest pochmurna, bezksiężycowa. Kto to był? I co robił przed naszym domem? Boże, żeby to tylko nie był Mariusz.

Deski znowu skrzypią pod stopami, najpierw cicho, potem głośniejsze, kiedy zbiegam po schodach coraz szybciej. Na ostatnim drewnianym schodku stawiam nogę za szybko, potykam się i prawie upadam. Klnę pod nosem, mając nadzieję, że nie obudziłam mamy, jeśli jednak jest w pokoju. W końcu mówiła przecież, że źle się czuje.

Idę najpierw do kuchni. Z opakowania wydaję torebkę z melisą, wrzucam ją do szklanki zdobionej nadrukiem czerwonych i zielonych poziomek. Woda gotuje się szybko, a para z czajnika osiada na szybce witryny wiszącej nad blatem. Kilka kropel wrzątku spada mi na rękę: przykładam w oparzone miejsca język, licząc, że nie zostanie żaden ślad ani blizna. Szklankę zakrywam przezroczystym spodkiem i tym samym pretekst do bezpiecznego wejścia do pokoju mamy mam przygotowany.

Najpierw cichutko pukam w drzwi opuszkami środkowych palców. Nikt nie odpowiada. Usprawiedliwiam się sama przed sobą: mamie mogło się pogorszyć, może nawet zasłabła? Trzeba wchodzić czym prędzej.

Wchodzę i upuszczam szklankę na podłogę. Pół prawej nogi mam teraz oparzone, ale to nic, nie czuję tego prawie wcale. Poziom zdziwienia

i przerażenia jest większy niż czerwieniejąca już pewnie noga.

Zbieram się w sobie i podchodzę bliżej. Najpierw dwa, potem trzy małe kroki do przodu. Łóżko jest puste, ładnie zaścielone. Na stole, oparta o kryształowy wazon pełen fioletowych bzów, widnieje biała koperta. Stojąca za stołem siostra Stella ruchem ręki wskazuje na nią i prosi, żebym ją czym prędzej otworzyła. Obok siostry, ramię w ramię, stoi duch mojego ojca. A może powinnam napisać: unosi się?

Oboje zdają się smutni, szarzy i bardzo wysocy. Nie świecą się, ich postacie nie jaśnieją żadnym magicznym światłem. Czuję, że mięśnie w nogach mi się kurczą, że zaczynają drżeć. Przełykam głośno ślinę i dziękuję Bogu, że chociaż stół dzieli mnie od dwójki tych potwornych duchów. Czemu tak bardzo się ich boję? Bo już wiem, że nie są ludźmi? Czy dlatego, że nawiedzają mnie ciemną, chłodną nocą?

Nie mówią nic. Patrzą tylko tak wymownie. Biorę kopertę w dłoń i czytam:

*Droga Cóрко,*

*Postanowiłam w końcu wyjechać na tak ogromnie i długo wyczekiwane wakacje. Wiesz dobrze, że w pełni na nie zasłużyłam. Od lat nigdzie przecież nie wyjeżdżałam.*

*Kochanie, nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Najlepiej by było, jakbyś zaopiekowała się domem i została tutaj razem z dziewczynkami. Im jest tu dobrze, przecież wiesz. Cieszy cię widok ich umorusanych twarzy, ich głośny śmiech, niczym nieskrępowany. Jeśli jednak postanowisz inaczej – zrozumieć to.*

*Wiem, że twoje rozstanie z Mariuszem jest nieuniknione, już postanowione. Temu nowemu kawalerowi dobrze z oczu patrzy. Ale pamiętaj o dziewczynkach, nie wpadnij po raz drugi w te same sidła. Nie warto, życie jest za krótkie. Myśl o sobie, zawsze o sobie. I o dzieciach.*

*Dom jest twój, zapisałam go na ciebie. Nie wiem, kiedy wrócę i czy w ogóle. Mam dość dotychczasowego życia, miernej wiejskiej egzystencji. Chcę czegoś więcej, czegoś nowego, pragnę doświadczyć siebie w innych miejscach, odmiennych sytuacjach. Chcę śnić o sobie nowy sen.*

*Nie miej mi za złe, że wyjeżdżam bez pożegnania. Trzymaj się ciepło,*



*ubieraj schludnie, nie zapominaj o wietrzeniu pościeli i przecieraniu szafek z kurzu, brudzą się szybko, zwłaszcza te w kuchni.*

*Twoja mama*

Pochylam się, próbując złapać oddech. To boli i piecze, nie wiem, co mam robić. Czy biec za nią? Czy krzyczeć? Czy dzwonić? Tak, to będzie chyba najlepsze rozwiązanie.

Dzwonię jeden raz i drugi. Oczywiście abonent jest tymczasowo niedostępny.

– A kiedy w końcu będzie dostępny?! – krzyczę jak głupia do słuchawki, a potem rzucam telefon na łóżko.

Stella i ojciec znikają, rozplywają się. Czemu nic nie mówili i wyglądali smutnie i złowrogo? Nie lubię ich, mam dość tych czarno-szarych mar nocnych. Nie chcę, żeby mnie więcej nachodziły. O ile jednak można zgłosić na policję nękanie ze strony jakiejś osoby, o tyle ze strony ducha nie jest to raczej możliwe. Z komisariatu na pewno by mnie wyrzucili za przyznawanie się do tego rodzaju bzdur.

– Jezus Maria! – krzyczę i zamieram, kolana mi się uginają i nagle przed sobą mam twardą podłogę.

Zaczynam rozumieć. Uświadamiam sobie wszystko. Mama wcale nigdzie nie wyjeżdża, nie w chustce na głowie, nie po nocy i bez pożegnania.

Sekundę zajmuje mi podniesienie się z podłogi i w biegu wkładam buty. W rękę chwytam latarkę, na szczęście zawsze mamy jedną przewieszoną przez wieszak na ganku. Dokładnie jakby czekała na ten jeden dzień, tę jedną noc.

Mam kilkuminutowe opóźnienie, ale to nic. Biegam szybciej od niej. Dzwonię do Adama, musi przyjechać do dziewczynek. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby się w nocy przebudziły i nie zastały nikogo w domu. Dzięki Bogu, że Mariusz jest nadal w szpitalu.

Adam jest policjantem, więc nie dziwi mnie, że odpowiada po pierwszym sygnale, mimo że jest już późno.

– Adam? Coś się stało, musisz szybko przyjechać, zająć się dziewczynkami. Dom jest otwarty, ja muszę odnaleźć mamę. Uciekła z domu.

– Już jadę – odpowiada i w sekundzie rozłącza rozmowę.

Wkładam telefon do kieszeni polaru i zapinam ją na zamek. Przyśpieszam.

Noc jest zimna, nieprzyjemna, na plecach i ramionach pojawia mi się gęsia skórka, kiedy przekraczam próg lasu. Chłód czuję przede wszystkim w kostkach, na łydkach i na karku. Wilgoć oplata mi nadgarstki, jak bransoletki, a para wydostająca się z ust tworzy wokół mojej twarzy cienką, nieprzejrzystą woalkę.

Czarne wygląda jak wielkie cielsko czarnej, błyszczącej zmory. W ułamku sekundy zauważam mamę, która stoi w wodzie już po kostki. Nie krzyczę, żeby jej nie przestraszyć. Biegając coraz prędzej, widzę, że kolana ledwo wystają ponad taflę jeziora.

Przyśpieszam jeszcze bardziej, ale pali mnie już w klatce piersiowej, nie mam siły oddychać. Dobiegam do brzegu jeziora w momencie, w którym mama stoi w wodzie po samą szyję.

– Mamo! – krzyczę. – Zaczekaj!

Chwilę jeszcze podbiegam, ale kiedy woda staje się coraz wyższa, uniemożliwia mi bieg; staram się podnosić nogi, zawijać je na boki, a kiedy sięga mi już pasa, zaczynam płynąć. W tym samym momencie tracę mamę z oczu.

Boże święty, Boże święty, proszę, zmiłuj się nade mną, nie dawaj mi drugiego trupa, pozwól mamie przeżyć, błagam cię, Boże, nie zostawiaj mnie.

Staję w miejscu, bo coś przykuwa moją uwagę. Tuż obok widzę wydostające się spod wody bąbelki. Biorę oddech i zanurzam się razem z głową. Temperatura wody jest na tyle niska, że paraliżuje mnie, choć adrenalina też robi swoje. Chyba tylko dzięki jej wzrostowi nie mdleję na widok twarzy mojej mamy, wpatrującej się we mnie szeroko otwartymi oczami. W talii ma zawiązany pas z kamieniami, ale dowiem się tego dopiero za chwilę, kiedy uda mi się wyciągnąć ją na brzeg.

Teraz wiem już, że miny taty i siostry Stelli nie były złowrogie, tylko zatrwożone. Chcieli dać mi znać, że coś jest nie tak, że się martwią. Nie byli na mnie źli.

Ale byłem głupia. Głupia i ślepa.

Wyciąganie mamy z jeziora nie jest proste. Mimo iż straciła przytomność,

mam dobre przeczucia, zdaje mi się, że lekko oddycha. Kiedy wyciągam jej ciało na brzeg i zastanawiam się nad tym, jak rozpocząć reanimację, plaża topi się w świetle: tuż za nami Adam parkuje swoje czarne volvo. Wyskakuje z niego w sekundę, w drugą jest już przy mamie i rozpoczyna reanimację. Ma w tym większą wprawę ode mnie, lata spędzone w policji robią swoje.

Po chwili mama zaczyna oddychać normalnie, choć trochę się dławi i krztusi. Las zdaje się milczeć. Robi mi się raz chłodno, a raz gorąco. Szyja piecze mnie od potu i zimnej wody.

Jestem tak bardzo wdzięczna Adamowi za to, że przyjechał, że jest tutaj ze mną, choć nie mam pojęcia, jak domyślił się, że tu właśnie będziemy.

– A co z dziewczynkami? Byłeś u nich?

– Przyjechałem razem z rodzicami. Zostali u ciebie w domu, a ja miałem przeczucie, żeby przyjechać właśnie tu, nad jezioro.

– Tu, gdzie się wszystko zaczęło, a teraz miało zakończyć. – Głos mamy jest cichy i zachrypnięty.

– To ja was może zostawię same – stwierdza Adam, przynosząc nam jeszcze z bagażnika ciemnozielony koc.

Przykrywa nim mamę, która nie ma jeszcze siły, żeby się podnieść.

Przez dobrych kilka minut panuje cisza. Przyglądam się tafli jeziora, zastanawiając się, co jeszcze kryją w sobie jego wody.

– Boisz się? – pytam w końcu, nie patrząc na nią.

– Boję się. Nie chcę iść do więzienia. Teraz? Po tym wszystkim, co przeszłam? Po tylu latach? To byłoby bez sensu. – Głos mamy jest tępy i pusty. Bez dna. Nie słychać w nim echa ani dźwięczenia.

– Wiem, mamo.

– Domyślałaś się wcześniej?

– Mówiąc szczerze, to już na samym początku przyszło mi do głowy, że stał się jakiś wypadek. Że pokłóciliście się, tato spadł ze schodów czy coś takiego. Doskonale pamiętam tamtą noc, tę pierwszą, tuż zanim taki silny mróz ścisnął. Chodziłyśmy po lesie, krzycząc za nim, z latarkami w rękach. Nasze usta parowały, chmury zaraz zamieniały się w obłoki ze szronu i opadały na ziemię. Strasznie płakałaś. Bardzo, bardziej niż zwykle. Przecież ojciec tak

wiele razy się gubił, a potem odnajdywał! To czemu wtedy tak bardzo płakałaś, czemu mówiłaś, że się nie znajdzie? Ale nie odważyłam się spytać, byłam wtedy przerażona całą sytuacją, tym chodzeniem po lesie w ciemności i późniejszym zeznawaniem na policji... Nie chciałam w tym uczestniczyć. Przecież wiesz, jak bardzo boję się ciemności.

– Tak mi przykro, moje dziecko... Masz do mnie żal? Chcesz wiedzieć, jak to się stało?

– Sama nie wiem. Z jednej strony tak, a z drugiej, wolę chyba pozostać przy wersji oficjalnej, przy tej, która widnieje mi teraz przed oczami. Nie mam do ciebie pretensji, życie z ojcem nie było łatwe. Nie tęskniłam za nim, kiedy od nas odszedł. A po ostatnich wydarzeniach z Mariuszem wiem już, że granica zdrowia i choroby, linia pomiędzy życiem i nieżyciem jest niewielka, cieniutka. Bardzo łatwo jest ją przekroczyć. Przecież gdyby Mariusz zabił Julkę, to ja bym tego nie przeżyła! A gdybyś ty nie zareagowała w czas, tak pewnie by się stało.

– Też tak to sobie tłumaczyłam wiele razy. Że ojciec posuwa się coraz dalej, że kiedyś uderzy mnie za mocno, że zabije, i co wtedy będzie z tobą. Ogromnie się o ciebie bałam, o to, że zostaniesz na świecie sama. Dlatego zdecydowałam się na ten krok. To było przemyślane. Rozważałam to już od jakiegoś czasu. Od momentu, kiedy po raz pierwszy poszłam na policję.

– To byłaś tam wcześniej? Czemu nic nie mówiłaś? – pytam, zaskoczona. Nie spodziewałam się, że mama kiedykolwiek miała styczność z policją.

– Bo o takich sprawach nie opowiada się dzieciom. To było jakoś na dwa czy trzy miesiące przed zaginięciem ojca. Pobił mnie wtedy okrutnie, ledwo przeżyłam. Następnego dnia z siniakami na twarzy i podkrążonymi oczami udałam się na komisariat. Był tam on, ojciec tego twojego Adama. Złożyłam zeznania, on jednak od początku był mi niechętny. Widać było, że jest typowym policjantem, patriarchą i głową rodziny, trzymającym wszystkich w domu silną ręką. Nie zdziwiłabym się, jeśli sam biłby żonę i syna.

– Co ty mówisz...?!

– To, co myślę, a co mam mówić? Zresztą powiedz sama: czy czujesz się przy nim bezpiecznie? Czy jest miłym ojcem chłopaka, czy jednak czujesz przed nim niezdrowy respekt?

– Zdecydowanie się go boję, ale sądziłam, że ma to związek z tym, że jest

policjantem, no i tatą Adama...

– Może tak być. Ale równie dobrze może być inaczej. Tego nie wiemy, to nie nasze sprawy – mówi, dodając jednak po chwili: – Przynajmniej na razie.

– No i co było dalej?

– Zeznałam wszystko, powiedziałam, że od lat pije, bije mnie i szantażuje. Wyznałam, że boję się o dziecko, to znaczy o ciebie. Że czasem przyprawia kolegów i wtedy czuję się zupełnie bezbronna. Wiesz, o co on wtedy mnie spytał? Czy dobrze gotuję i czy w domu jest posprzątane! No, myślałam, że oszaleję! Wiesz, ile trudu i odwagi kosztowało mnie pójście na policję i złożenie zeznań przeciwko własnemu mężowi?

– Co się później stało?

– Nic wielkiego. Wiesiek został wezwany na komisariat, złożył zeznania, w których twierdził, że to wszystko nieprawda. Sprawa została zamknięta na etapie zbierania materiału dowodowego. *Nie ma przesłanek* – pisano w liście, który otrzymałam dwa czy trzy miesiące później. Na odchodnym ojciec Adama powiedział mi jeszcze na przyszłość, że *dowody to są dokumenty medyczne ze szpitala, a nie podbite oczy*. Zapytał też, jaką on może mieć gwarancję, że nie zrobiłam sobie tego sama, bo mam nowego kochanka na boku i szukam pretekstu do rozwodu.

– Chyba żartujesz! To szczyt chamstwa! – Jestem tak oburzona, że trudno mi usiedzieć w miejscu.

– Może i tak, ale jednocześnie on miał rację. Jaką miał gwarancję, że nie zrobiłam sobie tego sama?

– No raczej nikt sam siebie nie bije.

– Raczej nie, ale stuprocentowej gwarancji nie masz. A wiesz, jacy są policjanci – często bardziej papiescy od papieża. Wtedy też zrozumiałam, że nie pomogą mi, że nikt mi nie pomoże. Moi rodzice już dawno nie żyli, z matką Wieśka nie było od lat kontaktu. I co, miałam zostawić sprawy samym sobie? Poczekać, aż kiedyś wkurwi się tak, że uciupie mi w nocy obie ręce siekierą? Albo tobie? Wiesz, jak ja się wtedy okropnie o nas bałam?

Oczy otwierają mi się na zupełnie nowe obszary, które dotąd stały przede mną zamknięte.

– Bałam się, widziałam jasno, że jest z nim coraz gorzej. Wiedziałam też, że

nikt mi nie pomoże, jeśli zaszłaby taka konieczność. Wtedy właśnie uknułam plan. To było okropne i wiedziałam, że czeka mnie za to wieczna kara w piekle, ale czułam, że dobrze robię. Że poświęcając jego życie, zapewnię wieczny spokój tobie. Że on nigdy więcej ci nie zagrozi, nie porwie twoich dzieci, nie podłoży ognia. Wiedziałam, co trzeba zrobić. Była zima, pogoda mi sprzyjała. Wystarczyło tylko odczekać na odpowiedni moment. Zresztą on i tak sam siebie by zabił, prędzej czy później.

– Boże, mamo, to straszne... To straszne, co mówisz. – Próbuję oddychać, ale czuję, że serce łomocze mi w piersi jak oszalałe. – Nie bałaś się?

– Bałam się, potwornie się bałam. Najbardziej tego, że policja złapie mnie na gorącym uczynku albo że tylko go zmasakruję, a on nie umrze, że obudzi się i będzie mnie nachodził, rozwścieczony, szukając brutalnej zemsty.

– Jak to zrobiłaś?

– Kupiłam mu wódkę. Włożyłam do szafki, że niby miałam tam gdzieś jakąś schowaną. Oczywiście znalazł ją i wypił od razu całą. Zdążyłam się z nim jeszcze pokłócić. Wiedziałam, co wkurza go najbardziej. Tak jak przypuszczałam, trzasnął drzwiami, wychodząc z domu na mróz. Zapowiadali silny tej nocy. Położyłam cię do spania, modląc się, żebyś się nie obudziła. Poszłam za nim do lasu. Zawsze tam chodził, uwielbiał to miejsce, szukał w nim spokoju i odosobnienia. Ukojenia. Przysnął pod drzewem. To dodało mi odwagi, bo przecież mógł tam zasnąć na dobre, przy takim wielkim mrozie do rana na pewno by nie przeżył.

– To nie wolałaś go po prostu zostawić? Bez ryzykowania, że możesz mieć z tego powodu problemy?

– Byłam zdesperowana. Miałam już tak dość życia, że jeszcze jeden dzień z tym parszywym człowiekiem, a zwariowałabym, zostawiając cię samą na świecie... Założyłam mu worek na głowę. Uderzyłam cegłą kilka razy. Trochę walczył, jakby przez sen, a potem przestał się ruszać. Zawlokłam go na łódkę, chyba z powodu adrenaliny nie miałam z tym większego problemu: nie był tak ciężki, jak przypuszczałam. Miałam ze sobą więcej cegieł, wiesz, z tej górki z podwórka: ojciec miał zbudować nam składzik na narzędzia. Oczywiście nigdy tego nie zrobił. Wsadziłam cegły do worka, przywiązałam do szyi i wypłynęłam łódką na środek jeziora. Tam wrzuciłam go do wody. Tej nocy przyszedł bardzo silny mróz i jezioro zaczęło powoli zamarać. Bardzo bałam się tej pierwszej wiosny, modliłam się, żeby jego ciało nie

wypłynęło na powierzchnię. Na szczęście sprawa zaginięcia została umorzona. Potem sprawiliśmy ojcu pogrzeb, a ja i ty mogliśmy w końcu zacząć żyć normalnie.

– Aż do teraz.

– Tak.

– Coś podejrzewałam, ale nigdy nie wydało mi się to na tyle prawdopodobne, żebym uwierzyła w tę historię. Przecież zawsze byłaś mamą, która robiła mi herbatę z miodem na gorączkę i co tydzień piekła ciasto na niedzielę. Nie mogłabyś tego zrobić.

– A jednak.

– A jednak... Nie wiem, co mam teraz myśleć, mamó. Nie wiem. – Po chwili namysłu dodaje: – Na pewno nie zgłoszę tego teraz na policję. Tego możesz być pewna. Nigdy nie wyjawię prawdy. Widziałam się z ojcem, wybaczył ci, wybaczył to, co mu zrobiłaś. Jest teraz spokojny, wiem to – mówię, a mama zaczyna płakać. – Nie powiem nikomu, ale nie wiem, czy będę potrafiła kiedykolwiek ci wybaczyć. Ojciec był okropny i momentami nienawidziłam go z całego serca. Jednak... był moim tatą i szkoda, że nie ma go już wśród żywych.

– Ale rozumiesz, czemu to zrobiłam?

– Rozumiem, choć wydaje mi się, że ta najgorsza z opcji mogła się wcale nie wydarzyć.

– A pomyśl: jeśliby się jednak wydarzyła, to czy nie miałabyś do mnie żalu, że nie zapobiegłam temu? Że nie zaingerowałam? Że nie zrobiłam nic, żeby zapewnić ci spokojną i bezpieczną przyszłość?

– Rozumiem to, ale wierzę, że mogły pojawić się inne rozwiązania.

– Teraz może już są, ale kilka lat temu na wsi nie było ich, uwierz mi. To jeszcze nie był czas komórek i Internetu, gdzie wy, młodzi, macie wszystko podane na tacy. Nie wiedziałam, co robić, a nie miałam nikogo, komu mogłabym się choćby zwierzyć.

Potrząsam przecząco głową. Chcę zrzucić z siebie nadmiar niemiłych myśli.

– Jeszcze nie wiem, jak się do tego ustosunkuję. Nie oceniam cię, ale mimo wszystko... to był mój ojciec.

– Boję się... Boję się, że on się domyśli. Kiedy po kilku miesiącach od momentu zgłoszenia pobicia i znęcania się nade mną zgłosiłam nagłe zaginięcie, on momentalnie wyczuł pismo nosem.

– Nie mają dowodów, nie bój się. To mógł zrobić każdy. Jeśli ty o niczym nie powiesz ani ja, nikt się nie dowie. Zabierzemy tę tajemnicę ze sobą do grobu – zapewniam, odwracając się na pięcie i spoglądając w kierunku samochodu, w którym siedzi teraz Adam.

Drzwi do auta są zamknięte, czy mógł słyszeć choć część naszej rozmowy? Czy mamę przekonają moje zapewnienia? Czy domyśla się, że zrobię wszystko, żeby ją przekonać? Nie mogę jej teraz stracić...

\*\*\*

Tej nocy mam dziwny sen. Widzę chmurę ciemnobłękitnych ważek, które obsiadają zamarznąłą tafłę jeziora. Jest ich tak wiele, że zakrywają całą powierzchnię Czarnego. Potem unoszą się, ciągnąc za sobą cały lód – wielką, zamarznąłą tafłę. Po chwili niebo rozjaśnia się, a wody jeziora zdają się lżejsze i bardziej przejrzyste, błękitne.

Budzę się wyjątkowo wyspana i wewnętrznie uspokojona. Wiem teraz, że wszystko dobrze się zakończy.

\*\*\*

Tegoroczny grudzień przywitał nas ujemnymi temperaturami i wielką śnieżną burzą. Udało mi się dostać tydzień urlopu przed Bożym Narodzeniem i już od piętnastego mogłam przyjechać na wieś z dziewczynkami. Adam dojedzie do nas dopiero na dzień przed świętami.

W tym roku Wigilię urządzamy u nas. Ma być nie tylko Adam, ale też jego rodzice. Podejrzewam, że mój chłopak będzie chciał mi się oświadczyć w te święta, więc z tej okazji ponownie rozjaśniłam włosy i kupiłam nową, piękną sukienkę: czarną, zdobioną pąkami różowych i czerwonych cekinowych kwiatów. Jest elegancka i wyjątkowa, taka moja.

Co prawda nie mam jeszcze rozwodu, ale jesteśmy z Mariuszem już po pierwszej rozprawie. Nie pojawił się: wcale mu się nie dziwię.

Włosy sięgają mi już cztery centymetry poza ramiona. Podcinam je raz na dwa miesiące, ale tylko trochę. Chcę znowu mieć długie, jak za dawnych lat. Rodzina i znajomi już przywykli do tego, że jestem blondynką.



W prokuraturze toczy się postępowanie przeciwko Mariuszowi. Udało mu się wyjść z aresztu i będzie odpowiadał z wolnej stopy. Niestety, na razie zajmuje nasze wspólne mieszkanie. Wpadł do niego zaraz po tym, gdy jego matka wpłaciła kaucję i wypuszczono go na wolność. Co prawda zamki były zmienione, ale to nie przeszkodziło mu rozwalić ich i wdrzeć się w środku nocy.

Spanikowałam wtedy. Przestraszyłam się, że znowu nas zaatakuje i bez większego zastanowienia spakowałam siebie i dziewczynki. Przeprowadziłyśmy się wszystkie do Adama. Z początku czuliśmy się nieco skrępowani: w końcu wszyscy byliśmy sobie jeszcze trochę obcy. Ale czas pokazał, że dobrze się dogadujemy i co najważniejsze – przyjemnie jest nam ze sobą razem. Popołudnia, te ciepłe, spędzamy na rowerze lub na rolkach. W chłodne wieczory oglądamy bajki lub filmy familijne, z dwiema miskami popcornu na kolanach. Koleżanki śmieją się, że zamieniłam Mariusza na lepszy model i choć z początku raziły mnie ich komentarze, to w sumie mają rację. Adam jest o poziom wyżej od Mariusza, pod każdym względem: fizycznym, emocjonalnym, duchowym i finansowym.

Po świętach możliwe, że nie wrócę do pracy, zobaczę, jak się będę czuła. Brzuch jest już ogromny i ciężko mi się chodzi, ale mój czas pracy został skrócony do czterech godzin, dlatego postanowiłam pracować na komisariacie przynajmniej do świąt. Dziewczynki cieszą się, że będą miały braciszka.

Duchy siostry Stelli i ojca nie pojawiły się już ani razu. Mam nadzieję, że tak już pozostanie. A wyłowione z jeziora ciało... okazało się należeć do kogoś innego. Mężczyzny, którego zaginięcie zostało zgłoszone rok wcześniej. Znaleźliśmy go zupełnym przypadkiem. Dzięki temu wyjaśniło się jego zaginięcie, a z kolei sprawa ojca na razie nie została wznowiona.

Wysypuję na blat garść białej mąki, z której wspólnie z mamą i dziewczynkami zagnieciemy pyszne ciasto na pierniczki. Każda z nas przygotowała już foremkę ze swoim ulubionym kształtem i czeka teraz przy stole, z uśmiechem na twarzy i zniecierpliwionymi rękami gotującymi się do pracy.

Ja też się uśmiecham, choć co jakiś czas cień bólu przesłania mi twarz. Brzuch mocno mnie pobolewa w samym dole, trochę mnie to martwi, bo do porodu jeszcze dwa miesiące. Obiecuję sobie po południu zadzwonić do

lekarza prowadzącego moją ciążę.

Robię to jednak wcześniej. W trakcie ugniatania ciasta przechodzi mnie nagły, silny atak bólu. Skurcz jest na tyle mocny, że wypuszczam wszystko z rąk i chwytam się blatu. Kolejny skurcz jest równie mocny i pojawia się kilka minut po tym wcześniejszym.

Czy to możliwe, że już rodzę?

Odpowiedź przychodzi sama bardzo szybko: czuję, jak mokra strużka spływa po udzie, a potem niżej.

– Jedziemy do szpitala – mówię мамie i proszę o spakowanie podstawowych rzeczy.

Dziewczynki wyglądają na przestraszone, ale skurcze są na tyle silne, że nie mam głowy do tego, żeby przejmować się jeszcze nimi.

– Nie jestem przygotowana do porodu, przecież dziecko miało urodzić się dopiero w lutym... – mruczę do siebie.

Do szpitala jedziemy prawie dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość. Modłę się, żeby nie było wypadku. Dziewczynki podrzuciłyśmy sąsiadce, dzięki Bogu, że była akurat w domu. Obiecała zająć się nimi, ile tylko będzie trzeba.

Po szybkiej rejestracji na oddziale ratownicy medyczni każą mi usiąść na wózku i chcą przewieźć mnie na salę porodową. Nie bardzo mogę już siedzieć, skurcze są bardzo silne.

„Adam chciał być przy porodzie – przypominam sobie. – A jeśli z dzieckiem jest coś nie tak? Może nie powinnam pracować tak długo?”

Moje rozmyślenia przerywa kolejny skurcz, który jest na tyle mocny, że obiecuję sobie nigdy więcej nie mieć dzieci. No, chyba że urodzi je Adam.

Niecałą godzinę później moja trzecia pociecha jest już na świecie. Oprócz niższej od normy masy urodzeniowej wszystko wskazuje na to, że jest w pełni zdrowa.

*Ona?* – spytacie pewnie zdziwieni. *Tak, ona* – odpowiem wam. Moje trzecie dziecko, pomimo dwukrotnego potwierdzenia płci na usg, okazuje się dziewczynką. Trzecią dziewczynką, a zarazem czwartą kobietą w naszej rodzinie. Jak ten biedny Adam z nami wytrzyma, nie mam pojęcia.

\*\*\*

Wigilię spędzamy w szpitalu. Ze względu na przedwczesne urodziny i niską wagę urodzeniową małej musimy trochę dłużej tam pozostać. Ona i ja. Ja i ona.

Adam przyjeżdża do nas jeszcze tego samego dnia, z wielkim bukietem czerwonych róż. Zaraz jak tylko mama do niego zadzwoniła, wybiegł z pracy, nie wyłączając komputera, nie zamykając nawet drzwi. Kurtka została na wieszaku, a w niej portfel i wszystkie dokumenty. Jak widać, są też takie chwile, w których nawet policjanci, zimni i stateczni, tracą nerwy i dają się ponieść emocjom.

Niesamowicie przyjemnie było widzieć całą najbliższą rodzinę zgromadzoną wokół mojego łóżka: mamę, Adama z rodzicami, dziewczynki. Brakowało tylko Mariusza i dwóch duchów. Ale może to dobrze? W moim życiu jest jeszcze sporo nierozwiązanych spraw, ale obiecałam sobie nie tracić czasu na zamartwianie się nimi.

Uśmiecham się i robi mi się ciepło na sercu, kiedy widzę, jak Adam trzyma na rękach nasze maleństwo. Jego uścisk jest pewny i delikatny zarazem. Teraz może w końcu oznajmić wszystkim wokół, że został tatą, i poinformować o tym, jak nazwiemy naszą pierwszą wspólną córeczkę. Chcecie wiedzieć, jakie wybraliśmy dla niej imię?

*Rozplątujemy siebie nawzajem,*

*Ja ciebie, ty mnie.*

*Stajemy raz bliżej, raz dalej,*

*Czasem lepiej widać,*

*Gdy nie patrzysz,*

*Gdy oczy zamknięte,*

*Spod powiek nie wystają,*

*Nie podglądają.*

*Kocham Cię.*

KONIEC